

Szokująca
historia
zbrodni
w afekcie

Rania
Al-Baz

Oszpecona

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Rania
Al-Baz

Osympetoma



Rania po pobiciu
czeka na operację.

*„Nie chcę zasypiać. Na pewno nie.
Za bardzo boję się znowu zapaść
w ten okropny sen, przez który
się obudziłam. Patrzę na męża
i nie chcę go widzieć obok siebie.
Sen może mnie przestraszył, ale tak
naprawdę to mąż mnie przeraża”.*

Młoda i piękna prezenterka Rania Al-Baz była gwiazdą telewizji saudyjskiej. Chorobliwie zazdrosny mąż coraz częściej odwoływał się do przemocy. W końcu pobił żonę do nieprzytomności, zmasakrował jej twarz i porzucił ją przed szpitalem, po czym uciekł.

Przeżycia osobiste skłoniły Ranię do podjęcia walki w obronie kobiet pozbawionych praw w krajach muzułmańskich. Jej pozycja zawodowa i zainteresowanie mediów z Zachodu poruszyły władze Arabii Saudyjskiej. Rozważają zgodę na umożliwienie kobietom zdobycia prawa jazdy. Niestety nadal nie mogą one głosować w wyborach...

ISBN 978-83-7575-753-8



9

 **hachette**
POLSKA
www.hachette.com.pl

patron medialny:

recenzje • rozmowy • wydarzenia
książki
www.rynekksiazki.pl

Rania
Al-Baz

Oszpecona

 hachette
POLSKA

Śmierć na horyzoncie

Światła... Szybciej, potrzebuję światła... Trzęsącą się ręką obmacuję szafkę nocną w poszukiwaniu włącznika lampki. W końcu udaje mi się go *znaleźć*. Łagodne światło zalewa pokój. Obiegam go wzrokiem, zatrzymując się na każdym meblu. Chcę się przekonać, że to wszystko jest rzeczywiste. Serce wali w piersi jak oszalałe, trudno mi złapać oddech, koszula nocna jest mokra od potu, czuję, jak lodowate krople spływają po ciele.

Odruchowo przesuwam ręką po oczach i twarzy. Żyję. Jednak żyję. To był tylko koszmar, zły sen. Powoli obracam się na łóżku, poprawiam poduszkę, aby znowu zasnąć. Obok mnie mąż lekko się porusza i pomrukuje, po czym odwraca się do ściany i zasypia. Przez parę minut pozostaję nieruchomo, potem gaszę światło i na nowo wślizguję się pod cienkie przykrycie na naszym łóżku. Nie chcę zasypiać. Na pewno nie. Za bardzo boję się znowu zapaść w ten okropny sen, przez który się obudziłam. Patrzę na męża i nie chcę go widzieć obok siebie. Sen może mnie przestraszył, ale tak naprawdę to mąż mnie przeraża.

Sceny, jedna po drugiej, przelatują mi przed oczami, wryły mi się w pamięć, nie mogę ich stamtąd usunąć, utrwaliły się w ciemności i nocnej ciszy.

We śnie leżałam wyciągnięta na ziemi, zeszywniała, tysiące mrówek oblazło moje ciało, czułam je na sobie, widziałam, jak zbliżały się w stronę twarzy, ust, oczu. Próbowalam krzyczeć, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Za chwilę miałam się pogрузić, zostać pochłonięta przez tę poruszającą się masę, której nic nie mogło zatrzymać. Bezlitośnie na mnie napierała, aż nagle nade mną pojawiła się ciotka Nefta. Zanurzyła rękę w śmiercionośną chmurę i wydobyła mnie na powierzchnię.

Ratunek przybył w samą porę i powinien zakończyć moje męki. Powinien, ale... Niestety po przebudzeniu do moich zmartwień dołączyły jeszcze złe przeczucia. Oczywiście jestem wierząca i wiem, że istnieje życie po śmierci. W islamie sny mają znaczenie, ale trzeba umieć je odróżnić od wizji. Tylko prorocy mogą mieć wizje. Najsłynniejsza jest wizja Józefa o siedmiu krowach ze snu króla.

Józef był wyjątkowo urodziwy. Żona urzędnika faraona chciała go uwieść za wszelką cenę, ale on odrzucał jej zaloty. Z tego powodu został wtrącony do więzienia. Ponieważ słynął z umiejętności objaśniania sensu snów, pewnego dnia poproszono go o zinterpretowanie snu króla. Monarcha śnił o siedmiu krowach tłustych, które zostały zjedzone przez siedem krów chudych. Józef oświadczył, że nadejdzie siedem lat bogactw, a po nich siedem lat suszy. Król przeorganizował gospodarkę kraju. Przepowiednia Józefa okazała się prawdziwa i państwo, dobrze

przygotowane na gorsze lata, poradziło sobie z klęską neurodzaju. W podzięcie król uwolnił Józefa. Oto dlaczego wierzymy w znaczenie snów.

Ciotka, która w moim śnie zstąpiła z nieba, zmarła wiele lat temu. Dla nas, muzułmanów, sen o zmarłym, nawet takim, który był nam przychylny za życia, a teraz przychodzi i bierze nas za rękę, oznacza, że niedługo dołączymy do niego w zaświatach.

Mimo sympatii, jaką odczuwam do zmarłej ciotki, w wieku dwudziestu dziewięciu lat taka perspektywa nie napawa mnie optymizmem. Pełna niepokoju nie mogę przestać o tym myśleć. Przede wszystkim dlatego, że zostałam wychowana w takiej wierze i ją respektuję, poza tym ten przeklęty sen mam w czasie, gdy dręczą mnie wątpliwości. Zastanawiam się nad swoim życiem i przyszłością. Jestem w impasie, nieszczęśliwa, zdesperowana, chociaż jest dla mnie jasne, że Wszechmogący wyznacza mi cel, przychodzi z pomocą i wskazuje najgodniejsze i najlepsze wyjście z sytuacji. Wytacza mi drogę, która prowadzi prosto do Niego.

Nie rozważałam jeszcze takiego rozwiązania, ale jak na razie nie dostrzegam szczególnego sensu w moim życiu. Wszystko widzę czarno. Codziennie coraz bardziej zanurzam się w piekle i towarzyszy temu pewność, że nic ani nikt nie może mnie z niego wyciągnąć. Mimo młodego wieku jestem już bardzo doświadczona: los nie oszczędził mi ani nietypowych przeżyć, ani następujących po sobie nieszczęść.

Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, a już byłam rozwiedziona. Nawet na Zachodzie to rzadkość. Rozwód dziwi, ale jest dopuszczalny i nikogo nie szokuje. Upatruje się w nim

bardziej niepowodzenia niż poniżenia, to raczej godny pożałowania wypadek niż niezmywalne znamię. Ale na Wschodzie jest zupełnie inaczej. Rozwódka jest kobietą odrzuconą - tą, która nie była w stanie zaspokoić męża, nie umiała zachować się jak małżonka, matka, gospodyni. Rozwódkę wytyka się palcem i podejrzewa o najgorsze, dlatego należy się jej wystrzegać.

Urodziłam się w Mekce, w Arabii Saudyjskiej - w kraju, w którym mieszkam do dziś. Mój dziadek był wybitną osobistością w mieście, gdzie przechowywany jest święty Czarny Kamień - w tym ważnym dla świata muzułmańskiego miejscu, będącym gwarantem zasad i praw naszej religii i celem obowiązkowych pielgrzymek. Wyobraźcie sobie, jak trudno rozwiedzionej kobiecie żyć w tak tradycyjnym i konformistycznym kraju, gdzie rygorystycznie przestrzega się zasad Koranu i gdzie są dwa święte miejsca - meczet, w którym pochowano Proroka, i sanktuarium, w którym znajduje się Al-Kaba!

Bardzo źle zniosłam rozwód. Odczułam go jako upokorzenie i afront w stosunku do mojej rodziny. Przytłaczało mnie poczucie winy. Potrzebowałam dużo czasu i uczucia ze strony bliskich, aby wyjść ze stanu izolacji. Byłam przekonana, że zostałam skazana na bycie samotną do końca życia, i widziałam w tym wyrok boskiej sprawiedliwości, cenę, jaką musiałam zapłacić Stwórcy za popełnione grzechy. Miałam pokornie zaakceptować swoje przeznaczenie. I zaakceptowałam je, aby odzyskać nadzieję w dalszym życiu.

Jednakże moja aparycja, którą uważano za przyjemną, i rozsądek pozwoliły mi poradzić sobie z przykrymi doświadczeniami życiowymi. Bez zbytniego przekonania poszłam na studia

wybrane przez rodziców, a dzięki pomocy i zrozumieniu, jakie okazał mi przyjaciel ojca, mogłam dostać się do Channel 1 - stacji publicznej telewizji saudyjskiej. Byłam pierwszą młodą prezenterką. Wcześniej to stanowisko zajmowało kilka kobiet, ale wszystkie były w statecznym wieku. Dwudziestoparolatka, która w dodatku przygotowuje aktualne, ciekawe tematy - tego jeszcze tutaj nie znano. Z tych wszystkich powodów moje pojawienie się na wizji nie przeszło bez echa. To była rewolucja. Mówiło się o tym w całym kraju.

Wtedy przekonałam się, że sława przyciąga mężczyzn. Nadskakiwali mi całymi dniami. Dziwiło mnie, że tak wielu dobija się do ojca, aby prosić o moją rękę, a dawne matrymonialne niepowodzenie wcale ich nie zniechęcają. W tej sytuacji nie zwlekałam długo z zamążpójściem. Czas pokazał, że zbytnio się pośpieszyłam.

Raszid był piosenkarzem. Zakochany do szaleństwa poza mną nie widział świata. Bez przerwy nachodził ojca, aby zdobyć zgodę na nasze małżeństwo, i w końcu ją uzyskał. Raszid, podobnie jak ja, był rozwodnikiem. Miałam pięcioletnią córkę Rahaf, a Raszid - trzy córki i ośmioletniego syna, który zamieszkał z nami wraz z jedną z sióstr. Musiałam to zaakceptować, ponieważ nikt nawet nie pytał mnie o zdanie.

Z czasem namiętna miłość męża przekształciła się w chorobliwą zazdrość - bezustanną, przytłaczającą, nie do zniesienia. Byłam własnością Raszida, przedmiotem, który chciał mieć pod kontrolą. Nie zamykał mnie, jak robią to niektórzy mężczyźni w Arabii Saudyjskiej, ale zabraniał mi widywać się z kimkolwiek, nawet z przyjaciółkami, o innych

mężczyznach nie wspominając. Byłam całkowicie zniewolona. Kiedy nie występowałam na wizji, kontrolował każdy mój krok.

Miałam nadzieję, że narodziny naszego pierwszego dziecka, Sauda, uspokoją męża, ale bardzo się myliłam. Przyjście na świat pierwszego syna nic nie zmieniło, podobnie zresztą jak narodziny drugiego, Najfa (dwa lata później). Wręcz przeciwnie, Raszid tłamsił mnie coraz bardziej. Tak naprawdę chciał, żebym bez końca rodziła dzieci (domagał się tego wielokrotnie), aby w ten sposób zatrzymać mnie na zawsze w domu. Wiedział, że im więcej dzieci urodzę, tym mniejsze będą moje szanse na rozwód. Mąż zaledwie tolerował fakt, że pracuję w telewizji, i podawał to jako przykład swojej wielkiej wyrozumiałości i wspaniałomyślności. W dodatku było to nasze jedyne źródło utrzymania. Kariera artystyczna męża trwała krótko. Nie wytrzymał też długo jako gryzpiórek na stanowisku w izbie handlowej w Dżuddzie, które załatwił mu przyjaciel. Tak więc toja musiałam pracować, aby zarobić na utrzymanie rodziny.

Pracuję z chęcią, bez grymaszenia i narzekania, a jednocześnie staram się być przykładną żoną i matką. Toja kupuję ubrania dla Raszida i meble do domu... Szyję, przygotowuję doskonałe potrawy dla licznych znajomych odwiedzających męża. Nawet jego siostra przyznaje z nutką zazdrości, że niezrównana ze mnie kucharka. Jednak od samego początku jestem podejrzana o najgorsze i nieustannie pilnowana, co mnie oburza, jest rażąco niesprawiedliwe i trudne do zaakceptowania. Jestem przecież na każde zawołanie męża jak przykładna muzułmańska żona — u nas kobieta ma zajmować się domem, nawet za cenę porzucenia pracy. Mnie udaje się pogodzić jedno z drugim,

a ponadto systematycznie dbam o wygląd i figurę, co jest rzadkością w moim kraju, i tylko potęguję zazdrość Raszida.

Sama ciągnę ten wóz, który z dnia na dzień staje się coraz cięższy, przygniata mnie i niszczy. Czasami chciałabym zwieryć się mojej matce, ale na samą myśl, że mam jej się przyznać, jak wygląda moja codzienność, umieram ze wstydu.

Nawet moja najlepsza przyjaciółka Solina nic nie wie. Powstrzymuję się od jakichkolwiek zwierzeń, ponieważ nie mam zamiaru przyznać się, jak jestem traktowana. Nie chcę pokazywać, że jednak to ja mam mniej szczęścia niż ona, gdyż Solina z pewnością zazdrości mi statusu gwiazdy. U nas problemy małżeńskie są kojarzone tylko z biednymi rodzinami. Dlatego nikomu nie mówię o tym, co tak bardzo mi doskwiera. Zbyt się boję, że moje narzekania dotrą do uszu Raszida.

Nawet nie śmiem sobie wyobrażać jego reakcji. A właściwie jestem w stanie bardzo dobrze ją sobie wyobrazić. Już wielokrotnie byłam policzkowana za to, że ośmieliłam się sprzeciwić. Dokładnie wiem, co by mnie czekało, gdyby Raszid się dowiedział, że opowiadam o nim znajomym jako o złym mężu. Rozsądniej jest siedzieć cicho i czekać na lepsze czasy, choć straciłam już nadzieję, że one nadejdą. Zachowuję więc swój dramat w sekrecie. Później nie będę już musiała się żalić ani opowiadać o swojej niedoli, ponieważ Raszid i tak sam się zdemaskuje przed Soliną.

Pewnego wieczoru siedzę w pokoju i gawędzę przez telefon z przyjaciółką, gdy nagle do sypialni wpada mąż. Jest bardzo zdenerwowany i bacznie mi się przygląda. Czuję, że nadciąga nawałnica, więc natychmiast przerywam rozmowę z Soliną.

- Przepraszam cię na chwilę. Zdaje się, że Raszid chce ze mną rozmawiać...

Następnie zasłaniam słuchawkę dłonią i najspokojniej, jak potrafię, pytam męża:

- Czy czegoś ci potrzeba?

Ledwo kończę zdanie, a on już oskarżycielsko wysuwa palec w moją stronę.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Soliny. Dlaczego pytasz?...

Rozwścieczony Raszid podchodzi do mnie i wrywa mi słuchawkę. Instynktownie osłaniam twarz rękami przekonana, że mnie uderzy, choć zupełnie nie wiem, z jakiego powodu. Ale nie, on nagle prostuje się, odwraca się do mnie plecami i krzyczy do Soliny:

- Przestań dzwonić do Ranii. Zabraniam jej telefonować! Zrozumiałaś?

Potem po prostu rozłącza naszą rozmowę i krzyczy do mnie groźnie:

- Słyszałaś, co powiedziałem?! Żadnych telefonów. Ani do Soliny, ani do nikogo...

Wciśnięta w poduszkę zamieram. Podciągam koc aż pod brodę w bezsensownym, idiotycznym odruchu obrony. Nie śmiem nawet pisnąć słówka. Z niesamowitą ulgą patrzę, jak Raszid wychodzi z pokoju. Zabraniać mi rozmawiać z przyjaciółką... To chore! Rozmowy telefoniczne to jedyny dostępny mi sposób komunikowania się ze światem zewnętrznym. Dzięki niemu nie czuję się tak dotkliwie osamotniona. Straszne, że mąż chce mi i to odebrać. Duszę się z wściekłości, chciałabym

wrzeszczeć, ale krzyk więźnie mi w gardle i nagle wybucham płaczem. Nie mam wyboru. U nas to mężczyzna decyduje, kobieta może tylko się podporządkować, on jest panem. Raszid nie wygląda na pana, ale to nic nie zmienia.

Następnego dnia, podczas nieobecności Raszida, łamię zakaz i dzwonię do Soliny, aby ją przeprosić i wszystko wytłumaczyć, ale kiedy ona rozpoznaje mój głos, wpada w panikę.

- Ranią? Zwariowałaś! Nie słyszałaś, co powiedział twój mąż? Nie wolno nam do siebie dzwonić.

- Ależ, Solino, to głupota! Nie chcę zrywać naszej znajomości niezależnie od tego, co mówi Raszid.

- Nie, Raniu, nie mogę sobie pozwolić na konflikt z twoim mężem. On może się poskarżyć mojemu i obie zostaniemy ukarane. Zapewniam cię, Raniu, tak będzie lepiej i dla mnie, i dla ciebie. Jeszcze znajdziemy czas na przyjaźń. Później, obiecuję, ściskam...

Kiedy powoli odkładam słuchawkę, nie mogę się oprzeć okropnej myśli, że jestem zadżumiona. Czuję, jak moje życie się rozpada. Wszystkim przeszkadzam i nikomu nie jestem potrzebna. Przypomina mi się straszny sen sprzed kilku dni - z mrówkami i ciotką przybyłą na pomoc. To mnie jeszcze bardziej niepokoi. Zaczynają mnie prześladować myśli o śmierci. Zresztą czy ja już nie jestem martwa? Kolejny raz wzywam na pomoc moją matkę, ale jak zwykle nie jestem w stanie z nią porozmawiać.

Powinam się komuś zwierzyć z tego, czego doświadczam. Moja tajemnica ciąży mi coraz bardziej, muszę to z siebie

wyrzucić w ten czy inny sposób. A tymczasem bezustannie pożerają mnie mrówki z mojego snu. Wstrętne insekty są teraz we mnie, czuję, jak wgryzają się w moje trzewia, zażerają się moimi wnętrznościami, chłęczą moją krew, atakują serce. Umrę - to pewne, mam takie przeczucie. Umrę, ponieważ moja ciotka nie na darmo pojawiła się w moim śnie.

Tak więc pewnego smutnego popołudnia biorę czystą kartkę papieru i na górze po prawej stronie piszę te trzy słowa: „Oto mój testament”.

W świecie islamu napisanie testamentu jest inspirowane postępowaniem Proroka. Zaczynam i bez namysłu, bez zastanawiania się nad znaczeniem słów, piszę: „Jeśli zostanę zamordowana, chcę, abyście wybaczyli. Nawet jeśli mordercą będzie mój mąż, nie domagajcie się odwetu, ponieważ ja przebaczam”.

Takie oświadczenie jest ważne. Rygorystyczne i nieugięte prawo muzułmańskie surowo karze wszelkiego rodzaju gwałty lub kradzieże, a tego, kto pozbawił kogoś życia, czeka śmierć. Wymiar kary sprawcy może zmniejszyć tylko ofiara, jeżeli tego sobie życzy lub gdy wybacza.

Ale skąd się wzięła ta nagła myśl o mężu? Nadal nie jestem w stanie sobie tego wytłumaczyć. Przrzekam, że gdy sięgałam po pióro, przez myśl mi nawet nie przeszło, że on może targnąć się na moje życie. A poza tym skąd pewność, że ktoś będzie chciał mnie zamordować? Dlaczego pomyślałam o zbrodni, a nie o wypadku? Wydaje mi się, że wszystko rozegrało się w mojej podświadomości - to strach podyktował mi te słowa i dziwne przeczucia.

Kiedy spisuję moją ostatnią wolę, psychicznie jestem już martwa, w śmierci mentalnej upatruję przyczynę śmierci fizycznej.

Jest to normalna, zwyczajna i naturalna konsekwencja mojego wyniszczenia psychicznego. Dlatego właśnie wykluczam wypadek czy chorobę. Te nieszczęścia dotyczą nas fizycznie, kiedy się ich nie spodziewamy. Jeśli już nas dopadną, można je doskonale zidentyfikować, bo nie chcą się wcale ukrywać. Ja czuję zbliżającą się śmierć, ale ona nadchodzi zamaskowana i muszę zgadnąć, kto się za tym kryje. Liczba możliwych osób jest ograniczona, ponieważ praktycznie żyję w odosobnieniu. Jeżeli mają mnie zamordować, to zabójcą musi być ktoś z mojego otoczenia, a ono sprowadza się do minimum. Nie widuję się z nikim, poza moją rodziną, dziećmi i mężem, od czasu do czasu spotykam się z teściami mieszkającymi nad nami, znajomymi Raszida, których dokładnie dobiera, i moimi kolegami w pracy. Tak więc w tym niewielkim gronie muszę szukać mojego zabójcy. I najzwyczajniej w świecie, bez udziału świadomości, pojawia się przed oczami Raszid.

Jednak kiedy piszę, że należy wybaczyć „nawet” mojemu mężowi, mam na myśli: „w nieprawdopodobnym przypadku, gdyby chodziło właśnie o niego”. Co oczywiście wydaje się nie do pomyślenia.

Moja podświadomość odgaduje prawdę, a ja świadomie jej zaprzeczam albo upewniam się - być może jedno i drugie. Ponieważ słowa: „nawet jeśli mordercą będzie mój mąż”, na niego wskazują, ja z mocą stwierdzam - to może być tylko on. Jednak trudno pogodzić się z prawdą, gdy jest szokująca. A ta jest dla mnie wyjątkowo bolesna, gdyż nie dopuszczam do siebie myśli, że Raszid mi zagraża. Uświadomienie sobie tego byłoby równoznaczne z przyznaniem się do drugiego nieudanego związku. I znów musiałabym się obwiniać.

Spisanie dalszej części testamentu idzie mi o wiele szybciej, ale też nie jest bez znaczenia dla tego, co odczuwa się w obliczu śmierci. Przelewam uczucia na papier, wymieniam ludzi i rzeczy, mieszam tych, których kocham, z najbardziej osobistymi przedmiotami. W końcu bez wahania przekazuję moim najbliższym to, co najcenniejsze; to, do czego jestem najbardziej przywiązana, ale niekoniecznie to, co ma największą wartość materialną. Moja siostra i ja dostałyśmy od matki zegarki. Za każdym razem, gdy jedna z nas wyjeżdża, wymieniamy się nimi i w ten sposób się nie rozstajemy, jesteśmy w stałym kontakcie, myślimy o sobie nawzajem. Ten zwyczaj natychmiast mi się przypomina i precyzuję, że ukochana siostra ma odziedziczyć mój zegarek.

Później zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę nie wyobrażam sobie, że rzeczywiście umrę. To dziwne uczucie. Napisanie testamentu jest przede wszystkim sposobem na wyrzucenie z siebie obaw i przypomnienie sobie drogich mi osób wtedy, gdy czuję się bardzo samotna, porzucona i potrzebuję ciepła i uwagi. Podczas rozdysponowywania rzeczy osobistych robię spis wszystkich tych, którzy na pewno mnie kochają. I to mnie pociesza.

* * *

Po moim koszmarze postanowiłam przenieść się do innego pokoju. Nie mogę już tej nocy spać obok męża. Coś we mnie pękło. Prawie już ze sobą nie rozmawiamy, jesteśmy jak dwa cienie poruszające się w jednym mieszkaniu, i bezustannie siebie unikamy. Ustala się *status quo* i każdy sprawia wrażenie, że to go

zadowala. Ale ten spokój jest tylko powierzchowny, jestem tego pewna. Dobrze czuję, że pod zimną skorupą ogień wciąż płonie, i w pewnej chwili żałuję, że się obudziłam.

Przez dziesięć dni pozostajemy na swoich pozycjach: jedno stara się ignorować drugie. Pewnego wieczoru Raszid wraca do domu, kiedy rozmawiam przez telefon z przyjaciółką. Jego surowy wzrok nie pozostawia wątpliwości: zawieszenie broni zostanie zerwane. Gdy tylko odkładam słuchawkę, mąż zarzuca mnie pytaniami i pogrózkami. Jednak tym razem bronię się i obydwójce podnosimy głos. Aby zakończyć kłótnię, wślizguję się do łóżka dzieci. Raszid kapituluje i również kładzie się spać.

Leżę w ciemności, ale nie mogę zasnąć. Myślę o przyszłości. Obecna sytuacja nie może trwać wiecznie, muszę wymyślić jakieś rozwiązanie. Nie możemy do końca naszych dni żyć pod groźbą ciągłych awantur. Po długich rozmyślaniach decyduję się na nowy sposób załagodzenia sytuacji. Kosztuje mnie to wiele wysiłku, ale uznaję, że jest konieczne dla naszego związku i dzieci.

Kiedy tylko wschodzi słońce, prześlizguję się do kuchni, aby przygotować obfite śniadanie, następnie ładnie nakrywam stół w jadalni, tak aby Raszid po przebudzeniu mógł usiąść i wypić herbatę. Po upewnieniu się, że wszystko jest na swoim miejscu, odczuwam ogromne zmęczenie i wracam do łóżka. Emocje opadają i zasypiam jak kamień.

Śpię jeszcze głęboko, kiedy przychodzi Raszid i delikatnie mnie budzi. Wydaje mi się, że śnię, gdy słyszę, jak czule szepcze mi do ucha przed wyjściem z domu. To wspomniałam. Bardziej wtulam się w poduszkę i ponownie zasypiam jak niemowlę.

Kiedy się budzę, w mieszkaniu nie ma nikogo. Nie słyszę żadnych odgłosów, nawet dzieci, których łóżka są nieposłane. Musiały po cichu wstać i pójść gdzieś razem z ojcem. To dopiero wydarzenie - Raszid nigdy nie zabiera ze sobą dzieci. Zaczynam mieć nadzieję, że być może mąż również postanowił wyjść z impasu i dlatego każde z nas musi się postarać. Czyżby przygotowanie śniadania przyniosło oczekiwany efekt? Kilka miłych słów wypowiedzianych przed wyjściem świadczy o postanowieniu poprawy. Zachowanie Raszida jest niezwykle, ale nie niepokojące. Wręcz przeciwnie - może to być dowód na przemyślenie sprawy i chęć pogodzenia się.

Ta myśl daje mi nadzieję. Pokrzepiona rozkoszuję się słońcem i spokojem. Nie jest jeszcze zbyt gorąco - promienie słoneczne wpadają do salonu, a ja leżę i wygrzewam się naprzeciwko okna.

Jest 4 kwietnia 2004 roku. Mam wrażenie, że odżywam. Uśmiecham się na myśl o testamencie, który spisałam kilka dni temu i starannie schowałam na dnie szuflady. Być może nie jest już aktualny, ale mimo wszystko coś nie pozwala mi go zniszczyć. Po chwili znowu rozkoszuję się spokojem.

Przez cały dzień nie mam żadnych wiadomości od Raszida i dzieci. Ani słowa. To dziwne, ale nie martwię się. Czyżby Raszid w końcu odkrył przyjemność bycia ojcem? Poświęcam te godziny spokoju na szycie. Ze względu na oszczędności sama wymyślam, kroję i szyję swoje ubrania. Nie jest to dla mnie uciążliwe zadanie, lubię tego typu zajęcia. Kiedy już usiądę przy maszynie do szycia, nie zauważam upływu czasu.

Tego dnia podnoszę głowę znad materiału dopiero po zachodzie słońca. Raszida wciąż nie ma w domu. Nie jest to nic alarmującego. Wzmagające się odgłosy dochodzące z ulicy przypominają o tym, że w Arabii Saudyjskiej miasta i wsie ożywają wieczorem, kiedy skwar ustępuje. Ponadto człowiek estrady, taki jak mój mąż, jest szczególnie przyzwyczajony do nocnego życia, wręcz kocha tę porę. A ponieważ ma niewielkie doświadczenie w wychowywaniu dzieci, pewnie nie zdaje sobie sprawy, że dla nich jest już późno i od dawna powinny być w łóżkach. Takie jest moje odczucie, ale wybaczam mu to odstępstwo od zasad przez wzgląd na nasze pojednanie.

Oczekiwanie na powrót rodziny umiłam sobie oglądaniem telewizji. Chcę zobaczyć, co proponują moi koledzy z Channel 1.

W końcu krótko przed północą Raszid i dzieci wracają do domu. Mimo późnej pory robią spore zamieszanie. Dzieciaki są podekscytowane. Podbiegają do mnie, aby pochwalić się prezentami, które kupił im ojciec - to wspańiałe wielobarwne małe motocykle, na których ze śmiechem i z krzykiem przemieszczają się po mieszkaniu. Po paru minutach przerywam ich zabawę i nakazuję iść spać.

Potem zastanawiam się nad postępowaniem Raszida. To dobrze, że rozpieszcza dzieci. Jednocześnie zadaję sobie pytanie, za czyje pieniądze mógł kupić te zabawki. Trochę mnie to irytuje, ponieważ wiem, jakich cudów muszę dokonywać, aby co miesiąc związać koniec z końcem, a mam do dyspozycji tylko moją pensję. Nic nie mówię, ale to wprowadza mnie w zły nastrój. Nie mogę się powstrzymać od uszczypliwości, kiedy mąż zbliża się do mnie, aby bez pytania o zgodę wziąć papierosa z mojej paczki.

To idiotyczne, ale ten gest mnie denerwuje, zresztą zawsze mnie drażnił, tak więc zabieram mu paczkę z ręki.

- Zostaw moje papierosy. Jeśli chcesz, to inne leżą w kuchni.

Dostrzegam jego oburzenie. Gdy Raszid wychodzi do drugiego pokoju, ja natychmiast przygryzam wargi. Ta odruchowa reakcja była błędem. Zagraża moim staraniom o poprawę naszych relacji i być może podobnemu postanowieniu Raszida, jeżeli takowe powziął. Jednak nie mogę dłużej się nad tym zastanawiać, bo dzwoni telefon. Odbieram i jednocześnie wpatruję się z napięciem w kuchenne drzwi.

- Halo?

- Halo? Ranią? Dobry wieczór. Co u ciebie słyszać?

Rozpoznaję głos Lejli, mojej przyjaciółki. Sparaliżowana strachem przerywam jej bez ogródek.

- To nie jest najlepszy moment, oddzwonię...

Za późno. Raszid pojawia się już w drzwiach i mnie atakuje.

- Kto to?

- Lejla.

Raszid, wściekły, bez słowa wychodzi z pokoju i idzie oglądać telewizję. Podążam za nim. Mam dosyć takiego traktowania i nie pozwolę na podobne zachowanie. Gwałtownie stoję przed nim i czuję, jak narasta we mnie wściekłość. Prawie się duszę, aż wreszcie wybucham:

- Dosyć, wystarczy. Przestań zatruwać mi życie. Pomyliłam się, nigdy cię nie kochałam. To koniec, zostaw mnie w spokoju...

Mimowolnie wyrzucam z siebie długo wstrzymywane słowa. Nie mam nad nimi kontroli. Raszid patrzy na mnie swoim przeszywającym wzrokiem, w jego czarnych oczach czai się

nienawiść, czuję jego oddech na mojej twarzy. Podnosi głos, wręcz krzyczy:

- A ja?! Myślisz, że ja cię Kocham? Nieszczęsna kobieto, jestem z tobą tylko ze względu na dzieci. W innym przypadku już dawno by mnie tu nie było!

- Świetnie! Doskonale, rozwiedzmy się, idź sobie żyć, jak chcesz, i zostaw mnie w spokoju.

Raszid błąd jak trup podchodzi do mnie. Boję się, że mnie uderzy, i aby temu zapobiec, wysuwam idiotyczną groźbę, godną małej dziewczynki w niebezpieczeństwie:

- Jeśli mnie uderzysz, powiem ojcu i...

Koniec zdania więźnie mi w gardle. Trzęsę się, cofam, szukam czegoś do obrony, czuję się sterroryzowana. Raszid, łapiąc mnie za szyję, wrzeszczy mi w twarz:

- Nie będę cię bił, ale cię uduszę...

Wszystko wokół mnie wiruje. Raszid podrywa mnie z ziemi i rzuca o podłogę. Uderzam twarzą w białą, marmurową posadzkę w salonie. Przeszywa mnie potworny ból rozsadzający głowę. Krzyczę, ale nic nie widzę, moje oczy zalewa krew. Bezskutecznie usiłuję się podnieść, ale Raszid napiera na mnie całym ciężarem ciała. Słyszę, jak zmienionym głosem mówi coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Módl się, no, dalej, masz jeszcze czas, módl się...

I modlę się! Tak, modlę się... Przez ułamek sekundy myślę o śmierci. Raszid zaciska dłoń wokół mojej szyi, a potem powracają szybkie i gwałtowne uderzenia. On naprawdę chce mnie zabić. Wołam dzieci, które śpią w swoim pokoju. Ich sen jest zbyt głęboki - nie słyszą. Wzywam pomocy, ale sąsiedzi

nie reagują. Mężczyzna bijący swoją żonę nie jest tutaj rzadkością. Lepiej się nie wtrącać. To koniec, już nie reaguję, czuję, jak ulatuje ze mnie życie. Tracę przytomność.

* * *

Co było dalej? Będę potrzebowała wielu tygodni, żeby odtworzyć przebieg wydarzeń dzięki relacjom zebranych przez policję oraz zeznaniom mojego męża.

Szał Raszida w jednym momencie zakończył się i ustąpił miejsca panice. Mąż zdał sobie sprawę, że mógł mnie zabić, i zaczął się bać. Ubranie, które miał na sobie, było zabrudzone krwią, tak samo jak ściany i meble. Raszid szybko się przebrał, a następnie wrzucił kilka rzeczy do torby. Pomyślał o wzięciu paszportu, co świadczy o tym, że rozważał możliwość ucieczki za granicę. Potem przeniósł mnie do samochodu, położył na tylnym siedzeniu, usiadł za kierownicą i pojechał do odległego o cztery kilometry szpitala. Była noc, ulice świeciły pustkami. Niezauważony przez nikogo Raszid porzucił mnie na chodniku przed szpitalem i uciekł do hotelu, w którym pracuje jego siostra. Akurat jej tam nie było, więc tylko zostawił torbę i zapowiedział, że jeszcze wróci, po czym zniknął.

Znalazł mnie lekarz wychodzący ze szpitala. Minęło zaledwie parę minut, od kiedy Raszid zostawił mnie w tym miejscu. To szczęśliwy zbieg okoliczności, bo wciąż traciłam wiele krwi. Nie miałam przy sobie żadnych dokumentów. Byłam nieprzytomna i tak zmasakrowana, że nikt by mnie nie rozpoznał. A przecież moją twarz znało wielu widzów.

Natychmiast przeniesiono mnie do izby przyjęć, a lekarze usiłowali uzyskać ode mnie jakieś informacje, by mnie zidentyfikować, i dokładali wszelkich starań, by utrzymać mnie przy życiu.

Po jakimś czasie odzyskałam przytomność i, jak mi później powiedziano, byłam w stanie wyszeptać swoje nazwisko i numer telefonu. Niestety, był to numer telefonu komórkowego mojego męża, a Raszid oczywiście nie zamierzał go odbierać. Zresztą trudno oczekiwać, by to on podnosił alarm i powiadamiał moją rodzinę, że właśnie pobił mnie do nieprzytomności. Dlatego moi wybawcy wrócili do mnie i, nie wiem jakim cudem, udało mi się przekazać im numer telefonu moich rodziców, zanim zapadłam w śpiączkę. Była druga w nocy.

Telefon odebrała moja siostra. Zadzwoił, kiedy zeszła do kuchni napić się wody. Wahała się, czy podnieść słuchawkę, ponieważ ojciec zabronił jej rozmawiać przez telefon po północy - zbyt się bał, że mógłby to być jakiś adorator. Nie życzył sobie przygód miłosnych swoich córek. „Uwaga, żadnych związków z mężczyznami” - zawsze to powtarzał. W końcu siostra odebrała, ponieważ przeczuwała coś złego. Ale nie myślała wtedy o mnie. Jeden z naszych braci miał poważne problemy ze zdrowiem i bała się, że jego stan gwałtownie się pogorszył. Szok był jeszcze większy, kiedy się dowiedziała, że to właśnie ja leżę w szpitalu i sprawa jest bardzo poważna. Więcej nie mogli jej powiedzieć przez telefon.

Kilka minut później ojciec z matką przyjechali do szpitala, ale lekarze nie pozwolili im wejść do sali na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, ponieważ obawiali się ich reakcji na widok okaleczonej córki.

W tym czasie policja została już powiadomiona przez lekarzy którzy mieli pewność, że to nie był nieszczęśliwy wypadek, ale ktoś mnie pobił i to ciężko.

Ujawnienie mojej tożsamości było niczym grom z jasnego nieba. Policjanci licznie przybyli, kiedy tylko dostali wezwanie ze szpitala wraz z informacją o tym, kto padł ofiarą brutalnej przemocy. W końcu niecodziennie zdarza się, aby w ich rejonie pobito gwiazdę telewizji.

Kiedy przyjechali moi rodzice, przed szpitalem stało już dwanaście radiowozów policyjnych. Po krótkiej rozmowie z lekarzami policjanci zaczęli zadawać ojcu podstawowe pytania. Dość szybko podejrzenia padły na mojego męża.

Po przesłuchaniu matce nagle puściły nerwy. Upierała się, że chce mnie zobaczyć. Lekarze musieli ustąpić. Na szczęście twarz miałam zasłoniętą bandażami, które ukrywały okaleczenia. Pierwsze prześwietlenia wykazały trzynaście złamań. Pierwszą operację miałam przejść następnego dnia, oczywiście jeżeli mój stan na to pozwoli. Lekarze powiedzieli moim rodzicom, że dają mi niewielkie szanse na przeżycie. Później przyznali, że w tamtej chwili szacowali je na nie więcej niż trzy procent.

Udało mi się jednak z tego wyjść. Po czterech dniach wreszcie odzyskałam przytomność. Potworny wieczór 4 kwietnia zaczął mi się powoli przypominać i ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Nie miałam nawet siły myśleć o zemście na Raszidzie. Marzyłam o dwóch rzeczach - śnie i zapomnieniu.

Nie byłam świadoma, że ujawnienie bestialskiego zachowania mojego męża wywołało w całym kraju ogromne poruszenie.

Ten brutalny atak stał się sprawą wagi państwowej. Potępiali go najwyżsi dostojnicy. Martwili się o mnie i życzyli mi powrotu do zdrowia. Przykuta do szpitalnego łóżka zupełnie nie zdawałam sobie sprawy że zdjęcie mojej opuchniętej twarzy obiegło już cały świat, a o mojej gehennie mówiono nawet w kongresie amerykańskim!

CAŁY ŚWIAT SIĘ MOBILIZUJE

Od chwili, gdy się okazało, że jestem znaną osobą, w szpitalu wszyscy są jeszcze bardziej zbulwersowani tym, co mnie spotkało. Po czterech dniach w śpiączce powoli się wybudzam. Lekarze i pielęgniarki na zmianę dyżurują przy moim łóżku. Wszyscy chcą się upewnić, że niczego mi nie brakuje, dowiedzieć się, czy coś mnie nie boli, zapytać, czy mi się polepsza. Doceniam te starania, ale w pewnym momencie ten nieustanny korowód ludzi zaczyna mnie męczyć. Marzy mi się cisza i spokój. Chociaż biorę leki przeciwbólowe, moją twarz regularnie przesywają okropne bóle. Chce mi się krzyżeć, ale uniemożliwiają to zakrywające usta bandaże. W rozpaczę wołam matkę i proszę o pomoc. W końcu ból ustępuje, uspokojam się i pogrążam w krótkim śnie.

Na pierwsze odwiedziny zezwolono dwa dni po tym, gdy się wybudziłam ze śpiączki. Wtedy pojawiają się moi rodzice. Matka, czepiając się rąk lekarzy, błaga, aby ratowali mi życie. Ojciec zadawała się wykrzykiwaniem gróźb pod adresem

Raszida i uskarżaniem się na to, jaki przyniósł mu wstyd. A przecież on nas przed nim ostrzegał... Nie przestaje powtarzać: „Widzicie? Miałem rację, toja miałem rację, a wy byłyście w błędzie!”. A ja? Gdzie jest troska o mnie, odrobina współczucia?

W tym momencie wchodzi jeden z naszych sąsiadów, Hamouda, przyjaciel ojca. Kiedy tylko mnie widzi, zaczyna płakać. Dobrze mnie zna i wie, jak wygląda moje życie. Nagle chwytając ojca i krzyczy:

- To nie Raszid ją zabił, to ty! Gdybyś był mniej surowy, już dawno wróciłaby do twojego domu i nie znalazłaby się tutaj!

Półprzytomna słyszę to wszystko jakby z oddali. Nie jestem w stanie rozpoznać głosów, nie rozumiem, co się dzieje. Jak idiotka wciąż powtarzam „abi, abi” (tato, tato). Chcę w godzinie śmierci powierzyć mu swoje dzieci, pragnę odnaleźć prawdziwego, czułego ojca, który weźmie mnie w ramiona. Ale czego mogę się po nim spodziewać? Przez trzydzieści lat mojego życia przytulił mnie może dwa czy trzy razy.

W końcu z ogromnym wysiłkiem otwieram oczy i widzę matkę oraz Hamoudę czuwających przy łóżku. Ten człowiek, jak później się dowiem, czekał z mamą pod drzwiami pokoju przez cały czas, kiedy byłam nieprzytomna. Hamouda zabiegał kiedyś o moją rękę. Ale jest Syryjczykiem i ojciec nawet nie rozważał tej propozycji matrymonialnej. Nie powinnyśmy wchodzić w związki małżeńskie z obcokrajowcami. Wiedziałam, że prosił o moją rękę, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mnie kochał. Gdy z trudem otwieram oczy i widzę go w pokoju, zamiast grzecznie podziękować za odwiedziny, przede wszystkim niezmiernie tym zdziwiona mówię:

- Pierwszą osobą, którą widzę, jesteś ty. Ale co ty tu robisz?

Całkowicie zbity z tropu, biedny Hamouda mamrocze:

- Tak jak wszyscy w mieście byłem bardzo zaniepokojony i koniecznie chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz.

To krótkie zdanie trochę mnie otrzeźwiło.

- Ludzie w mieście się o mnie martwią?

Mój zakłopotany rozmówca chwytą się tego wątku niczym tonący brzytwy.

- Tak! Mówi się tylko o tobie, a historia twojego pobicia jest na pierwszych stronach gazet.

Z niedowierzaniem odwracam się w stronę matki, aby uzyskać potwierdzenie tych słów.

- Tak, to prawda - odpowiada. - Dziennikarze ze wszystkich czasopism chcieli cię zobaczyć, przeprowadzić z tobą wywiad, jednak twój stan zdrowia jeszcze na to nie pozwala. Lekarze przede wszystkim chcą, abyś odpoczywała. Ale reporterzy są blisko. Czekają przed szpitalem na zezwolenie, aby się z tobą zobaczyć. Pytają o twoje zdrowie po każdej naszej wizycie. Wczoraj policja usunęła fotografa z tarasu sąsiedniego budynku. Przez ogromny teleobiektyw miał nadzieję dostrzec cię w którymś ze szpitalnych pokoi!

Gdy słucham tej opowieści, powoli zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że zupełnie nie wiem, co się ze mną stało po pobiciu. Nie mam nawet pojęcia, co się dzieje z moim mężem. Dopiero mama opowiada mi przebieg zdarzeń.

Po tym, jak porzucił mnie na chodniku pod szpitalem i zostawił torbę z rzeczami w hotelu, w którym pracuje jedna z jego siostr, Raszid zniknął. Słuch o nim zaginął. Nikt nie wie,

gdzie się ukrywa. Być może dzięki temu, że zabrał paszport, udało mu się opuścić kraj. Policja uważa to za mało prawdopodobne i intensywnie poszukuje mojego męża. Gazety opublikowały jego podobiznę, co w istotny sposób powinno przeszkodzić mu w ucieczce. Prędzej czy później uda się go zatrzymać, co powinno mnie usatysfakcjonować.

Jednakże wcale tak nie jest. Moja pierwsza reakcja zadziwia otoczenie. Wszyscy oczekują, że będę żądać, żeby sprawiedliwości stało się zadość i żeby ukarano mojego męża. Tymczasem opowieść matki mrozi mi krew w żyłach i zaczynam sobie wyobrażać to, co osobiście uważam za najgorsze, a o czym, zdaje się, nikt nie myśli. Raszid po przeczytaniu gazet mógł sobie zdać sprawę z powagi sytuacji - pewnie poczuł się zaszczuty, co w połączeniu z faktem, że nie miał pieniędzy, mogło go skłonić do popełnienia samobójstwa.

Kiedy o tym mówię, w pokoju zapada grobowa cisza. Nikt nie przewidywał takiego przebiegu wydarzeń, a ponadto nikt się tym nie przejmuje. Fakt, że ja, ofiara, martwię się o swojego oprawcę, zbija z tropu osoby siedzące przy łóżku - moich rodziców, niedoszłego męża i jeszcze kilku innych przyjaciół, którzy przyszli później. Dobrze wiem, co każde z nich myśli, ale nikt nie śmie powiedzieć na głos: „No tak, to możliwe. I co z tego? Nic by się nie stało, w końcu on próbował cię zabić”.

Jednak ja wcale tego tak nie odbieram. Raszid jest ojcem dwójki moich dzieci, którymi, biorąc pod uwagę okoliczności, będę się opiekować. Co one sobie później pomyślą o takiej tragedii? Jakie wnioski wyciągną po jej przeanalizowaniu? Czy w ich rozumieniu nie będę winna takiej sytuacji? Po tym,

jak straciły ojca, mogłyby odwrócić się od matki. To byłoby dla nich okropne. Nie chcę tego. Raszid źle postępował, nie wolno używać przemocy, ale do tej tragedii doprowadziły dwie osoby. Chcę to jeszcze spokojnie przemyśleć. W tym celu muszę wiedzieć, że mąż żyje. Jego śmierć zafałszowałaby osąd, nieodwracalnie naznaczyła moje życie. W moim mniemaniu skazałaby mnie na potępienie w oczach synów. Odrzucam tę potworną perspektywę, golgotę nie do zniesienia dla matki. Oby Raszid żył! Tak, oby żył, aby móc przyznać się do winy, wziąć na siebie odpowiedzialność przed naszymi dziećmi. Chcę im zostawić możliwość osądzenia. Nie powinnam tego robić za nie.

Z tych wszystkich powodów myśl o ewentualnej śmierci męża dręczy mnie jeszcze bardziej niż własne nieszczęście. Otumaniona nie jestem w stanie przekonać bliskich, że jeśli Raszid żyje, to pragnę, aby wiedział, że mu przebaczam. Chciałabym nawet natychmiast prosić sędziów o łaskawy wyrok. Ze względu na dzieci pragnę, żeby nie skazywali Raszida na dziesięć lat więzienia, a prawo daje taką możliwość. Niech mu nawet darują przewidziane w kodeksie trzysta batów wymierzanych publicznie. Tutaj znów myślę o naszych synach - takie widowisko byłoby dla nich koszmarnym przeżyciem. Jeśli wyzdrowieję, chciałabym widzieć, jak spokojnie dorastają. Nie chcę, żeby oglądali ojca publicznie chłostanego. Jak tylko będzie to możliwe, zamierzam się domagać, aby sąd wysłuchał moich prośb. Kiedy ofiara domaga się łaski, sędziowie zawsze biorą to pod uwagę.

Znam tylko jeden sposób, żeby mój mąż się o tym dowiedział — powiadomienie prasy. Dziennikarze będą najlepszymi pośrednikami. Jeszcze tylko należy o tym przekonać moich

bliskich, którzy nie wydają się zachwyceni tym pomysłem. Ponadto bardzo szybko się orientuję, że są dziwnie mało rozmowni. Nie do końca rozumiem okazywane przez nich rezerwę i zakłopotanie, aż do momentu gdy jedna z odwiedzających mnie siostr napomyka:

- Jesteś jeszcze za słaba na to, żeby przyjmować dziennikarzy. Rozsądniej byłoby trochę zaczekać...

Kiedy tylko to słyszę, z trudem podnoszę się na łóżku, a matka podbiega, by poprawić mi poduszki.

- Podajcie mi lusterko! - żądam nagle.

Trafiłam w dziesiątkę. Natychmiast wybucha panika. Widzę, że każdy wpada w popłoch i wołałby uciec przez dziurkę od klucza, niż mi odpowiedzieć.

- Jest to możliwe, prawda? Chciałabym zobaczyć, jak wyglądam, jak bardzo zostałam okaleczona - nalegam.

Moja matka pierwsza przerywa milczenie.

- Nie mam przy sobie lusterka. Pójdę poprosić pielęgniarkę...

Wiem, że kłamie. Matka zbytnio dba o swój wygląd, żeby wyjść z domu bez lusterka. Teraz już mam pewność, że jestem zmasakrowana, a moja twarz to jedna wielka rana. Ogarnia mnie paniczny strach.

Kilka minut później do pokoju wchodzi lekarz. Zbliża się do mnie z uśmiechem i próbuje pokrzepić.

- A więc chciałyby pani się obejrzeć? Dziś nie zobaczy pani nic oprócz bandażu. Jutro zaczniemy je zdejmować, wtedy będzie pani mogła popatrzeć. To nie będzie piękny widok. Będzie pani miała jeszcze sporo siniaków i ran, ale proszę się nie martwić, później wszystkim się zajmiemy. Trzeba być cierpliwą.

Jego wypowiedź wcale mnie nie przekonuje. Aż do tej pory ból był silniejszy niż wrażenia estetyczne. Czułam się wewnętrznie połamana; trzymał się pęknięć jak na jedną czaszkę to dużo i głównie to zaprzętało moje myśli. Nie zastanawiałam się jeszcze nad obrażeniami zewnętrznymi i tym Jak wyglądam. Teraz zaczynam w pełni zdawać sobie z tego sprawę i boję się chwili prawdy.

W nocy nie mogę spać. Muszę wziąć środki uspokajające, żeby zasnąć, i ciągle zadaję sobie pytanie, jak wyglądam. Mimo zażycia proszków nasennych budzę się wcześniej rano i natychmiast domagam się, aby mi zdjęto bandaże. Biedne pielęgniarki próbują mi tłumaczyć, że czekają na lekarza i nic bez niego nie mogą zrobić. Wściekam się i złorzeczę temu głupiemu lekarzowi, który nie przychodzi.

Późnym rankiem lekarz w końcu się pojawia i wreszcie zaczyna się coś dziać. Pielęgniarki bardzo ostrożnie zdejmują bandaże i odklejają plastry. Mam wrażenie, że to wszystko trwa godzinami, bo ich ruchy są powolne. Za każdym razem kobiety dopytują:

— Czy wszystko w porządku, czy to pani nie boli?

Kiedy kończą, podchodzi lekarz i obmacuje mi twarz. Zanim poda mi długo wyczekiwane lusterko, ponownie mnie uprzedza:

- To będzie dla pani szok, ale proszę nie panikować. Rany są jeszcze świeże, ale z czasem i po przeprowadzeniu odpowiedniej kuracji wszystko wróci do normy. Odzyska pani swoją twarz z telewizji.

Ręce mi się trzęsą, kiedy chwytam delikatne lusterko w finezyjnej miedzianej oprawce. Tym razem to ja odwlekam

chwilę spojrzenia na własną twarz. Boję się. Nie chcę patrzeć, bo obawiam się najgorszego...

I w końcu to robię.

Szybko się orientuję, w jak wielkim stopniu moja fizjonomia została okaleczona, i prawie mdleję. To niemożliwe, to nie ja... Mobilizuję się. Byle tylko nie krzyżeć, nie płakać. Zwłaszcza nie płakać. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymuję cisnące się do oczu łzy, ze strachu, że matka również wybuchnie zaraz płaczem. Widzę, jak zagryza wargi. Muszę wytrzymać. Przez chwilę chce mi się wymiotować. Lusterko trzęsie mi się w rękach, nie mogę oderwać wzroku od tego wizerunku, w którym nie potrafię się rozpoznać. Moja twarz jest bezkształtną masą mięsa; napuchnięta, cała w szwach, upstrzona niebieskimi sińcami i strupami. Oczy to zaledwie dwie cienkie szparki w odrażającej bulwie. Po długim, milczącym oglądaniu swojej twarzy odkładam lusterko. Pielęgniarka bierze mnie za rękę. Bardzo mocno ją ściskam. Nie płakać... Bezgłośnie błagam mamę: „Nie płacz, mamó, proszę, nie płacz”.

Potrzebuję wielu godzin, żeby wyjść z szoku. To oczywiste, że mąż specjalnie wyżył się na mojej twarzy. Jestem pewna, że nie chciał mnie zabić, ale zmasakrować - sprawić, żebym była brzydka i przestała się podobać, żebym nie przyciągała wzroku. Był zazdrosny o wszystko. O każdego mężczyznę, który na mnie patrzył, gdy występowałam w telewizji, w zwykłej chuście na głowie, z odkrytą twarzą. O swoich znajomych, którzy niekiedy w zaciszu naszego mieszkania mieli okazję zobaczyć moje włosy. To byli jego znajomi; dobierał ich starannie, ale i tak im nie ufał. Często po wyjściu gości Raszid urządzał mi gorszące sceny.

Wypominał mi każdy uśmiech, spojrzenie, słowo nawet wtedy, gdy przez cały wieczór nie podniosłam wzroku ani nie otworzyłam ust. Mało tego, mąż wytykał mi nawet te rzadkie chwile, gdy mogłam się choć trochę odprężyć. Raszid stał się kompletnie paranoiczny - podejrzewał również moją matkę i zabraniał mi się z nią spotykać częściej niż raz w tygodniu.

Ale chroniczna zazdrość nie ograniczała się do tego; była jeszcze głębsza. Raszid zazdrościł mi sukcesu i sławy, które nie były jego udziałem. Kariera piosenkarska męża trwała krótko, a on nigdy nie pogodził się z tym niepowodzeniem. Był przekonany o swoim talencie i nie chciał schodzić na drugi plan. Jego zaciekrzewienie było tak wielkie, że we wszystkim widział niesprawiedliwość. A tymczasem gwiazdą w naszym związku byłam ja! To mnie można było oglądać w telewizji, to mnie zapraszano na kolacje, chociaż ze względu na męża przeważnie musiałam odmawiać. To mnie nadskakiwano, to mnie oklaskiwano. Tego Raszid nie mógł znieść. Zmasakrował moją twarz, bo wiedział, że w ten sposób zakończy moją karierę w telewizji i położy kres mojej popularności. I już nie będę mu zagrażać. Taki był jego cel - jestem o tym przekonana. I doskonale mu się to udało.

W pokoju zapada grobowa cisza. Nikt nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy, każdy przygląda się ukradkiem i czeka na moją reakcję. Tylko pielęgniarka, tak jak ja, patrzy na moje odbicie w lusterku.

Lekarz pierwszy zabiera głos.

- Pani Raniu, tak jak już mówiłem, musi pani być cierpliwa i dzielna. Blizny staną się mniej widoczne, postaramy się doprowadzić pani twarz do porządku, obiecuję. Musi pani nam zaufać.

- Tak, doktorze, dziękuję. Wszystko będzie dobrze.

Machinalnie wypowiedziałam te słowa. Rozbrzmiewają w mojej głowie i sprawiają mi ból. „Tak, doktorze, dziękuję...”. Moim jedynym marzeniem jest, żeby już sobie poszedł, jak najszybciej, nie chcę go dłużej słuchać. Oczy zachodzą mi mgłą, moja twarz się rozmywa, sylwetki ludzi wokół mnie drżą i stają się zniekształcone, wszystko zanika. Ktoś do mnie mówi, ale prawie nic nie rozumiem. Udaje mi się wyłapać jedno zdanie:

- Jest zmęczona. Powinniśmy ją zostawić w spokoju. Musi się przespać.

Rodzice i przyjaciele po kolei opuszczają pokój. Dostrzegam, jak mama macha do mnie ręką na pożegnanie, po czym drzwi delikatnie się zamykają. W końcu zostaję sama. Powoli biorę lusterko. To straszne. Nie jestem do siebie podobna, nie mogę się rozpoznać. Nie mogę w to uwierzyć! Już nie istnieję, w lustrze widzę kogoś innego. To nie może być prawda... Byłam ładną kobietą, a teraz jestem potworem. Gdzie jest ta twarz, której każdego ranka lubiałam się przyglądać w lustrze i wcale się tego nie wstydziałam. Bóg obdarzył mnie ładnymi rysami, dziękowałam mu i to doceniałam. Bardzo lubiałam się podobać, ponieważ zdawało mi się, że promienieję szczęściem. Nie chodziło tu bynajmniej o narcyzm, ale o dobre samopoczucie i wdzięczność losowi za otrzymane dary.

Nie udaje mi się oderwać oczu od tej potworności. Moja miła aparycja została zrujnowana, jest splądrowaną, złupioną ziemią. Nie wierzę w to, co mówił lekarz. Nigdy nie uda mi się odzyskać mojej twarzy. Będę inna, całe moje życie się zmieni, będę musiała nauczyć się być brzydką. Brzydka? Aleja nie wiem,

jak to jest być brzydka! Co się wtedy czuje? Jak ludzie będą na mnie patrzeć? A poza tym, czy w ogóle będą na mnie patrzeć? Uroda to oczywiście nie wszystko; kobiety jej pozbawione mają wiele innych zalet i przyjemności, ale stracić coś, co się miało, to zupełnie co innego. Być, a potem przestać być... Nagle zdaję sobie sprawę, że cały zamysł Raszida był jak makiaweliczna intryga. Doskonale mu się udało, ponieważ nie tylko jak on stanę się anonimowa, lecz także, podobnie jak on, źle zniosę taką zmianę sytuacji. Przyzwyczaiałam się do sławy i popularności. Mąż podcina mi skrzydła, ciągnie w nicość i w ten sposób skazuje na dzielenie z nim jego losu. Rany pokrywające moją twarz dobitnie o tym świadczą.

Przez kilka następnych dni moja matka i dwie siostry, Raham i Rahab, na zmianę śpią przy mnie. Mama spędza ze mną dużo czasu, nieustannie mi się przygląda. Dziękuję Bogu za to, że zachował mnie przy życiu, choćby okaleczoną i zmasakrowaną. Ale ja zadaję sobie pytanie, czy nie wolałabym umrzeć. Zaczynam doceniać nakaz zasłaniania twarzy nałożony na kobiety muzułmańskie. Przynajmniej mogę ją zakryć i nikogo nie będzie to dziwiło. To zawsze coś. Lekarze regularnie przychodzą mnie badać. Stopniowo mówią o serii zabiegów operacyjnych. Najpierw zajmą się odciążeniem krwi zebranej pod skórą, a potem będą nastawiać liczne złamania. Ile ich dokładnie jest? Trudno policzyć. W niektórych miejscach bardzo delikatne kości twarzy roztrzaskały się na wiele kawałków i będzie trzeba spróbować je poskładać. Zaczynam zdawać sobie sprawę z powagi zadania, jakie czeka chirurgów, i z tego, jak wiele czasu potrzeba

na doprowadzenie mnie do przyzwoitego stanu - jeśli kiedykolwiek to nastąpi. Bardzo szybko przekonuję się, że już nigdy nie uda mi się odzyskać mojego dawnego wyglądu. Będę miała nową twarz, nową duszę, nowe uczucia. Będę obca... Lekarze nie mają odwagi zaprzeczać. Zapewniają tylko, że rezultaty będą zadowalające. Odnoszę wrażenie, że tracę swoją tożsamość.

Jednakże wybaczam mężowi i pragnę, żeby o tym wiedział. Ale chciałabym mu również wyraźnie powiedzieć, że po takiej masakrze nie ma już mowy o powrocie do wspólnego życia, niezależnie od tego, jak wielka będzie jego skrucha. Jeżeli w ogóle będzie żałował. Wybaczam mu w imię naszych dzieci. Nie chcę im narzucić potępienia ojca i zachęcam je również do wybaczenia, żeby mogły żyć w zgodzie ze sobą. Jeżeli zaś chodzi o Raszida, to jako osoba wierząca wiem, że nie uniknie kary boskiej tu, na Ziemi, lub po śmierci.

Aby przekazać te wszystkie wiadomości, potrzebuję dziennikarzy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Wiem, że ojciec, który nigdy nie przychodzi mnie odwiedzić, nie sprzeciwi się temu. Wręcz odwrotnie. On również chce, żebym się wypowiedziała, żeby moje zdjęcie zostało opublikowane. Ale z innych powodów. On łaknie zemsty, pragnie, żeby cały kraj dowiedział się o złu, jakie wyrządził mi mąż, i domaga się sprawiedliwości. Przyświecają nam zupełnie inne cele, ale w gruncie rzeczy oboje pragniemy wypowiedzieć się publicznie. I to jest najważniejsze.

Wkrótce, za zgodą taty, do mojego pokoju wchodzi pierwszy reporter, a tuż za nim fotograf. Obaj są z saudyjskiego dziennika wydawanego po arabsku i angielsku. Nie mają odwagi komentować mojego wyglądu, ale wyraźnie widzę, że są

przerażeni moją popękana, pozszywaną i zniekształconą twarzą. Zresztą fotograf bez przekonania, pewny odmowy, pyta, czy wyrażę zgodę na robienie zdjęć. Jest szczerze zdziwiony, kiedy dowiaduje się, że zezwalam, a mój ojciec też nie ma nic przeciwko temu.

Po południu dziennikarze przewijają się przez mój pokój. Ekipa ze stacji telewizyjnej, w której pracuję, nagrywa pierwszy wywiad. Znowu czuję, że znajomi są bardzo skępowani. Wiem, że płakali pod drzwiami mojego pokoju. Bardzo mnie lubią i zdają sobie sprawę, że moja kariera w telewizji się skończyła. Nie mam już twarzy, tylko zaorane pole, które nie wiadomo jak filmować! Oczywiście oni też mnie zapewniają, że lekarze są dobrej myśli i wszystko jest tylko kwestią czasu, że nie należy się zniechęcać i czekają na mój powrót do studia. Są bardzo mili, dziękuję im za to, ale wiem, że nie warto się oszukiwać.

Przez długie godziny odwiedzają mnie tłumy ludzi. I nagle zdaję sobie sprawę z niesamowitego oddźwięku całej sprawy. Nie jestem pierwszą pobitą kobietą w tym kraju, ale pierwsza wzbudzam takie zainteresowanie. Zadziwia mnie, że wszystkie gazety piszą o tym wypadku i są oburzone postępkiem Raszida. Nigdy dotąd coś podobnego nie miało miejsca! Przeważnie niewiele się robi dla biednych maltretowanych kobiet. Podczas wywiadów zadaję sobie pytanie, czy przypadkiem nie stałam się męczennicą albo - wbrew sobie - wojowniczką.

Postanowiłam wszystko wyjawić prasie, ponieważ uważam, że powinniśmy dyskutować o problemach naszego społeczeństwa, żeby ono mogło sobie z nimi poradzić. Jakże ja, prezenterka telewizyjna, która namawiała kobiety do opowiedzenia swoich

historii przed kamerą, mogłabym odmówić ujawnienia własnej? I wtedy zdałam sobie sprawę, że mówienie jest o wiele trudniejsze niż słuchanie. Doszłam również do wniosku, że nasze społeczeństwo chciałoby się zmienić, ale nie bardzo wie, jak to zrobić. Czy można z dnia na dzień stwierdzić: „Myliliśmy się co do sposobu traktowania kobiet”? Trudno wykonać taki krok. Najpierw trzeba zwrócić uwagę opinii publicznej i zachęcić do szukania rozwiązania.

Następnego dnia okropne zdjęcie mojej zmasakrowanej twarzy pojawia się na pierwszej stronie wszystkich dzienników, a telewizja MBC FM emituje wywiad ze mną. Przeżywam bardzo trudne chwile. Wyobrażam sobie te komentarze.

- A była taka ładna...

Tak! Ale już nie jestem! Teraz nie tylko lustro pokazuje moją oszpeconą twarz, ale wszystkie gazety i stacje telewizyjne. Już nie przeżywam swojego dramatu sama w zaciszu pokoju, ale wyjawiam go wszystkim i każdy może zobaczyć moją na zawsze okaleczoną twarz. Czy ludzie naprawdę rozumieją, jaki los spotyka tutejsze kobiety?

* * *

To jest problem. Próba głębokiego zreformowania Arabii jest równoznaczna z zamachem na silnie ugruntowaną kulturę mężczyzn, w której kobieta nie zajmuje istotnego miejsca - poza kuchnią i łóżkiem. Rządzący w Arabii Saudyjskiej wywodzą się z klas uprzywilejowanych. Tego rodzaju praktyki złego traktowania kobiet nie są im znane, ale też nie chcą oni usłyszeć roszczeń klasy średniej.

I dlatego zjawiam się w odpowiednim momencie, z moimi podkrążonymi oczami i opuchniętą twarzą. Pokazuję ją, ponieważ jestem popularna, a moja twarz jest rozpoznawalna w całym kraju. Ludzie przywykli oglądać mnie w telewizji. Nie jestem jakąś anonimową kobietą, jestem częścią ich codzienności, znanym wizerunkiem, który zniszczono. Kiedy mąż zmasakrował mi twarz, jednocześnie pozbawił społeczeństwo znanego mu wizerunku, a to jest już poważna sprawa.

Na tyle poważna, że emir Dżuddy powiedział jednemu ze swoich zaufanych ludzi (a ten przekazał to mnie), że zdecydowanie potępia występki Raszida. Przyznał, że policja zrobi wszystko, co w jej mocy, aby go odnaleźć, a później surowo ukarać, tak jak nakazuje prawo. Emir życzył mi również szybkiego powrotu do zdrowia, żeby niedługo to wszystko było już tylko niemiłym wspomnieniem.

Kiedy się o tym dowiaduję, jestem tak bardzo wzruszona, że aż dostaję gęsiej skórki. Znów trafiam na pierwsze strony gazet! Jak dotąd nigdy się nie zdarzyło, żeby emir, członek rodziny królewskiej, brał w obronę bitą kobietę i potępiał sprawcę. To było nawet nie do pomyślenia. W trakcie kryzysu międzynarodowego, kiedy Arabia, podejrzewana o ciche popieranie terroryzmu, jest wytykana palcami, emir dowodzi, że społeczeństwo saudyjskie się zmienia. Zajęcie takiego stanowiska, nawet nieoficjalnie, jest więc przełomem. Nie mam wątpliwości, że jest to początek przemian obyczajowych, chęć dokonania zmian i poprawy sytuacji kobiet w państwie.

Doskonale zdaję sobie sprawę z wagi takiego oświadczenia i przewiduję jego konsekwencje. Myślę o mężu, który teraz

z pewnością czuje się osaczony, jeżeli oczywiście nie popełnił jeszcze największej głupoty, czego cały czas się obawiam. Zaleje go też fala popularności medialnej. Jego, który tak marzył o sławie, ale z pewnością nie o takiej.

Wiadomość o wsparciu emira szybko obiega cały szpital. Jak dotąd byłam hołubiona, ale od tej pory zaczynają mnie traktować jak królową. Poprawiają mi poduszki, rozpieszczają, dogadzają, przejmują się najmniejszą niedogodnością. A to tylko początek.

Pewnego ranka zauważam wyjątkowe poruszenie wokół mnie i na korytarzu. Bieganina, głośne rozmowy nawoływania. Wojskowi wypełniają korytarz, słyszę, jak wydają rozkazy, i nic nie rozumiem. Chwilę później pielęgniarki przybiegają do pokoju i rozpoczynają moją toaletę, a w tym czasie zastęp pań sprząających pucuje pokój, który i tak jest czysty. Usiłuję wszystkich uspokoić.

- Ale co się dzieje? Skąd to nagłe poruszenie?

- Nie wie pani? Dzwoniono z pałacu. Księżna Sarah zaraz przyjedzie.

A skąd niby miałabym o tym wiedzieć? Jestem przykuta do łóżka i wciąż zbyt słaba, aby samodzielnie wstawać. Staram się nie używać telefonu komórkowego, ponieważ mam okropne problemy z wysławianiem się. Połamane kości ciągle mnie boją.

Kilka minut później, kiedy jedna z kobiet z ochrony ostatni raz sprawdza mój pokój, ktoś puka do drzwi. Pojawia się Sarah. Kobieta kłania się i wychodzi.

Sarah! Księżna Sarah, żona emira Dżuddy, postanowiła mnie odwiedzić. Jestem wielce zaszczycona. To jest wyjątkowa

kobieta, która znam od niedawna. Spotkałyśmy się na przyjęciu i od razu polubiłyśmy. Księżna założyła stowarzyszenie dobroczynne, którym energicznie zarządza, i angażuje się w ambitne przedsięwzięcia społeczne. Zajmuje się dziećmi z biednych dzielnic, dba o to, by miały co jeść, i zapewnia im dostęp do opieki zdrowotnej. Interesuje się również losem bitych kobiet. Rząd Egiptu przyznał jej nagrodę za działalność na rzecz pokrzywdzonych.

Podczas naszego pierwszego spotkania księżna Sarah zaproponowała mi wstąpienie do jej stowarzyszenia. Przyjęłam zaproszenie z ochotą. Kilka dni później pojechałyśmy razem na północ kraju, aż do wioski beduinów, którym Sarah pomaga się osiedlić. Dzięki jej wsparciu moralnemu i finansowemu nie tylko wybudowali domy, które stopniowo zastąpiły ich odwieczne namioty, lecz także udało im się doprowadzić do osady wodę i elektryczność, co dla tej ludności stanowi szczyt komfortu. Nic dziwnego, że na miejscu księżna została przyjęta z największymi honorami i ogromnym szacunkiem. Jednak nie po to tam przyjechała. Kiedy tylko wysiadła z samochodu, poszła w stronę grupy kobiet, aby zapytać o zdrowie ich i dzieci. Potem dołączyła do wodza wioski i wypytywała o postępy prac oraz o zaopatrzenie w wodę. Byłam pod wrażeniem jej zaangażowania i bezpretensjonalności.

Dzisiaj również podziwiam jej bezpośredniość. Sarah jest w dobrym nastroju, szeroko się uśmiecha. Wcale nie użala się nad moim losem, ale zachęca do stawienia czoła trudnościom, wzywa do walki. Nie powraca do tamtych wydarzeń, dla niej to już przeszłość, za to zwraca się ku przyszłości i rozważa wszystkie możliwe rozwiązania prowadzące do zniwelowania

okropnych skutków pobicia. Księżna nie tylko mówi, co należałoby zrobić, ale podsuwa mi gotowe scenariusze i zapowiada, że rozpocznie kampanię solidarności ze mną.

- Powinniśmy zacząć walczyć, aby położyć kres przemocy wobec kobiet. Zmobilizuję wszystkie panie w moim stowarzyszeniu, aby cię wspierały.

Nietrudno przewidzieć, jakim echem to się odbije. Członkinie stowarzyszenia pochodzą z arystokracji. Mają wielkie wpływy, nawet jeśli z powodów polityczno-kulturowych nie zawsze mogą wypowiadać się głośno. Mogą natomiast przekonać swoich mężów, którzy w większości są otwarci na reformy. Kraj nie jest gotowy na głębokie zmiany, a zwłaszcza na te proponowane przez obce narody. Reformy są konieczne, jednakże powinny być zainicjowane od wewnątrz. Ludzie nie znieśliby decyzji narzuconych przez zagranicę. I rządzący doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Dlatego mój dramat stał się bardzo dobrą okazją, by zainicjować konieczne przemiany. Jestem Saudyjką, nic złego nie zrobiłam, a stałam się ofiarą. Do tego cieszę się dużą popularnością. Nie mam wyboru, choć pewnie z chęcią zrezygnowałabym z tej nowej roli. Nadszedł jednak właściwy moment, żeby wykorzystać moją pozycję. Właśnie to tłumaczy Sarah. Niemalże jest gotowa dziękować za mój wkład w wielką sprawę...

Po określeniu i przedstawieniu planu działania oświadczą, że sama pokryje wszelkie koszty mojego leczenia i hospitalizacji. Już skontaktowała się z najlepszymi chirurgami. Są przekonani, że zdołają przywrócić odpowiedni wygląd mojej twarzy, ale będzie to wymagało wielu trudnych operacji.

Wizyta księżnej Sarah niezwykle podnosi mnie na duchu. Chwilę po tym, gdy macha mi na pożegnanie i opuszcza pokój, sama z trudem podnoszę się z łóżka i podchodzę do okna, żeby popatrzeć, jak przechodzi przez szpitalne podwórko.

Nazajutrz wszystkie dzienniki piszą o tych odwiedzinach. Sprawa Ranii Al-Baz nabiera nowego znaczenia, bo jest teraz symbolem emancypacji kobiet. Wizyta żony emira Dżuddy, jednego z najważniejszych ludzi w państwie, ma symboliczny wymiar, ponieważ oznacza, że księżna popiera sprawę. To prawdziwa rewolucja, a dla mnie zachęta, żeby być wytrwałą.

W ciągu następnych godzin przez mój pokój przewijają się przedstawiciele prasy zagranicznej. Tak jak przeczuwałam, wizyta księżnej nadała sprawie rozgłosu. Odwiedzają mnie dziennikarze z całego świata, głównie z Agence France Presse, ale też z największych anglojęzycznych agencji, takich jak Associated Press, Reuters... To oczywiste, że moja historia nie jest już tylko zwykłym doniesieniem prasowym, ale przykładem zjawiska społecznego i wyznacznikiem kierunku koniecznych reform.

* * *

Dwa dni później przechodzę pierwszą operację rekonstrukcyjną. Chirurdzy zaczynają od krwiaków, które zniekształcają twarz i nie pozwalają dostać się do złamań. Jak długo trwa operacja? Nie mam pojęcia, ale kiedy się budzę, lekarz przybiega do łóżka. Wydaje się zaniepokojony.

- Jak się pani czuje?

Całkiem dobrze, poza suchością w ustach i wrażeniem, że głowa spuchła mi jak balon. Mamroczę, że wszystko jest

w porządku, ale widzę, że chirurg też wygląda na zaaferowanego. Ostrożnie mnie *przestrzega*..

- Wystąpiły pewne komplikacje i trzeba było przerwać operację. Musimy zacząć od nowa. Niech pani będzie dzielna. Proszę wypoczywać. Dostanie pani coś na uspokojenie.

Wciąż otępiała po narkozie nie do końca rozumiem, co mówi do mnie lekarz. Dopiero następnego dnia, kiedy odwijają mi bandażę, załamuję się. Nic się nie zmieniło. Jest nawet jeszcze gorzej. Zdesperowana zaczynam myśleć, że zostanę potworem do końca życia. Nie wierzę już lekarzom, już w nic nie wierzę, jestem skończona.

Druga operacja zostaje zaplanowana parę dni później. Zgadzam się - w końcu teraz nie mam już nic do stracenia.

Tym razem operacja się udaje. Z twarzy znikają guzy i krwiaki. Pierwszy zadowalający etap sprawił, że teraz z kolei bardzo razi zniekształcony nos. Widać tylko ten obrzydliwy kartofel. Oczekuję z niecierpliwością chirurga, który ma przywrócić nosowi właściwy kształt. Nie mam odwagi na siebie patrzeć, nie chcę się oglądać. Odwlekam moment prawdy i polecam się Bogu. Po zbadaniu lekarz odbiera mi wszelką nadzieję. Werdykt jest straszny.

- Nic nie mogę zrobić. Nie da się operować.

Cios jest bardzo mocny. Nie potrafię żyć z tym okropieństwem, to niemożliwe. Zatrzymuję lekarza, błagam o pomoc, ale to nic nie daje, bo on nie chce mnie operować.

Kochana księżna Sarah rozpoczyna poszukiwanie innego chirurga, ale wielu odmawia. Aż w końcu jeden z lekarzy, Mazen Fteani, postanawia podjąć ryzyko. Uprzedza mnie jednak, że nie

gwarantuje pożądaných rezultatów i trzeba będzie czekać sześć miesięcy aż nos osiągnie swój ostateczny kształt.

Aby nadać mojej twarzy jakiś przyzwoity wygląd, po operacji nosa następują trzy kolejne. Są trudne, ponieważ aby odtworzyć twarz, chirurdzy muszą złożyć połamane na wiele kawałków kości czaszki. Dokonują cudów, ale mimo to w lustrze wciąż nie rozpoznaję siebie, co wyprowadza mnie z równowagi. Przez cały czas, który upływa między zabiegami a operacjami, często przyglądam się sobie i śledzę zmiany kształtu blizn, a zwłaszcza nosa. Mniej ze względów narcystycznych, a bardziej w poszukiwaniu tożsamości. Bezustannie odczuwam niepokój. Wracam do przeszłości.

* * *

Zajęta tymi poszukiwaniami, zmęczona wszystkimi zabiegami, nie zdaję sobie sprawy, że moja historia ciągle przemierza świat, wywołuje emocje i polemiki. Aż do dnia, kiedy dowiaduję się, że tysiące kilometrów od Dżuddy, w Waszyngtonie, w Stanach Zjednoczonych, pewien amerykański deputowany powołał się na mój przypadek podczas dyskusji o polityce zagranicznej, aby dowieść, że kraje Bliskiego Wschodu zaczynają się zmieniać.

Docierają do mnie wiadomości ze wszystkich stron świata. Z Paryża, Londynu, Berlina, Tokio, Buenos Aires - wszystkie nasze ambasady donoszą o artykułach zamieszczanych w lokalnej prasie lub o zdjęciach pokazywanych w telewizji, którym towarzyszą niekiedy przesadne komentarze. Sytuacja kobiety w Arabii Saudyjskiej często jest prezentowana w sposób schematyczny. Kobietę przedstawia się jako niewolnicę, bez

wprowadzania jakichkolwiek rozróżnień. Nie mówi się, że ona też jest przywiązana do swojej religii, kultury, tradycji. Przemilcza się, że wszystko, co się jej narzuca, co ona sobie narzuca, niekoniecznie jest wyrzeczeniem. Media pokazują tylko nadużycia i skrajności. Mój przypadek jest tego typowym przykładem.

Reagują również największe międzynarodowe organizacje kobiece. Odkąd zaczęłam rekonwalescencję, otrzymuję mnóstwo listów z całego świata. Są to listy z wyrazami solidarności, dodające otuchy, zawierające propozycje przystąpienia do ruchów feministycznych lub zaproszenia do udziału w międzynarodowych konferencjach.

Między innymi przychodzi mejl z Francji. Został przysłany przez nieznaną mi organizację o bardzo dziwnej, szokującej, a dzięki temu przyciągającej uwagę nazwie - „Ni Putes Ni Soumises”. Początkowo od razu mnie ona odrzuca. Potem zaczynam się zastanawiać, abstrahując od prowokacyjności nazwy. „Ani dziwki, ani uległe”?

Ani dziwki? Czy dotyczy to Saudyjek? Naprawdę, nie wydaje mi się. Biorąc pod uwagę rygorystyczne prawo koraniczne i naszą kulturę, nie wyobrażam sobie, aby któraś z kobiet podjęła ryzyko zajmowania się prostytutką. Już samo słowo stanowi tabu. Jednak słyszałam, że w Arabii mówiło się o prostytutkach. Ponieważ w to nie wierzyłam, zaczęłam szukać i w końcu znalazłam cztery. Rozmawiałam z nimi. Na początku wszystkiemu zaprzeczały, ale potem się przyznały, że bezrobocie i bieda zmusiły je do sprzedawania się. Nasze społeczeństwo nie przewidziało dla nich innej możliwości, a one, zdesperowane, same też nie znalazły innego rozwiązania...

Jednak zadaje sobie pytanie, jak Francuzki rozumieją określenie „ani dziwki”. Dzwka to kobieta, która sprzedaje swoje ciało, a nie kobieta, która chce rozporządzać swoim ciałem wedle własnego uznania. Mimo podobieństwa pierwsza postawa różni się od drugiej. Ale kto jest za to odpowiedzialny? Kto jest winny? Kto jest dziwka? Kobieta, która się sprzedaje, czy ten, kto ją zmusił do sprzedawania się? Głód narzuca swoje prawa. Te kobiety muszą się z czegoś utrzymywać i mają na sprzedaż tylko swoje ciało. Allah potępia prostytutkę, ale nie rzucamy kamieniem w te, które sprzeciwiły się zakazowi, potępmy raczej tych, którzy doprowadzili do tego, że one w ten sposób muszą zarabiać na życie. Pójdźmy jeszcze dalej - ropa za żywność, takie ultimatum postawiono Irakowi. Czy to nie jest prostytutka? A dziennikarz, który sprzedaje się za pieniądze dla sławy? Oto prawdziwa prostytutka! Ten, który sprzedaje swoje sumienie, prostytuuje się.

„Ani uległe?” Tu sprawa jest prostsza. Kobieta nie powinna bezwzględnie poddawać się jakiegokolwiek władzy na przykład tej, którą ma mężczyzna. W imię czego? Jestem doskonałym tego przykładem i wiem, ile w Arabii kosztuje niestosowanie się do męskich zasad.

Tak więc ani dziwki, ani uległe - takiej sytuacji pragnęłabym dla kobiet, chciałabym widzieć, jak wznoszą i samookreślają się zgodnie z tą zasadą. Ponieważ odmówiłam podporządkowania się Raszidowi, on chciał mnie zniszczyć. Skoro nie godziłam się być przedmiotem, to on już przestał być dominującym samcem. I tego nie był w stanie ani znieść, ani się do tego przyznać. Czy możemy zaakceptować taki męski szowinizm na początku XXI wieku? Nie.

Z uwagą czytam tekst dołączony do zaproszenia do udziału w dyskusji podczas jesiennej konferencji „Ni Putes Ni Soumisses” w Paryżu. W kilku zdaniach organizacja przedstawia się i określa swoje cele: walka o prawa i godność kobiet. W stanie, w którym się znajduję, uważam, że najwyższy czas się tym zająć, i nagle mam ochotę walczyć. Chciałabym tylko wiedzieć trochę więcej o tym francuskim ruchu, zanim zgodzę się wziąć udział w spotkaniu.

Wiceprzewodniczący Mohammed Abdi tłumaczy mi przez telefon, że jego organizacja została pierwotnie stworzona, aby ujawnić warunki życia młodych muzułmanek z niektórych przedmieść wielkich francuskich miast, w większości zamieszkałych przez emigrantów z Maghrebu i Afryki. Początkowo była to tylko grupa ludzi, spontanicznie sformowana wokół odważnego i nowatorskiego pomysłu. Społeczeństwo tak dobrze go przyjęło, że założycielki ruchu mogły się zorganizować i nadać swoim działaniom strukturę prawną.

Dzisiaj stowarzyszenie dysponuje biurem w dwunastej dzielnicy Paryża, liczy sześć tysięcy członków we Francji, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, oraz ma swoje oddziały w wielu krajach na świecie, w tym w Maroku, Tunezji i Algierii, co jest dowodem na niesamowite postępy i ogromną odwagę prowadzących te ośrodki.

Dlatego po otrzymaniu dokładniejszych informacji postanawiam się zaangażować. Tak, przyjadę do Paryża na dyskusję zaplanowaną na październik 2004 roku.

Mohammeda cieszy moja decyzja. Czuje ulgę, opowiada mi o trudnościach swoich i jego znajomych, Asmy, Siham i Fadelii, którzy próbowali mnie odnaleźć. Pomysł, by mnie zaprosić,

przyszedł im do głowy po przeczytaniu artykułu opublikowanego w kwietniu w angielskim czasopiśmie. Przeraziło ich zdjęcie mojej opuchniętej twarzy i stwierdzili, że takie świadectwo mogłoby być ważnym punktem ich jesiennej konferencji. Aby mnie zaprosić, musieli mnie najpierw odnaleźć, a to nie było łatwe. Zespół rozpoczął poszukiwania zakrojone na szeroką skalę. Z pomocą dziennikarzy z brytyjskiego czasopisma udało im się namierzyć mój adres elektroniczny i wysłali list. Nie bardzo wierzyli, że odpowiem. Mohammed Abdi myślał, że nie będę chciała z nim rozmawiać, ponieważ był przekonany - co szczerze mnie rozbawiło - że Saudyjce nie wolno odzywać się do mężczyzn. Przecież Koran się temu nie sprzeciwia, poza przypadkami, kiedy kobieta prowokuje mężczyznę. Sama Aisza, żona proroka, wykładała nauki męża jego uczniom.

A więc zgadzam się, zgadzam się z całego serca, bo czuję potrzebę wypowiedzenia się, uzewnętrznienia, zaapelowania do całego świata, aby zaprzestano tego typu praktyk. Niektórzy widzą odwagę w moim postanowieniu. Być może. Ja, na pierwszy rzut oka, dostrzegam w tym głównie wołanie o pomoc, szukanie ochrony.

Wierzę, że gdy stanę w świetle reflektorów, zniechęcę tych, którzy chcieliby mnie uderzyć z ukrycia, a są zbyt tchórzliwi, by zrobić to na oczach wszystkich. Wystawię się na widok publiczny w nadziei, że to zapewni mi nietykalność. Im lepiej będzie mnie słychać, tym trudniej będzie mnie uciszyć - jest przecież oczywiste, że zamieszanie medialne wokół mojej osoby nie wszystkim się podoba. Zyskam jednak szansę wywarcia nacisku na saudyjskie władze. Nawet jeśli nie mogą się do tego przyznać publicznie,

wiem, że wielu rządzących po cichu mnie wspiera. Gdy ujawnię sytuację kobiety w moim kraju, dostarczę rządzącym broń, której im brakowało, podsunę argumenty, a oni będą je mogli przedstawić przeciwnikom wszelkich zmian.

Popierać mnie oficjalnie to dodawać mi sił w bardzo ukierunkowanej walce. Ponieważ szanuję Arabię Saudyjską i islam, nie chciałabym, żeby myślano, że walczę przeciwko jednemu lub drugiemu. Ani Koran, ani prawo naszego kraju nie pozwalają mężczyźnie bić kobiety. Chcę to podkreślić i nic więcej. Nie potępiam ani naszej tradycji, ani kultury, ani norm. Przeciwstawiam się tylko tym, którzy sprzeniewierzyli się zasadom. Tym, którzy stworzyli nowy kodeks w imię Allaha. To właśnie chciałabym powiedzieć w Paryżu. I nie mogę się już doczekać.

Pomysł wyjazdu do Francji dodaje mi otuchy, ale perspektywa ponownego pokazania się publicznie szybko sprwadza mnie na ziemię. Czy nadaję się do takiej prezentacji? Po operacji nosa przeszłam jeszcze trzy inne, lżejsze operacje plastyczne, które jednak zostawiły ślady. Blizny są wciąż widoczne. Chirurdzy zapewnili mnie, że z czasem zbledną, ale ciągle je mam.

Idę do łazienki, aby ocenić, czy mogę wystąpić publicznie, czy też powinnam odmówić. Siady po operacjach nadal widać. Jednak do października zostało jeszcze dużo czasu i mogę mieć nadzieję, że mój wygląd się poprawi. Nos, który sprawiał tyle problemów, prezentuje się coraz lepiej. Powraca do swojego normalnego kształtu. Wprawdzie daleko mu do smukłości

i delikatności rysów, z których byłam dumna, ale moja nowa twarz zaczyna mnie satysfakcjonować. Bardzo trudno to zaakceptować, jednak nie mam wyboru. Dochodzę do wniosku, że w październiku wszystko wróci w miarę do normy. Pierwszy raz po operacjach maluję się i stwierdzam, że podkład oraz cienie zmniejszają widoczność blizn. Będzie dobrze! Niejadę przecież na pokaz mody. Ci, którzy chcą mnie przyjmować, wiedzą, co mi się przydarzyło. W końcu cały świat o tym wie.

Pod koniec czerwca staje się bardzo ważna rzecz - mój mąż zgłasza się na policję, która zaraz mnie o tym informuje. Kamień spada mi z serca - Raszid żyje. Oświadczam policji i sędziom, że mu wybaczam. Moje zdanie nie uległo w tej kwestii żadnej zmianie. Myślę przede wszystkim o dzieciach, które będę musiała wychować. Chcę, aby dorastały w spokoju. Jednak wymiar sprawiedliwości powinien działać wedle własnych zasad, dlatego Raszid musi zostać osądzony. Mimo wszystko należy wziąć pod uwagę moje przebaczenie, które może doprowadzić do złagodzenia kary. Procedury bezpośrednio mnie nie dotyczą. To sędziowie będą decydować.

To wydarzenie w niczym nie wpływa na moje poprzednie postanowienie. Wybaczam we własnym imieniu, ale będę walczyć w imię kobiet.

* * *

W październiku z ogromną przyjemnością lecę do Paryża. Lubię to miasto. Spędziłam tam kilka dni z Raszidem podczas podróży poślubnej, ale wtedy nie zwiedziłam zbyt wiele. Mohammed Abdi i Asma czekają na mnie na lotnisku Roissy

i odwożą do hotelu Sofitel Saint-Jacques, gdzie zakwaterowano wszystkie delegacje. Pierwsze wrażenie jest korzystne. Od razu czuję sympatię do Asmy i gdy wchodzimy do hotelowego holu, zachowujemy się już jak stare znajome. Asma staje się moją najwierniejszą i najserdeczniejszą paryską przyjaciółką. Często długo ze sobą rozmawiamy i nasza zażyłość pozwala przetrwać wszelkie różnice zdań.

Najwyczejniej w świecie ściskam ją, kiedy się rozstajemy, i idę do pokoju odpocząć przed kolacją, na którą są zaproszeni wszyscy uczestnicy konferencji. To będzie okazja, żeby poznać ludzi, wymienić poglądy i właściwie określić zadania każdego z nas.

Jesienna konferencja „Ni Putes Ni Soumises” ma trwać trzy dni - od piątku do niedzieli. To moja pierwsza konferencja w życiu, ale się nie boję. Podczas pracy w telewizji przyzwyczaiłam się do mikrofonów, a w trakcie zdjęć często publicznie zabierałam głos. Jestem oswojona z tego typu sytuacjami. Dlatego głównie zajmuje mnie to, co mam powiedzieć, treść, którą chcę przekazać. Muszę wyrażać się jasno, aby moje wystąpienie zostało dobrze zrozumiane i nie było źle zinterpretowane. Po kolacji jeszcze raz odczytuję tekst, który przygotowałam, i jeszcze raz rozważam słowa, które doбираłam z rozwagą.

Następnego dnia opuszczamy stolicę i jedziemy do Dourdan, gminy na zachodnich przedmieściach Paryża, gdzie odbywa się kongres. Sala została udostępniona organizacji przez ośrodek wypoczynkowy Village Vacances Familie. Na fasadzie budynku rozwieszono ogromny napis „Walka o emancypację kobiet - kwestia międzynarodowa i demokratyczna”.

Tak daleko od domu lepiej potrafię ocenić rozmiar problemu i jestem coraz bardziej przekonana, że można mu zaradzić tylko na szczeblu międzynarodowym. Cierpienie również uległo globalizacji. Osamotnione państwo nie może uporać się z biedą i niesprawiedliwością. Polepszenie warunków życia ludzi zależy od wspólnych decyzji. Dzisiaj, aby się rozwijać, kraje jednoczą się w wysiłku, dzielą wiedzę i technologiami. Jutro będzie trzeba zrobić to samo, aby równomiernie rozdzielać owoce postępu między wszystkich - od najbiedniejszych do najbogatszych. Nie jest już możliwe, aby jedno państwo (a tym bardziej jedna wspólnota państw) pozostawało osamotnione w swoich nawoływaniach. Wszystkie maltretowane kobiety powinny się zjednoczyć, aby reagować i mobilizować państwa demokratyczne. To jedyny sposób na wygraną i zmianę obecnego stanu. O tym będę mówić.

Na konferencję przychodzi sześćset osób. Prowadzący są przeważnie młodzi. Wydaje się, że znajdują się tu przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Może więcej jest kobiet niż mężczyzn, jednak tyle samo białych, Murzynów i Arabów. Panuje przyjemna, odprężająca atmosfera, ale wszystkich dyskutantów uważnie się słucha.

Kiedy nadchodzi moja kolej, od razu wyjaśniam to, co wydaje mi się najważniejsze.

- Nie zostałam pobita w imię jakiejś zasady religijnej, zostałam skrzywdzona przez człowieka zazdrosnego, zdenerwowanego. Ci, którzy zasłaniają się islamem, aby usprawiedliwić takie postępowanie, kłamają. A ci, którzy naprawdę myślą (a są i tacy), że Koran zachęca do takich praktyk, są w błędzie.

Mamy tu do czynienia wyłącznie z ludzką słabością i niczym więcej. Prorok uczy miłości, a nie nienawiści, którą głosi część fundamentalistów.

Im dłużej mówię, tym bardziej się angażuję, i nie zdaję sobie sprawy, że prowadzący też ulegają temu nastrojowi. Opowiadam z przejęciem, przechodzę od wzruszenia do śmiechu i wkrótce zaczynają się oklaski.

Po przedstawieniu mojej historii, takjak mnie poproszono, wyciągam nasuwające się wnioski - muszę teraz walczyć, nie tylko dla siebie, ale także dla kobiet, które cierpią i nie mają możliwości się bronić. Kończę wystąpienie ostrzeżeniem.

- Nigdy nie zapominajmy, że w niektórych zakątkach świata mężczyźni i kobiety, którzy przyłączyli się do sprawy, zginą. To dla nich powinniśmy walczyć.

Słychać owacje. To podniosła chwila. Wtedy dociera do mnie, że zaangażowałam się w wielką rzecz, której będę musiała bronić ze wszystkich sił. Niestety, wiem również, że droga do sukcesu będzie długa.

Pod koniec pierwszego dnia dyskusji Fadela przedstawia mi wysokiego, siwowłosego, dystyngowanego mężczyznę, który na powitanie całuje mnie w rękę. Okazuje się, że to Dominique de Villepin, czyli francuski minister spraw zagranicznych. Wymieniamy parę zdań po angielsku przy błyskach fleszy reporterów i przed kamerami telewizyjnymi. Minister gratuluje mi odwagi i determinacji.

Następnego dnia media (również te w krajach muzułmańskich) publikują zdjęcia z naszego spotkania, z czego bardzo

się cieszę. Moja fotografia znowu obiega świat, ale tym razem nie jestem już kobietą bitą i poniżaną. Jestem kobietą wolną, która walczy w słusznej sprawie.

Przed opuszczeniem Francji korzystam ze sławy, aby przekazać wiadomość jeszcze większej liczbie ludzi. Najpierw zostaję zaproszona do wieczornych wiadomości na kanale France 2, a następnie do programu Karla Zero „Vrai Journal”. Za każdym razem apeluję o pomoc i mobilizację. Podkreślam, że koniecznie należy uwrażliwić opinię publiczną na los bitych kobiet.

Moje zaangażowanie jest tak duże, że znajomi z „Ni Putes Ni Soumises” boją się o moje bezpieczeństwo po powrocie do Arabii Saudyjskiej. Nalegają, żebym ich natychmiast poinformowała, gdybym czuła się zagrożona lub niepokojona.

Nie obawiam się tego, bo wiem, że rząd mnie popiera. Poza tym po powrocie do Dżuddy dzwoni do mnie nieznanym mi przedstawiciel rządu. To, co mówi, w pełni mnie uspokaja.

- Pani Raniu, jest pani urocza! Europejczycy poznali dobrze wychowaną, obytą Saudyjkę, walczącą i piękną. To zupełny kontrast w stosunku do tego, jak przeważnie przedstawia się nasz kraj, będący wedle obiegowej opinii pustynią z wielbłądami i kobietami analfabatkami.

To prawda, że dziennikarze, z którymi się spotkałam, nie spodziewali się takiego gościa. Mówili mi, że stałam się „księżniczką Paryża”. Nie należy jednak przesadzać!

Niedługo po moim powrocie do Dżuddy czasopismo kobiece „Saiditi”, miejscowe „Elle”, poświęca mi długi artykuł i szczegółowo opisuje moje działania we Francji. Jednakże w wywiadzie nieco zmieniam nazwę francuskiej organizacji, która mnie

zaprosiła. Nazwa „Ni Putes Ni Soumises" może lekko szokować w Arabii Saudyjskiej.

Po takim rozgłosie medialnym muszę trochę odpocząć i spokojnie pomyśleć. Zrelaksowana dokonuję bilansu wszystkiego, co mnie spotkało, i nasuwa mi się pytanie, w jaki sposób, jakimi drogami i dlaczego doszłam do tego momentu w swoim życiu.

Kobieta uległa

Ulicami Rijadu, stolicy Arabii, lub Dżuddy, wielkiego portu nad Morzem Czerwonym, zwróconego w stronę Mekki, jeżdżą rdzewiejące amerykańskie samochody, które regularnie zatrzymują się *przed* starymi barakami zamieszkanymi przez chudych brodaczy, pomarszczonych niczym rodzyнки. Przy bramach miejskich samochody terenowe o mocnych silnikach oddalają się na pustynię prostymi, bezustannie odpiaszczanymi drogami, aby w końcu dojechać na pustkowie, gdzie nie ma nic oprócz kilku namiotów i stada wielbłądów. Dzień jutrzejszy spotyka się tu z wczorajszym i za nic nie chcą się rozgraniczyć.

Mam zaledwie trzydzieści lat, należę do pokolenia komputerowego, tymczasem gdy byłam małą, w naszym domu mówiło się jeszcze o niewolnikach. Jeden z nich, grzecznościowo nazywany pracownikiem, został mi przypisany już po zniesieniu niewolnictwa przez króla Fajsala, który objął tron w 1964 roku.

Któregoś dnia, zgodnie z tradycją bogatych rodzin, dostałabym go w prezencie od babci, gdyby nie pewne zdarzenie - kiedyś podczas brutalnej zabawy stracił przede mną oko. Miałam wtedy dwa lata i rzuciłam mu w twarz szklanką. Zakłopotana całą sprawą rodzina dała mu w ramach odszkodowania niewielki sklepik. Do dziś go z powodzeniem prowadzi i jest mi niemal wdzięczny.

Takie przedmiotowe podejście do człowieka może być szokujące, ale trzeba zrozumieć, że mój dziadek i babcia byli z zupełnie innej epoki. W prostej linii pochodzili z czasów *Księgi tysiąca i jednej nocy* i choć przystosowali się do naszej epoki, wciąż jednak wspominali stare zasady. Opowieść o ich spotkaniu i małżeństwie wydaje się dziś nieprawdopodobna. A przecież nie działo się to wcale tak dawno temu. W latach 30. XX wieku, nie wcześniej. Od tamtej pory jednak wiele się zmieniło.

Pierwsze zaskoczenie - dziadek ze strony mojego ojca był blondynem. Długie jasne włosy opadały mu na ramiona. Było to dziedzictwo europejskiego pochodzenia... Jego rodzina przywędrowała do Mekki wraz z falami Turków osmańskich, które zalewały kraj od XVI wieku. Nie wiemy, kiedy dokładnie jego przodkowie przybyli w te rejony. Najprawdopodobniej pod koniec XIX wieku, jak głosi tradycja rodzinna.

W tamtych czasach granice dzisiejszej Arabii nie zostały jeszcze określone, nikt nie mówił o ropie, pierwsze złoża odkryto dopiero w 1938 roku. W czasach, gdy moja rodzina zamieszkała w Mekce, majestatyczne karawany przewożące tkaniny, sól i przyprawy przepływały się przez pustynię. Moi przodkowie dorobili się na handlu. Dziadek był bogaty. Mieszkał z rodziną

w trzypiętrowym murowanym domu, którego był właścicielem. Posiadał również, między innymi, księgarnię w pobliżu Al-Kaby, w której sprzedawał Święte Księgi.

Taka uprzywilejowana pozycja pozwalała mu na szukanie najpiękniejszych kobiet, a - jeśli wierzyć opowieściom, jakie słyszałam - nie odmawiał sobie tego prawa, nie zważając na środki, których wymagało zdobycie upatrzonej niewiasty.

W tamtych czasach niewolnictwo było legalne i wpisywało się w tradycję, nie sprzeciwiano się temu. Dzisiaj podobne zachowanie budzi nasze oburzenie, ale wtedy nikt tego nie podważał. Handlarze niewolników organizowali się w Jemenie, Afryce, Azji... Jeździli polować na ludzi do innych krajów, przywozili stamtąd zastępy kobiet i mężczyzn przeznaczonych do pracy i haremów. Dobrze zbudowani młodzi chłopcy i ładne dziewczyny byli najbardziej poszukiwanym towarem. Bandy doskonale zorganizowanych najemników atakowały wioski, nawet w oddalonych regionach Arabii, aby porwać młodych i handlować nimi w dużych miastach.

W ten oto sposób jeden z takich piratów pustyni zaprezentował mojemu dziadkowi młodziutką dziewczynę wyjątkowej urody - Farah, którą ten kupił. Trzynastolatka tak mu się spodobała, że zaraz ją poślubił, mimo że nie miał pojęcia o jej pochodzeniu. Kilka miesięcy później Farah urodziła zdrowego chłopca, który w przyszłości będzie moim wujem Hassanem. Bycie matką w tak młodym wieku nie jest w Arabii niczym wyjątkowym. Od momentu osiągnięcia dojrzałości płciowej dziewczęta są uważane za kobiety, a tym samym za zdolne do małżeństwa i rodzenia dzieci.

Dziadek bardzo się cieszył z syna urodzonego przez Farah. Tej radości nie przysłaniał nawet cień wyrzutów sumienia. Ani przez chwile nie zastanawiał się nad tym, że czterysta kilometrów stąd, na południu kraju, zniknięcie dziewczyny nie tylko nie przeszło niezauważone, ale wręcz spowodowało małą rewolucję. Ojciec dziewczyny był gotowy zwołać grupę zbrojnych, aby ją odnaleźć, jeżeli zaistniałaby taka konieczność. Był naprawdę przywiązany do swojego dziecka. Wpadł w czarną rozpacz, kiedy dowiedział się o porwaniu. Dla niego było to nie tylko bolesne doświadczenie, ale i okropna zniewaga. Należało ją pomścić.

Czy porywacze pomylili się, czy też działali świadomie? Ich czyn wywołał zamieszanie w wiosce, w której mieszkała Farah, co było dość niespotykane - handlarze niewolników przeważnie porywali dzieci lub młodzież po cichu. Kiedy rodziny spostrzegały brak któregoś ze swoich członków, po prostu się z tym godziły. Porwanie było taką samą stratą jak śmierć dziecka przy porodzie czy w wyniku jakiejś choroby. Co zresztą można było zrobić? Wnieść skargę? Do kogo? Państwo dopiero się rozwijało. Najbiedniejsi ulegali prawu silniejszych.

Tyle że ojciec Farah nie należał do najbiedniejszych. Był nawet całkiem dobrze sytuowanym człowiekiem i nie miał w zwyczaju godzić się na to, by go okradano. Znał też dobrze prawo broni i siły, więc wcale się nie bał. Dlatego po porwaniu córki zorganizował grupę poszukiwaczy. Dziesiątki prywatnych detektywów, rekrutujących się w większości przypadków z podejrzanych kręgów, niekiedy nawet spośród rozbójników, którzy trudnili się porywaniem, jeździło po całym kraju w poszukiwaniu jego dziecka. Dobrze znali półświatek handlarzy i dlatego

najlepiej nadawali się na poszukujących. Ale wielbłądy są powolne, a pustynia szeroka. Ich działania trwały więc bardzo długo.

W tym czasie dziadek spędzał wesołe chwile ze swoją młodą małżonką i przez myśl mu nawet nie przeszło, że wokół jego szyi zaciska się pętla i będzie musiał rozliczyć się z małżeństwa, do zawarcia którego skłonił porwaną dziewczynę.

* * *

Niedługo po narodzinach wuja Hassana do mojego dziadka dotarł pierwszy z wysłanników ojca Farah. Nie był uprawniony do podjęcia jakichkolwiek działań, ograniczył się więc tylko do przedstawienia całej sytuacji. Uprzedził, że ojciec Farah jest już w drodze do Mekki, i wspominał o planowanych rozwiązaniach siłowych.

Można sobie wyobrazić dalszy ciąg wydarzeń: awantura, bójka, groźby, wyzwiska, zemsta, żądanie przeprosin, odszkodowania... Logiczne.

Tymczasem wcale tak się nie stało.

Skoro już wyrządzono zło, to zamiast się mordować i mścić bez końca, mój dziadek i ojciec Farah zasiedli do stołu i negocjowali. Rozmowy były bardzo ożywione - jeżeli wierzyć temu, co zostało mi przekazane. Samo uprowadzenie nie stanowiło problemu, ale był nim fakt, że porwano członka bogatej rodziny, która nie zgadzała się, aby jedną z córek traktować jak niewolnicę. Ojciec Farah życzył sobie dla niej lepszego małżeństwa i chciał sam dokonać wyboru. W zaistniałej sytuacji widział pogwałcenie swoich praw i żądał odszkodowania. Co do reszty mógł się porozumieć.

Tą resztą była Farah. Świat walił jej się na głowę, kiedy nagle została postawiona pod ścianą i musiała opowiedzieć się albo po stronie ojca, albo po stronie męża, choć żadnego z nich wcześniej nie mogła sobie sama wybrać.

Podczas pertraktacji mężczyźni doszli do następujących wniosków: Farah bezsprzecznie została porwana, ale teraz jest oficjalnie zamężna, jednak bez zezwolenia ojca, i to właśnie stanowiło problem. Taka sytuacja jest nie do pomyślenia w świecie muzulmańskim. Handlarze w gruncie rzeczy nie chcieli źle, nie chcieli niczyjej krzywdy, ale nie przewidzieli konsekwencji swojego czynu. Sprawę powinno się jakoś załagodzić. Trzeba tylko znaleźć właściwy sposób.

Dlatego wyjątkowo Farah pozwolono podjąć decyzję o ważności lub nieważności jej związku i nakazano wybierać między ojcem a mężem. Pozwolenie to może za dużo powiedziane, tak naprawdę kazano jej zdecydować - po uważnym rozważeniu konsekwencji każdego z czynów, tak jakby to ona popełniła błąd! Z ofiary stała się winowajczynią.

Spróbujmy sobie wyobrazić podobną sytuację dzisiaj. Co by się stało, gdyby uzbrojeni mężczyźni uprowadzili z domu rodzinnego trzynastoletnią dziewczynkę i sprzedali ją nieznanemu, który arbitralnie zdecydowałby, że zostanie ona jego żoną i będzie z nim dzielić łóżę? Rozwiązanie jest proste: zaraz po odkryciu całej sprawy biedna dziewczynka zostałaby oddana w ręce psychologów, a winowajcy wylądowaliby w więzieniu.

W sprawie Farah nie tylko nikt się nie przejął traumatycznymi przeżyciami ofiary, ale nawet ojciec nie żądał sprawiedliwości i nie uwolnił jej z rąk oprawców - tylko negocjował!

Jasno daje córce do zrozumienia, że jeśli odmówi powrotu do domu - a pozostawił jej taką możliwość - to nigdy nie będzie miała prawa się tam pokazać. Przystanie dla niego istnieć. Albo wszystko, albo nic. Urocze.

Z kolei mąż dziewczyny uprzedził ją, że jeśli odejdzie, to już nigdy nie zobaczy swojego dziecka. Poza tym zauważył, że jest mało prawdopodobne, żeby gdzie indziej opływała w podobne bogactwa i miała tak komfortowe życie jak u niego.

Szantaż był odrażający, budził sprzeciw. Można sobie wyobrazić, że dla młodej matki to jeszcze jeden powód, aby schronić się w rodzinnym domu i błagać ojca o walkę o dziecko wszelkimi dostępnymi środkami. Nie należy jednak zapominać, że nie jesteśmy ani w Europie, ani w Stanach Zjednoczonych. W wieku czternastu lat Farah doskonale wiedziała, że jeśli wróci do domu, to niedługo zostanie ponownie wydana za mąż, bez pytania o zdanie - tak samo kiedyś postąpiono z jej babką, matką, siostrami i kuzynkami. Czy to jej się podobało? Któż to wie? W każdym razie nie czuła się zszokowana. To normalne, tak było od zawsze. Taki był los wszystkich młodych panien. Żadna lub prawie żadna nie zdawała sobie sprawy, że w innych częściach świata może się to odbywać inaczej.

W związku z tym Farah długo się zastanawia, zanim podejmie decyzję. Jej mąż ma rację. Ona wie, co ma teraz, ale nie jest w stanie przewidzieć, co ją czeka za parę miesięcy lub parę tygodni. Ojciec nic jej nie powiedział na ten temat. Jednocześnie jest bardzo prawdopodobne, że Farah, mimo młodego wieku, tak jak każda kobieta przywiązała się już do swojego synka. Musi być rozdarta, gdy myśli, że więcej go nie zobaczy. Obaj

mężczyźni stawiają ją przed okrutnym wyborem i w dodatku każą jej wypowiedzieć się przed sądem, aby decyzja była prawnomocna. Dziewczyna postanowiła zostać z mężem. Jednak aby sędziowie przyznali jej to prawo, musiała wyrzec się swojego ojca, powiedzieć, że nie jest już jego dzieckiem.

W ten oto sposób Farah postawiła raczej na teraźniejszość niż na niepewną przyszłość. Sprawa została zakończona. Dla ojca Farah z dnia na dzień przestała istnieć.

Jakiś czas później mój dziadek drugi raz się ożenił - wziął za żonę Jemenkę i wprowadził ją do rodzinnego domu. Ma z nią czwórkę dzieci, córkę i trzech synów, w tym mojego ulubionego wuja Farida. Ale to pierwsza żona, Farah, rodzi mojego ojca, Jahję. Ten beztrudno dorasta w Mekce. Ma szczęśliwe, bezproblemowe dzieciństwo. Znajduje się pod opieką rodziców i starszego brata, wuja Farida.

Wuj jest sympatyczny i stanowi podporę całej rodziny, a jednocześnie staje się animatorem życia rodzinnego i osobą jednoczącą wszystkich, dbającą o ich dobro. Ojciec spokojnie żyje pod jego opieką aż do momentu, gdy ma się żenić.

Gdy tata był studentem, bardzo interesował się kobietami. W dzielnicy uchodził za donżuana. Wszyscy o tym wiedzieli. Pewnego dnia jeden z wujów, Anwar, powiedział mu, że zauważył wspaniałą dziewczynę w sąsiednim budynku. Zaraz potem ojciec rozpoczyna łowy. Sam chce się przekonać o urodzie dziewczyny, więc wspina się na dach swojego domu, aby wypatrzeć ten skarb. Po godzinach oczekiwań udaje mu się dostrzec obiekt zainteresowania. Dziewczyna jest zachwycająca, to prawdziwa piękność.

Tata zupełnie traci dla niej głowę. To miłość od pierwszego wejrzenia. Nie wytrzymał, pragnie się z nią spotkać, a nawet od razu pojąć ją za żonę. Chce, aby jego ojciec prosił rodziców dziewczyny o jej rękę. On ma dwadzieścia jeden lat, a ta, która zostanie moją matką - czternaście.

Następnie cała sprawa zostaje bardzo zgrabnie załatwiona, ponieważ obie rodziny z aprobatą patrzą na ten związek. Ja też się nie skarżę, ponieważ szczerze podziwiam moją matkę, która siedmiorgu mojego rodzeństwa i mnie zapewniła przykładne wychowanie i przekazała miłość do piękna.

* * *

Nawal, moja matka, jest kobietą światową. Lubi luksusy i wcale się z tym nie kryje. Nasze mieszkanie jest urządzone wyjątkowo gustownie. Mama zawsze wyszukuje ładne meble i eleganckie zastawy. Uwielbia przyjmować gości. Stawia sobie za punkt honoru pięknie nakryć do stołu i udekorować dom, przywiązuje wagę do najmniejszych szczegółów. Ojciec tego nie zauważa. Zachowuje się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy ani z tego, ile wysiłku ona wkłada w to, aby sprostać oczekiwaniom zaproszonych gości, ani z tego, jakie on ma szczęście, że udało mu się znaleźć tak wyjątkową panią domu. Wszystkie wysiłki matki uważa za normalne, ponieważ jest mężczyzną. Poza tym życie rodzinne w ogóle nie leży w kręgu jego zainteresowań. Najbardziej zajmują go studia nad księgowością, których jeszcze nie ukończył, oraz wdrażanie się pod okiem ojca w rodzinne interesy.

Jako mała dziewczynka bardzo cierpię z powodu braku miłości, zwłaszcza że moja matka też nie okazuje mi uczuć. To

normalne, jest zdecydowanie za młoda na macierzyństwo. Czternastolatka to *przecież* jeszcze dziecko, które samo oczekuje czułości. Matka bardzo mnie kochała, ale byłam jej lalką, nie dojrzała jeszcze do obowiązków, jakie jej narzucono. Którejś nocy długo płakałam w swoim łóżeczku, a wtedy przyszedł wuj Farid, który mieszkał piętro wyżej, aby obudzić mamę, żeby w końcu się mną zajęła. W tamtym okresie byłam tak bardzo przywiązana do wuja i ciotki, cudownej i towarzyskiej kobiety, że gdy tylko nauczyłam się wdrapywać na piętro, często wślizgiwałam się do ich mieszkania. Ich sposób bycia jest spełnieniem moich dziecięcych marzeń o rodzicach.

Z tego samego powodu chcę być blisko mojej babci Farah, wspaniałej kobiety! To przy niej uczę się gotować, szyć, haftować, a nawet wybierać najlepszą herbatę. Ona jest muzumanką z krwi i kości, całkowicie oddaną swojemu mężowi, żyjącą tylko dzięki niemu i dla niego. Niezwykle jest to jej oddanie. Zawsze po praniu bierze do ręki każdą rzecz dziadka i sprawdza, czy jest nieskazitelnie czysta. Jeśli coś w jej mniemaniu nie jest należyście doprane, jeśli odkryje najmniejsze niedociągnięcie, jeśli biel nie jest olśniewająca, pierze to jeszcze raz, a potem przez długie godziny oddaje się prasowaniu.

W swojej postawie nie widzi podporządkowania. Nie czuje się niewolnicą, nie uważa się za gorszą od mężczyzny, wręcz przeciwnie: dla niej jest to przydadająca wartości inwestycja w siebie, wypełnienie woli bożej. Babcia, która sprawuje pieczę nad mężem, nad czystością jego ubioru, czuje jednocześnie do dziadka głęboki szacunek, a dzięki temu respektuje również samą siebie. Jej podejście jest spontaniczne i niewymuszone.

Kiedy babcia tłumaczy mi zasady według których postępuje, zawsze słucham jej z uwagą. Mówi z taką delikatnością i przekonaniem, że wszystko wydaje mi się oczywiste i normalne. Jako mała dziewczynka obiecuję sobie, że wobec mojego przyszłego męża będę postępować tak jak babcia wobec dziadka. Mój mąż również będzie miał najbielsze i najlepiej uprasowane koszule w Mekce, żeby całe miasto wiedziało, że ma najbardziej oddaną żonę.

W tym celu bardzo wcześnie zaczynam pomagać babci w zajęciach domowych, przykładnie składam pościel, aby potem podążyć za nią do kuchni. Tam wdrapuję się na krzesło, dzięki czemu staję się tak wysoka jak babcia, co pozwala mi dokładnie obserwować jej ruchy, kiedy zagniatą ciasto lub robi szaszłyki. Trzymam się oparcia krzesła i tak uważnie obserwuję to, co się dzieje na blacie, że nie umyka mi żaden szczegół. Babcia przekazuje mi swoją wiedzę i miłość do gotowania. Kiedy już staję się kobietą, to dzięki mojej babce zawsze z przyjemnością zakładam fartuch kuchenny i zabieram się do przygotowywania najbardziej skomplikowanych dań. Uwielbiam gotować.

W dzieciństwie najczęściej przebywam z babcią, wujem i ciotką, dlatego kiedy pewnego dnia matka oznajmia, że ojciec wyjeżdża kontynuować studia w Stanach Zjednoczonych, nie jestem zaniepokojona. I tak rzadko go widuję, więc ta wiadomość wcale mnie nie zasmuca. Wyjeżdża? Cóż, najważniejsze, że matka, babcia, wuj Farid i ciotka zostają. Jeżeli zaś chodzi o Stany Zjednoczone, to nawet nie wiem, gdzie leżą. Poza miastem, trochę dalej w głębi pustyni czy jeszcze dalej? Przyjmuję to do wiadomości i reszta przestaje mnie interesować. Do końca

nie rozumiem, dlaczego to wydarzenie wzbudza tyle emocji w moim otoczeniu.

W dniu wyjazdu ojca cała rodzina zbiera się przed domem, aby go pożegnać i życzyć mu powodzenia. Jestem zadziwiona powagą sytuacji. Dzieje się coś ważnego, co mi umyka. Czuję, że nie powinienam zwracać na siebie uwagi. Przychodzi mi to zresztą z dużą łatwością, ponieważ ojciec mnie ignoruje. Ani przez moment się mną nie interesuje, nawet się do mnie nie uśmiecha. Macham do niego ręką, kiedy wsiada do samochodu i odjeżdża w stronę lotniska.

Parę tygodni później to wydarzenie wydaje mi się bardzo odległe. I wtedy właśnie matka oświadcza, że niedługo my, czyli ona, moi bracia, siostry i ja, dołączymy do ojca w Stanach Zjednoczonych, o których położeniu ciągle nie mam pojęcia. Teraz dowiaduję się, że ten kraj znajduje się po drugiej stronie oceanu, co wcale nie wyjaśnia mi sprawy, tylko powoduje więcej wątpliwości. Niezależnie od tego zaczynam się nad tym wszystkim poważnie zastanawiać.

Przedtem wyjazd ojca był mi obojętny, ale teraz oscyluję między podnieceniem a zaniepokojeniem. Tak, tym razem chodzi o mnie, Ranie, to ja wyjeżdżam - nawet nie po prostu wyjeżdżam, ale wylatuję samolotem! To już jest coś! Kiedy się o tym dowiaduję, od razu zadzieram głowę i wypatruję na niebie małych punkcików podążających w stronę słońca. Jeszcze nigdy nie leciałam samolotem i już nie mogę się doczekać, chociaż troszeczkę się boję.

Od momentu ogłoszenia wyjazdu cały dom zostaje wyrócony do góry nogami. Mam wrażenie, że żyjemy na walizkach. Wszędzie leżą paczki i sterty pościeli. Jest ciekawie.

Wreszcie nadchodzi wielki dzień. Wylatujemy do Waszyngtonu. Tutaj mieszka ojciec. Znalazł dla nas umebłowany dom, do którego się wprowadzimy. Co za przygoda...

* * *

Samolot jest piękny. Niebieskie fotele są dla mnie o wiele za duże. Wyciągam ramiona i nogi, żeby zająć jak najwięcej miejsca. Mama wygodnie siedzi obok mnie. Niedługo po starcie zdjęła z głowy chustę, złożyła ją i schowała do torby. W samolocie nie było wielu kobiet, ale prawie wszystkie zrobiły to samo i nikt nie zwrócił im uwagi. Pewnie w samolocie, tak jak w domu, można zdejmować chusty. Później zapytam o to mamę, na razie wolę przykleić nos do szyby i patrzeć na malejące domy i powiększającą się pustynię.

* * *

Dobrze mi się spało w czasie lotu i jestem wciąż zaspana, kiedy lądujemy w Waszyngtonie. Czekamy długo, bardzo długo, aż celnicy dokładnie sprawdzą paszport mamy. W końcu pozwalają nam przejść i chwilę później zauważam ojca pośrodku grupki ludzi czekających za barierką. Dzieje się coś niewiarygodnego, zupełnie nieoczekiwanego. Tato podchodzi do mamy, uśmiecha się, bierze ją za szyję i... całuje w usta! Tak, w usta, przy ludziach! Jestem oszołomiona. Szeroko otwieram oczy ze zdumienia, przekonana, że za chwilę rozegra się wielki dramat. Ktoś uderzy ojca, odciągnie mamę, mam nawet nadzieję, że matka zacznie się bronić albo ucieknie. Przestraszona z niepokojem rozglądam się wokoło. Nic się nie dzieje. Nikt nie

reaguje, jakby to wszystko nie miało znaczenia. Tata ciągle się uśmiecha i mama również... Dziwne. Widocznie w tym świecie obowiązują inne obyczaje.

Ta zdumiewająca scena naznaczyła mnie na całe życie. Dogłębnie mną wstrząsnęła, ponieważ się jej nie spodziewałam. Nigdy nie widziałam całujących się kobiety i mężczyzny. I to w dodatku w usta! I to moi rodzice zrobili mi coś takiego! Całkiem namieszali mi w głowie. Dla mnie była to forma przemocy, brutalności, okropieństwa niegodnego człowieka. Ojciec się skompromitował. Nienawidziłam go w tamtym momencie. Jeszcze dziś o tym pamiętam i żadnemu mężczyźnie nie pozwalam na najmniejszy niewłaściwy czy poufały gest w miejscu publicznym, nawet gdy jestem poza Arabią Saudyjską. To jest kwestia zasad. Mój mąż też padł ofiarą tej wstydlivości podczas podróży poślubnej.

Wiele lat później, kiedy przechadzaliśmy się z Raszidem ulicami Paryża, znów widziałam całujących się ludzi. Ze śmiechem powiedziałam mężowi: „Tak naprawdę to oni mają rację. Dlaczego należy się całować tylko w łóżku? Ja również chciałabym spróbować”. Żartowałam, ale mąż wziął to na poważnie i przystąpił do realizacji planu. Parę minut później, kiedy się tego nie spodziewałam, spróbował mnie pocałować na ruchomych schodach w centrum handlowym. Okropność. Owładnął mną niesamowity strach. Nagle poczułam się kompletnie naga. Cała się trzęsłam, a Raszid, który nic nie rozumiał, wybełkotał tylko:

- Dlaczego domagasz się czegoś, czego wcale nie chcesz?

* * *

Dom, który ojciec wynajął, znajduje się w bardzo spokojnej dzielnicy mieszkaniowej Waszyngtonu, z dala od centrum. Jest przestronny, jasny, wygodny. Otacza go ogród, w którym stoją zjeżdżalnia oraz zielone i czerwone huśtawki. Wszystko jest ładne, ale w tym zupełnie obcym miejscu czuję się zagubiona. Będę potrzebowała wielu tygodni, żeby się odnaleźć w nieznanym otoczeniu i przystosować do nowego życia. To nie jest takie proste. Codziennie chodzę do prywatnej szkoły dla arabskich dzieci, gdzie uczę się angielskiego. Uczęszczają tu przeważnie dzieci dyplomatów i biznesmenów z krajów Zatoki Perskiej. Ich zachowanie jest inne niż moich kolegów i koleżanek z Mekki. Przez jakiś czas trochę mi to przeszkadza, ale to nic w porównaniu z tym, co przeżywa moja matka.

Nawal zupełnie sobie nie radzi w nowej sytuacji. Wraz z upływem czasu mama coraz bardziej tęskni za Arabią. Trzeba przyznać, że wybór przez ojca tej odległej dzielnicy Waszyngtonu wydaje się niezrozumiały. Społeczność saudyjska skupiona jest w innej części amerykańskiej stolicy i matka zadaje sobie pytanie, dlaczego ojciec właśnie tam nie znalazł domu. Czułaby się mniej osamotniona, gdyby mogła się spotykać z arabskimi znajomymi, wyjść z nimi na zakupy. Tutaj przez cały dzień jest odizolowana w naszej willi, w samym sercu eleganckiej dzielnicy zamieszkaney przez Amerykanów, których życie prywatne sprowadza się do joggingu i siedzenia przed telewizorem. My mamy zwyczaj prowadzić ożywiony tryb życia po zachodzie słońca, co tutaj nie jest najlepszym rozwiązaniem. Matka nie rozumie, czym ojciec się kierował. Przecież nawet on chyba czułby się lepiej, gdyby był blisko Saudyjczyków. To tajemnicze.

Tymczasem powody są proste. Ojciec jest zazdrosny, potwornie zazdrosny, a ponieważ matka to bardzo piękna kobieta, nie chciał jej wystawiać na widok innych mężczyzn ze społeczności saudyjskiej, którzy nudzą się z dala od kraju i źle znoszą integrację ze społeczeństwem amerykańskim. Z ostrożności, niczym rycerz, ojciec zamyka swoją damę w wieży. Woli odseparować matkę, aby uniknąć związanych z tym problemów.

W rezultacie mama wegetuje przez cały dzień przed ogłupiającą telewizją i nie ma odwagi się skarżyć, ponieważ tak postanowił ojciec. Jednakże dla towarzyskiej kobiety takie życie pod kloszem jest bardzo trudne. Brakuje jej wielkich przyjęć, które organizowała u nas w Mekce. I tutaj proponuje ojcu zapraszanie gości, aby przynajmniej nawiązać kontakty i trochę się zabawić, ale zawsze pada negatywna odpowiedź. Ojciec nie chce nawet o tym słyszeć. Dla niego jest oczywiste, że jeśli jego znajomi odkryją mamę, to potem będą przyjeżdżali ją odwiedzać. Przynajmniej on jest o tym przeświadczony, a mama musi się pogodzić z jego obsesją.

Bardzo szybko nasze życie staje się przygnębiające. Kiedy ojciec wraca z uniwersytetu, dokąd uczęszcza na zajęcia, prawie nic nie mówi, w ogóle się nami nie zajmuje. Nie obchodzi go, jak się czujemy ani co robiliśmy w ciągu dnia. Ten brak zainteresowania mnie deprymuje. Odczuwam ogromną frustrację. Bardzo często mam ochotę płakać. Tak samo jak mama. Regularnie widzę ją zalaną łzami, snującą się po domu z pokoju do pokoju, beczynną, niczym się nieinteresującą. Przedtem była taka aktywna, a teraz nic nie robi i próbuje jakoś zabić czas. Już jej nie poznaję. Nawet szcicie nie sprawia jej radości,

a przecież tak lubiła to zajęcie. W Mekce dla przyjemności szyła pannom młodym bogato zdobione suknie, których materiały wprawiały mnie w zachwyt - były cieniutkie i delikatne. Tutaj matka nie ma na nic ochoty. Kiedy wracam ze szkoły dobrze widzę, że rozpoczęta wiele dni temu praca nad strojem wcale nie postępuje, tkwi ciągle w tym samym miejscu.

Ta mordęga trwa dwa lata. Kiedy człowiek się nudzi, dwa lata to długi okres, bardzo długi, dlatego naprawdę mam ochotę wracać do Arabii. Niekiedy obezwładnia mnie myśl, że może zostaniemy tu na zawsze. Nigdy nie słyszałam, aby rodzice o tym wspominali, ale nie mogę powstrzymać takich wizji i wyobrażam sobie ten koszmar.

Pewnego dnia, kiedy właśnie o tym wszystkim rozmyślałam, podchodzi do mnie uśmiechnięta matka. Szybko orientuję się, co się stało, i skaczę z radości. Po długiej dyskusji z ojcem zapadła decyzja. Matka powiedziała mu, że już nie jest w stanie wytrzymać i chciałaby zobaczyć rodzinę, znajomych, swój kraj - i on się zgodził. My wracamy do Mekki, a tata dokończy studia w Waszyngtonie.

Wspaniała wiadomość! Do widzenia, Ameryko! Niech żyje gorący piasek pustyni!

Pierwsza propozycja matrymonialna

Jakie to szczęście znów zobaczyć Mekkę i stary, solidny, kamienny dom dziadka! Cieszę się życiem, któremu rytm nadaje jedynie wędrówka słońca i sylwetki czarno odzianych kobiet, cicho sunących chodnikami. Właściwie nie brakuje mi Waszyngtonu. Trzeba jednak przyznać, że nie poznałam go z najlepszej strony, ponieważ większość czasu spędzałam w domu lub szkole. Bez względu na to, tutaj czuję się dobrze i cieszy mnie, że mama znów się uśmiecha.

Nie wydaje mi się, żeby brakowało jej ojca. On często do niej dzwoni, głównie po to, żeby wydawać polecenia oraz upewnić się, że matka postępuje wedle jego życzenia i zachowuje się właściwie. Nigdy nie pyta o mnie ani nie prosi mnie do telefonu. Nic nie mówię, ale ten brak zainteresowania bardzo mnie boli. Za to ojciec regularnie przysyła mi pocztą gry i zabawki. Otwieram ogromne paczki bez emocji, ponieważ wiem, że nie ma w nich listu. Ani słowa, ani fotografii, ani rysunku czy kartki pocztowej.

Tylko sam przedmiot - zimny i nijaki, którego sobie nie życzyłam i który nic dla mnie nie znaczy Oczywiście bawię się tymi zabawkami, ale są mi obojętne; o niczym nie przypominają, nawet o nieobecności ojca. Nie mają duszy, tylko wartość materialną.

Na szczęście wuj Farid i ciotka obdarzają mnie uczuciem, którego ojciec mi skąpi. Ich miłość i sympatia w dużym stopniu wypełniają pustkę po ojcu. Tak szczerze, że kiedy w końcu, po roku nieobecności, tata wraca ze Stanów Zjednoczonych, przyjmuję go jak obcą osobę. Ale nie to jest najgorsze - prawdziwą tragedią jest dla mnie wieść, że za kilka tygodni przeprowadzamy się do Dżuddy, wielkiego portu handlowego Arabii Saudyjskiej, dokąd przybywają wszyscy pielgrzymi zmierzający do Mekki. Bardzo mnie martwi rozłąka z wujem i ciotką, a także to, że muszę opuścić ukochane miasto dla jakiegoś innego, nieznanego. Wprawdzie wiem, że Dżudda leży zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Mekki, i zdaję sobie sprawę, że rodzina będzie często nas odwiedzać, ale i tak na myśl o tym wszystkim nie przestaje mnie ogarniać to samo dojmujące poczucie osamotnienia, które odczuwałam w Waszyngtonie. Tylko że teraz chodzi o Dżuddę, centrum biznesowe, i to właśnie interesy wzywają tam mojego ojca, który uzyskał dyplom w Stanach Zjednoczonych.

* * *

Inne miasto, inne otoczenie. Dżudda to nowoczesna metropolia. Mieszkamy teraz w wielkim apartamencie w nowym budynku. Jest ładny, ale i tak brakuje mi domu dziadka, zbudowanego z dużych grubo ciosanych kamieni, i jego przestronnych wnętrz.

W Mekce razem z siostrą miałyśmy w zwyczaju tańczyć jak szalone na dziedzińcu za domem. Ojciec nic o tym nie wiedział. Zabraniał nam używać magnetofonu. Jednak wuj od strony matki podarował nam w tajemnicy stary odtwarzacz. Schowałyśmy go pod łóżkiem i sięgałyśmy po niego, gdy tylko tata wychodził z domu. Rozkręcałyśmy na cały regulator i bawiłyśmy się przy najnowszych piosenkach amerykańskich, arabskich i hinduskich. Jednak pewnego dnia wydarzyła się katastrofa. Z powodu nadmiernych wygibasów siostra poczuła ból kręgosłupa. Trzeba było ją zawieźć do szpitala, a więc ojciec musiał poznać przyczyny wypadku i wszystko się wydało. Bałam się jego reakcji, ale nic nie powiedział. Wydaje mi się, że nawet żałował swojego zakazu i czuł się wszystkiemu winny. Za jego fanatyzm dzieci płaciły wysoką cenę. Po tym zdarzeniu ojciec kupił nam nowiutki odtwarzacz dobrej jakości. To były przyjemne czasy.

Szkoda, że w mieszkaniu nie można się tak bawić jak w domu. Cóż, przynajmniej tata zostawił nam magnetofon.

Chociaż ojciec narzuca nam bardzo surowe wychowanie religijne i respektowanie modlitw, jednocześnie pozwala na pewne odstęstwa, zwłaszcza w sposobie ubierania się. Z pewnością ta tolerancja wywodzi się z okresu pobytu w Ameryce. I tak pewnego dnia, kiedy podczas zabawy turlałam się po wykładzinie przed ojcem, matka podeszła do mnie, żeby szybko zasłonić spódniczką białe majtki. Gdy ojciec to zauważył, powiedział:

- Oj, zostaw ją, niech się bawi i nie przejmuj swoim strojem. Jeszcze przyjdzie taki czas, za parę lat, że będzie musiała o tym myśleć. Nie wiadomo, jaki mężczyzna jest jej pisany!

Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co ojciec miał na myśli. Dziś wiem to doskonale.

W tamtych czasach, gdy miałam dziesięć lat, moje kontakty z chłopcami nie stanowiły problemu. Oczywiście jest, że koedukacja w szkołach należy do rzadkości. Jednak w domu gram z kuzynami pod bacznym spojrzeniem ojca, który nie spuszcza mnie z oczu i czuwa, aby nikt nie zrobił nic niewłaściwego. Takie wychowanie naznaczyło mnie na zawsze. W dniu ślubu wciąż będę odczuwać jego skutki i będzie mi trudno przełamać się, by spędzić noc poślubną z moim mężem.

W szkole segregacja chłopców i dziewczynek jest czymś naturalnym. To cecha charakterystyczna naszego systemu kształcenia, dlatego nas to nie dziwi. Przecież przez długi czas tak samo było w innych krajach europejskich i nikt się nie oburzał. Koedukacja w szkołach została wprowadzona dopiero w latach 60. XX wieku, ale obecnie niektórzy wracają do tej starej zasady podziału.

Prawdziwym problemem w Arabii było natomiast nieposyłanie do szkoły dziewczynek. Wprowadzenie w latach 70. XX wieku obowiązku szkolnego dla dzieci obojga płci wymagało niezwyklej odwagi od króla Fajsala. Chłopcy w szkole - nawet to stanowiło rzadkość, a co dopiero dziewczynki?! To było nie do pomyślenia, przeczyło wszelkim zasadom wychowania i naruszało porządek w rodzinie. Kobieta została stworzona do małżeństwa, wychowania dzieci i prowadzenia domu. Koniec, kropka. Czy trzeba umieć czytać i pisać, żeby zmieniać dzieciom pieluchy i wyrabiać ciasto? Pójście do szkoły było uważane za luksus, ponadto należy wziąć pod uwagę, że w 1970 roku

zaledwie dziewięć procent społeczeństwa potrafiło czytać i pisać. Reforma wprowadzona przez króla Fajsala wywołała oburzenie. Duża część rodziców nie rozumiała, o co chodzi, odmawiała zastosowania się do zaleceń, ignorowała je i zatrzymywała córki w domu. Szkoła nie była priorytetem w odniesieniu do chłopców, a co dopiero do ich sióstr?! Do zmiany mentalności ludzi potrzebny był niepodważalny autorytet króla i jego żelazna wola.

Dwadzieścia parę lat później, w 1994 roku, sześćdziesiąt jeden i osiem dziesiątych procent społeczeństwa, w tym siedemdziesiąt i sześć dziesiątych procent mężczyzn oraz czterdzieści siedem i sześć dziesiątych procent kobiet, potrafiło czytać i pisać. Wciąż nie było to dużo, ale postęp nastąpił. W 1997 roku średni czas nauki mężczyzn wynosił dziesięć lat, a kobiet - dziewięć. Panuje więc niemalże równość. Brakuje mi danych, ale uważam, że obecnie dziewczęta osiągnęły ten sam poziom co chłopcy, a może nawet go przewyższyły. Wiele z nich odznacza się odwagą i inteligencją. Zrozumiały, że ich wybawienie, wolność i niezależność są w dużym stopniu uwarunkowane wykształceniem. Emancypacja intelektualna jest niezbędna w kraju, który nie będzie wiecznie utrzymywać się z jedyne go źródła, jakie stanowi ropa. W ciągu dwudziestu lat produkt krajowy brutto Arabii Saudyjskiej spadł trzykrotnie. Aby związać koniec z końcem, coraz więcej kobiet musi pracować zawodowo. W 1995 roku było ich zaledwie osiem procent, a szacuje się, że dzisiaj ta liczba jest ponad dwa razy większa, choć oficjalne dane tego nie potwierdzają.

Jeżeli chodzi o edukację, to ani moi bracia, ani siostry, ani ja nie mamy na co się skarżyć. Wręcz przeciwnie. Ojciec i matka

zawsze zachęcali nas do nauki, czasem nawet stosowali przymus, jeśli brakowało nam entuzjazmu.

Trzeba przyznać, że u nas szkoła była kwestia tradycji. Mój dziadek umiał pisać i czytać, posługiwał się dziewięcioma językami i sprzedawał książki w Mekce. W latach 50. XX wieku ciotka otworzyła w Dżuddzie jedną z dwóch pierwszych szkół prywatnych dla dziewcząt. Najwyżsi dostojnicy w mieście posyłały do niej swoje dzieci. W takiej sytuacji mój ojciec musiał przywitać z radością życzenia króla Fajsala.

Tak bardzo popierał tę ideę, że niekiedy po stokroć przeklinałam jego zaangażowanie. Większość rodziców narzekała, że musi wysłać dzieci do szkoły, ale znaleźli się i tacy, którzy bezkrytycznie przyklasnęli projektowi monarchy, i to byli właśnie moi rodzice! Jednak ja bardzo powściągliwie traktuję rozporządzenia króla Fajsala i jego troskę o to, żebym nauczyła się czytać. Szkoła naprawdę nie jest moją pasją. Odkad skończyłam dziesięć lat, wolę słuchać po kryjomu arabskich programów Radia Monte Carlo, zamiast odrabiać lekcje. To nie jest najlepsze rozwiązanie, ale bywa gorzej. Teraz, kiedy jestem duża, mam pokój tylko dla siebie, i mogę w nim robić, co chcę. Co wieczór kładę więc radio na poduszce i ze słuchawkami w uszach rozkoszuję się najnowszymi przebojami do późnej nocy. U kogoś, kto następnego dnia rano idzie do szkoły, to postępowanie całkowicie pozbawione sensu. Wiem o tym...

Rezultat jest łatwy do przewidzenia: podczas gdy moja siostra, która zajmuje pokój obok, zawsze na pierwsze zawołanie matki wyskakuje z łóżka wypoczęta i pełna entuzjazmu, do mnie matka musi przychodzić wiele razy, zanim w końcu wstanę.

Często nawet kategorycznie odmawiam ruszenia się z łóżka aż do momentu, gdy przychodzi ojciec. Wtedy dostaję lanie, co jednak nie powstrzymuje mnie przed włączeniem RMC następnego nocy. Im bardziej stanowczo każą mi iść do szkoły, tym mniejszą mam na to ochotę. Zdarza się wręcz, że zawracam spod budynku i przychodzę do domu. Ojciec szybko staje się czujny i muszę płacić za moje wybryki. Nie okazuje mi ciepła. Zresztą nigdy nie łączyła nas jakaś szczególna więź, dlatego podoba mi się mój bunt, widzę w nim swego rodzaju wyzwanie wobec jego autorytetu. Nieczęsto zdarza się, aby w Arabii dziewczynka przeciwstawiała się ojcu, tylko że ja jestem zdecydowanie za młoda, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Tu zaczyna się ujawniać nieznana dotąd cecha mojego charakteru.

Poza tym moja próba odrzucenia szkoły wynika bardziej z niechęci do instytucji niż do samej nauki. Nie jestem złą uczennicą, lubię czytać i mam dobre stopnie z arabskiego, ale jestem leniwa, niezdyscyplinowana i myślę tylko o tym, by się bawić. W klasie wyróżniam się tym, że organizuję przerwy na poczęstunek, na który zapraszam nawet nauczycieli. Co rano matka wkłada do mojego tornistra kilogramy wszelkiego rodzaju słodkości, by mnie i siostrze niczego nie zabrakło. Jest tego tyle, że można by wykarmić wszystkich marynarzy w porcie. Moje koleżanki z klasy szybko zasmakowały w słodyczach, tak samo zresztą jak nauczyciele. W ten oto sposób ciastka sióstr Al-Baz stały się specjalnością przerwy śniadaniowej o godzinie jedenastej. Doskonale sprawdzam się w roli młodej gospodyni. W tej kwestii radzę sobie bardzo dobrze, do tego naprawdę się przykładam.

Im bardziej szkoła mnie odpycha, tym silniej pociąga mnie muzyka. Nie tylko ta nadawana przez RMC, ale muzyka w ogóle. Dość wcześnie nauczyłam się grać na elektronicznych organach i gitarze arabskiej, na lutni równie dobrze gram zarówno prawą, jak i lewą ręką. Nie trzeba mnie długo prosić, żebym zamiast rozrabiać i ganiać się z siostrami, usiadła przed instrumentem i zaprezentowała swoje możliwości. Mimo to moi rodzice widzą we mnie lekarkę. Często mi o tym przypominają, zwłaszcza ojciec.

- Musisz dobrze się uczyć, aby dostać się na medycynę...

Każda bogata saudyjska rodzina marzy o tym, aby jedna z córek została lekarką. W końcu ktoś musi badać kobiety, a te nie mogą w Arabii pokazywać się nago obcym mężczyznom, nawet jeśli są oni lekarzami. Dlatego młode dziewczyny zachęca się do studiowania medycyny, by odpowiedzieć na to zapotrzebowanie.

Przyszłość, którą planuje ojciec, wydaje mi się tak odległa, że wcale nie zwracam na nią uwagi. Mam być lekarką? Proszę bardzo, jeżeli to ma mu sprawić przyjemność! Nie wątpię, że ojciec traktuje tę sprawę bardzo poważnie, jednak nie jestem w stanie śledzić jego poglądów ani tym bardziej ich podzielać. Lekarka? Przyjdzie na to czas. Teraz jestem dzieckiem, nie dojrzałam jeszcze do świata dorosłych, zostawcie mnie z moimi zabawkami i marzeniami małej dziewczynki...

Mała dziewczynka... W każdym razie tak o sobie myślę, kiedy któregoś dnia matka oznajmia:

- Pewien mężczyzna poprosił o twoją rękę.

Mam wówczas dokładnie jedenaście lat.

Wiadomość mnie poraża. Nie wierzę matce, jestem pewna, że sobie żartuje, jednak to nie w jej stylu. Czuję, że oblałam się rumieńcem, a gdy ona się nie śmieje, proszę, aby powtórzyła. Czuję, że jest zakłopotana, kiedy oschle mówi:

- Ależ tak, niedługo staniesz się kobietą. To normalne, że mężczyźni zaczynają się tobą interesować. Kiedy babcia była w twoim wieku, już od dawna mężczyźni prosili ojej rękę.

Mam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg. Najdziwniejsze myśli kłębią się w mojej głowie. Jakiś mężczyzna poprosił o moją rękę... Ślub? Niedawno byłam druhną na ślubie! Mężczyzna? Kto to taki ten mężczyzna? To nie jest chłopak w moim wieku. Mężczyzną jest mój ojciec albo wuj Farid! Nie mogłabym być ich żoną, mogę być tylko ich córką lub bratanicą.

Nic nie rozumiem. Z desperacją przyglądam się matce. Jestem pewna, że zaraz wybuchnie śmiechem, powie, że chciała mnie dla zabawy nastraszyć...

Niestety, to już koniec zabawy. Mężczyzna naprawdę poprosił ojca o moją rękę. To pilot linii lotniczych mieszkający w Dżuddzie. Ojciec rozważa jego propozycję, bo wydaje mu się do zaakceptowania. Dlatego mama woli przygotować mnie na tę okoliczność.

Nawet gdy dociera do mnie, że to prawda, nie przywiązuję do niej najmniejszej wagi. Nie zdaję sobie sprawy, co to oznacza. W wieku jedenastu lat trudno sobie wyobrazić, czym jest ślub. Oczywiście kobiety na Wschodzie wcześniej niż te z Zachodu wychodzą za mąż. Bez wątplenia w przeszłości niektórzy mężczyźni poślubiali dziewczynki, ale czasy się zmieniły. Obecnie kobiety wychodzą za mąż w wieku

siedemnastu lub osiemnastu lat. Po co więc cofać się i wydać mnie za mąż w wieku jedenastu lat? Nie, naprawdę, to niemożliwe, coś jest nie tak.

Następnego dnia, kiedy po szkole wracam do domu, od razu idę do mojego pokoju, w którym po chwili zjawia się matka. Znowu zaczyna mówić o planach matrymonialnych.

- To będzie dla ciebie bardzo dobre małżeństwo, masz dużo szczęścia. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Twój przyszły mąż jest pilotem linii lotniczych. Pomyśl, jak będzie wyglądało twoje życie: mąż rzadko bywa w domu, prawie go nie widzisz, nie musisz gotować, możesz robić to, co chcesz!

Zaczynam zdawać sobie sprawę, że to wszystko jest na poważnie, ale nie rozumiem dlaczego. Rzeczywiście mama ma rację, perspektywa niezbyt częstego oglądania męża mnie pociesza. Moje życie nie bardzo się zmieni, dalej będę chodzić do szkoły i być może nawet zachowam swój pokój w naszym domu. Byłoby świetnie, ale skoro tak, to nie pojmuję, po co wydaje się mnie za mąż. Jeżeli prawie nie będę widywała męża, jeżeli moje życie nie ulegnie żadnej zmianie, tak samo jak i jego, to niech mnie zostawią w spokoju, niech sobie beztrudnie dorastam z moją ukochaną siostrą i koleżankami ze szkoły. Natłok sprzecznych informacji sprawia, że wszystko mi się płące.

Jeszcze nie do końca sprawy poukładały mi się w głowie, kiedy parę dni później mama kładzie kres moim rozterkom. Kiedy wracam ze szkoły, nawet nie czeka, aż odstawię tornister na miejsce, tylko od razu oświadcza:

- Ojciec odmówił oddania twojej ręki. Decyzja jest ostateczna, sprawa skończona.

Co ciekawe, jestem tym podobnie zszokowana jak samymi oświadczeniami. Zalewa mnie fala szczęścia, prawie dusi. Jestem bardzo zadowolona, ale chcę wiedzieć więcej, żeby upewnić się, że to prawda.

- Co się stało? Pan pilot zrobił coś, co nie spodobało się tacie? Nakłamał?

- Nie, twój ojciec pomylił się co do twojego wieku. Myślał, że masz dwanaście lat, i kiedy mu powiedziałam, że masz dopiero jedenaście, zmienił zdanie. To za wcześnie, nie jesteś jeszcze kobietą, należy trochę poczekać.

Trochę poczekać... Szybko obliczam. Jeżeli dobrze zrozumiałam, to mam rok odroczenia. Zostaje mi rok na przygotowanie się - mało czasu, ale to już coś!

Przy tej okazji jeszcze raz przekonuję się, do jakiego stopnia ojciec się mną interesuje. Nie pamiętał daty moich urodzin, co o mały włos nie odmieniło mojego młodego życia.

Jeśli chodzi o matkę, to wydaje się bardzo zadowolona z tej decyzji, i wiem, że jest szczerą. Ale przyczyna jej szczęścia ma inne podłoże. Tak naprawdę od jakiegoś czasu prowadzi w mieście butik - projektuje, szyje i sprzedaje suknie. Nowa pasja tak ją pochłania, że nie jest w stanie zajmować się domem w takim stopniu, jak by chciała. Dla niej jako dla osoby, która wymaga, aby każdy przedmiot był na swoim miejscu, a wszystko było dokładnie odkurzone, to niedopuszczalne zaniedbanie przyprawiające ją o ból serca. Dlatego właśnie przekazała mi część swoich obowiązków.

W domu mamy dwie służące. Rano towarzyszę matce podczas biegania po mieszkaniu i wydawania poleceń na cały dzień.

Po południu, gdy tylko wracam ze szkoły, muszę sprawdzić, czy polecenia wykonano i czy wszystko zostało należycie zrobione. W moim interesie jest nieprzeoczenie żadnego szczegółu. Kiedy matka przychodzi z pracy, przeprowadza inspekcję i sprawdza, czy wszystko jest tak, jak chciała!

Taki wojskowy dryl sprawia, że szybko dorastam, uczę się, jak zostać kobietą, jak prowadzić dom i jak przygotować posiłek dla całej rodziny. To również należy do moich obowiązków, ale wcale się nie skarżę. Od kiedy babcia nauczyła mnie gotować, odczuwam prawdziwą przyjemność podczas krzątania się po kuchni. Nie wszystkie dania udają mi się za pierwszym razem, o czym oczywiście moja matka nie omieszkła mi powiedzieć, ale szkolę się, dorastam, i choć nie zdaję sobie z tego sprawy, pomału przedwcześnie wchodzę w rolę żony, którą nie było mi na razie dane zostać.

* * *

W ciągu następnych miesięcy staje się jasne, że nie pozostanę długo niezamężna. Muszę przywyknąć do tej myśli i przygotować się na ten związek. Skończyłam zaledwie dwanaście lat, a już zaczęły spływać propozycje matrymonialne. Nie mogę pójść na żadne spotkanie, żadne przyjęcie, by nie przyciągać pożądlivych spojrzeń. Mam wrażenie, że się podobam. Biorąc pod uwagę pośpiech matek zabiegających o moją rękę dla swoich synów, to musi być prawda! Z tego, co słyszałam, podziwiają nie tylko moją urodę, ale także moje zalety, bardzo pożądane u kandydatek na żonę. Ten sukces daje mojemu ojcu do myślenia. Był gotowy wydać mnie za męża, kiedy miałam ledwie jedenaście lat,

a teraz zdaje sobie sprawę, że jestem doskonałą partią i nie będę miała żadnych problemów ze znalezieniem męża. Dlatego ojciec staje się coraz bardziej wymagający, nie ma już mowy o pośpiechu, o chęci szybkiego pozbycia się mnie z domu. Ojciec daje sobie czas na znalezienie idealnego kandydata i stawka idzie w górę. Jestem pewną inwestycją i poszukiwanym towarem, za który chętnie się płaci!

Między trzynastym a czternastym rokiem życia oferty sypią się jak z rękawa. Co czwartek, w tradycyjny dzień odwiedzin w Arabii, przez dom przewijają się matki próbujące dokładnie mi się przyjrzeć. Zapewne we wszystkich rodzinach saudyjskich odbywa się to podobnie, ale można przypuszczać, że moja kandydatura jest wyjątkowo atrakcyjna, skoro żadna z matek nie wychodzi z domu bez wspomnienia o małżeństwie. Moja mama przekazuje oferty ojcu, a ten je rozważa. Jeżeli któraś z nich mu się podoba, organizuje spotkanie z kandydatem i jego ojcem.

Kilka dni później następuje niezmienny rytuał. Dwaj mężczyźni siadają w salonie w fotelach naprzeciwko mojego ojca, który zachęca do przedstawienia swojej sprawy, a sam uważnie ich obserwuje. Inspekcja jest dokładna, liczy się każdy szczegół. Wystarczy, że pretendent przyjdzie w sandałach lub podczas rozmowy założy nogę za nogę, a już zostaje skreślony. Dobre wychowanie i prezencja mają dla ojca podstawowe znaczenie. Kiedy kończą się rozmowy, na krótko wchodzę do pokoju z ukrytymi pod chustką włosami i podaję trzem mężczyznom sok. Dla kandydata jest to okazja, by zobaczyć moją twarz. Jeżeli mu się podobam, to bez słowa wręcza mi bransoletkę, zegarek lub inną błyskotkę, aby wyrazić swoją aprobatę.

Nigdy nie mówię ani słowa i wychodzę z pokoju. Ojciec podejmuje *decyzję*, potem, jeśli jest ona pozytywna, przychodzi i pyta mnie o zdanie.

Na początku te rytuały mnie bawią, jako nastolatce to wszystko mi pochlebia. Chowam się w mieszkaniu, żeby z ukrycia obserwować kandydatów i ich oceniać. Myśl o małżeństwie wciąż mnie nie cieszy, ale już się nie boję, ponieważ nie da się go uniknąć. Tyle że im więcej czwartków mija, tym bardziej nudzi mnie ta cała gra. Mam jej dość do tego stopnia, że niekiedy zamykam się w łazience i kategorycznie odmawiam wyjścia, dopóki goście sobie nie pójdą. Ojciec nie bardzo się temu sprzeciwia. Tak dla zasady upomina mnie, trochę grozi, ale nic więcej. Dopóki nie będzie miał przed sobą mężczyzny, który jest mi pisany, mogę być spokojna, nie będzie mnie niepokoił.

Ponadto ojciec zdaje sobie sprawę, że odkąd matka pracuje, to ja zapewniam domowi równowagę. Moje odejście stworzyłoby lukę w zarządzaniu domem, której nikt nie byłby w stanie wypełnić. Moja młodsza siostra nie wydaje się na tyle silna i dojrzała, aby przejąć taką odpowiedzialność. Nie ma mojego zmysłu zarządzania i organizacji. Nie byłaby szanowana przez służbę.

Korzystam z takiego układu do dnia, w którym niespodziewanie odwiedza nas ważny członek naszej rodziny, wysoki urzędnik państwowy. Przychodzi w towarzystwie żony, syna i córek... To cała delegacja. Dość szybko prosi ojca o moją rękę dla swojego syna. Teraz przychodzi czas na tradycyjny ceremoniał. Ale tym razem ojciec jest rozpromieniony. Na widok jego zadowolenia natychmiast się buntuję. Przede wszystkim, żeby

zrobić mu na złość, a poza tym dlatego, że ci ludzie mi się nie podobają. Nie lubię ich, są hipokrytami. Dlatego kiedy ojciec przychodzi do mojego pokoju i, tak jak się tego spodziewałam, ogłasza: „Będiesz szczęśliwa, znalazłem ci idealnego męża, jest przystojny, bogaty i inteligentny”, po prostu nie zgadzam się, a jako uzasadnienie swojej decyzji wysuwam pierwszy pretekst, jaki przychodzi mi do głowy:

- Ma bliznę na nosie.

Blizna nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, ale uczępiam się jej, aby sprzeciwić się ojcu. Mówię „nie”, i to definitywnie. Ponieważ pyta mnie o zdanie, to je wyrażam. Ojciec musi to wziąć pod uwagę. Tak też się dzieje, a ja świętuję powrót do spokojnej codzienności.

Szczęśliwie dzielę moje dni między szkołę, gdzie nie bywam zbyt często, i liczne spotkania z koleżankami, za którymi przepadam. Tutaj tryskam humorem, kwitnę, jestem w swoim żywiole. Może nawet za bardzo. I dlatego pewnego dnia wpadam w pułapkę.

Podczas jednego z przyjęć zwracają na mnie uwagę dwie obce mi kobiety. Uznają, że jestem bardzo ładna, wesoła i radosna. Aż do tego momentu wszystko jest w porządku, na nic nie mogę narzekać. Tylko że one mają brata, który szuka żony...

Wymarzona kandydatka na żonę

Moja matka jest trochę zbita z tropu, kiedy dwie kobiety podchodzą do niej w czasie przyjęcia, bardzo grzecznie upewniają się, czy jestem jej córką, i prosto z mostu oświadczają, że byłabym dobrą żoną dla ich brata. Mama wysłuchuje, co mają do powiedzenia, i obiecuje, że przekaże wszystko ojcu. Przewornie nie wymienia naszego adresu i prosi mnie, abym podała kobietom numer telefonu, żeby ich brat Dżamal mógł zadzwonić i umówić się, jeśli zechce. Wyczuwam, że w całej sprawie chodzi o nowego kandydata na męża, a ponieważ mam dosyć tych wszystkich mężczyzn, podaję niewłaściwy numer.

Kiedy wychodzimy ze spotkania, mama potwierdza moje obawy, a ja przyznaję się do kłamstwa. Ona śmieje się z tego i wcale nie jest zła, ponieważ - jak jej powiedziałam - nie ma przecież tygodnia, żeby nie pojawił się przynajmniej jeden kandydat. Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica.

Nawet mój pilot powraca, ale wydaje się, że ojciec nie jest przychylny jego staraniom. Wyraźnie ma nadzieję na znalezienie kogoś

lepszego. Bardzo się pilnuję, żeby nie wyrazić swojej opinii, bo obecnie najbardziej mi zależy na zyskaniu na czasie. Tych kandydatów, które są odrzucane przez ojca, nie muszą się obawiać. Moi rodzice wyraźnie powiedzieli, że ostatnie słowo należy do mnie. To ja zdecyduję o swoim losie, o tym, kogo zaakceptuję, a kogo odrzucę spośród propozycji złożonych mi przez ojca. W tym względzie rodzice stosują się do zasad islamu, ponieważ wbrew temu, co ogólnie się uważa, hadis Proroka określa, że mężczyzna nie może pojąć za żonę kobiety, która nie wyraża na to zgody.

Niestety patriarchalna kultura często przeinacza ten tekst i trzeba przyznać, że w wielu rodzinach nie pyta się młodych dziewcząt o zdanie przy wydawaniu ich za mąż. Jest to godne pożałowania.

Ja korzystam ze szlachetnych intencji ojca, ale jednocześnie mam się na baczności. Nie do końca jestem przekonana, czy z taką łatwością zaakceptuje drugą odmowę z mojej strony. Wyobrażam sobie, że źle zniósłby konieczność oświadczenia mężczyźnie, którego dla mnie wybrał: „Przykro mi, ale nasza umowa musi zostać zerwana, ponieważ moja córka nie życzy sobie za pana wychodzić. Nic nie mogę na to poradzić, to ona decyduje”. Jestem przekonana, że odczułby to jako afront, obrazę, niedopuszczalny zamach na swój autorytet. Wydaje mi się, że moje zdanie nie będzie już miało takiego znaczenia. To oczywiste, że ojciec pozwoli mi wybrać, pod warunkiem że się z nim zgodzę. A ponieważ on może dokonać tylko dobrego wyboru, moja wolność wydaje mi się rzeczą względną i przeczuwam, że sytuacja stanie się trudna, jeśli ponownie odmówię.

Na razie konflikty się skończyły. Urozmaicam sobie życie systematycznym odrzucaniem kandydatów (dobrych czy złych), których wynajduje mi matka. Robię to tylko po to, żeby ją zdernerwować. Kiedy ona uważa, że któryś jest ładny, ja mówię, że brzydki; kiedy twierdzi, że inteligentny, ja dowodzę, że to głupek. Ta gra ją drażni, a im bardziej ona jest poirytowana, tym bardziej mnie to cieszy. Z moim ojcem sprawy mają się inaczej. W tym wypadku nie chodzi już o grę, ale o prawdziwe przeciwstawienie się. Nie wyobrażam sobie, jak mógłby wyglądać taki konflikt, konsekwencje sprzeciwienia się woli głowy rodziny pozostają wielką niewiadomą.

Jeszcze się nad tym zastanawiam, kiedy po sześciu miesiącach intensywnego poszukiwania mojego numeru telefonu Dżamal dzwoni do ojca. Powołuje się na rady i rekomendacje swoich siostr. Historia, która zaczyna się niczym komedia, bawi mnie. Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że ten chłopak jeszcze się pojawi. Wszystko to wydaje mi się nieprawdopodobne. Przy najmniej ten jeden raz jestem ciekawa, jak wygląda kandydat.

Wkrótce Dżamal pojawia się w naszym mieszkaniu i wtedy komedia zmienia się w farsę. Dyskretnie obserwuję przez okno, jak parkuje samochód przed naszym domem. Nagle, nie wiadomo skąd, w stronę auta biegnie nasz wielki czarny pies i zaczyna wściekle szczeleć. Pies nie jest groźny, ale naprawdę duży, wręcz imponujący. Umierający ze strachu pretendent do mojej ręki, który właśnie wysiadł z auta, znów do niego wskakuje i zatrząskuje za sobą drzwi. Potem, z nosem przyklejonym do szyby, obserwuje poczynania bestii, która biega dookoła samochodu i ujada. Mężczyzna jest kompletnie spanikowany.

Zdesperowany rozgląda się wokoło w poszukiwaniu pomocy która wcale nie nadchodzi. Dżamal cofa się gwałtownie za każdym razem, gdy pies podskakuje na wysokość jego twarzy i zarysowuje pazurami drzwi pięknego amerykańskiego samochodu, który z okazji wizyty został dokładnie wypucowany.

Dopiero parę minut później wychodzi z domu jeden z naszych pracowników, żeby schwytać psa i go przytrzymać. Młody człowiek ostrożnie wysiada z samochodu. Słyszę, jak kilka razy krzyczy do służącego:

- Ale trzyma pan psa? Na pewno? Wystarczająco mocno?

Wejście kandydata można uznać za udane! Mój domniemany przyszyły małżonek wprawdzie niezbyt dyskretnie się zaanonsował, ale za to mnie rozśmieszył, a to już coś. Kontynuuję obserwację z ukrycia, a matka prowadzi go do salonu, gdzie czeka na niego ojciec. Drzwi od pokoju, w którym znajdują się dwaj mężczyźni, zamykają się i nie dzieje się nic ciekawego. Taki przebieg sprawy mi się podoba. Przynajmniej się zabawiłam! Jestem rozczarowana, że ojciec mnie nie wzywa, jak to ma w zwyczaju, abym pod pretekstem podania soku dyskretnie się zaprezentowała. To nie jest dobry znak. Przeczuję, że coś jest nie tak, i jestem sfrustrowana, bo zostałam wykluczona z gry.

Po ponadgodzinnym spotkaniu ojciec odprowadza kandydata do drzwi. Pozwala mu wsiąść do samochodu, zanim poprosi mnie, abym stanęła z nim na progu domu, żeby Dżamal mógł na mnie popatrzeć z daleka.

Ton głosu, jakim ojciec odzywa się po odjeździe młodego człowieka, dowodzi, że wizyta nie doprowadziła do podjęcia ostatecznej decyzji. Jestem niezadowolona, ponieważ odczuwam

sympatię do tego mężczyzny chociaż nie wiem dlaczego. Co prawda jego przybycie było niefortunne, ale uważam, że on sam jest atrakcyjny. Wysoki, młody, o delikatnych rysach twarzy, czarnych oczach, w eleganckim stroju. Rodzi się we mnie bunt. Mam ochotę wyrazić swoje zdanie, ale nie znalazłam jeszcze zbyt wielu argumentów, aby się wypowiedzieć. Ojciec musi mieć poważne powody, skoro odprawia go z kwitkiem.

Niedługo czekam, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Ojciec wyjaśnia mamie, że chodzi o sprawy finansowe. Nie biorę udziału w rozmowie, ale nie chcę stracić ani słowa, dlatego stoję w kącie salonu i staram się być niewidzialna.

Dżamal jest wojskowym, oficerem marynarki. Jego jednostka stacjonuje w regionie Asz-Szarkijja, w porcie oddalonym o tysiąc czterysta kilometrów na wschód od Dżuddy. Nie widzę w tym problemu, nawet jeśli odległość i perspektywa mieszkania w małym mieście nieco mnie niepokoją. Ojciec też chyba nie dostrzega w przeprowadzce jakiejś większej przeszkody, co mnie wcale nie dziwi, bo to przecież nie on będzie musiał się tam przenieść.

Problemem jest tylko to, że ojciec Dżamala zmarł i teraz na nim jednym ciąży obowiązek utrzymania całej rodziny. To niepokoi tatę. Boi się, że takie obciążenie jest za duże - i to nie tylko pod względem materialnym - na młode barki pretendenta do mojej ręki.

Ze swojej strony uważam te obawy za trochę przesadzone. Nie rozumiem, dlaczego ten Dżamal nie byłby w stanie dobrze zarządzać rodzinnym majątkiem, a nawet go powiększać. Ale oczywiście nikt mnie nie pyta o zdanie.

Jednak tym razem wyrażę swoją opinię. Mam dosyć tego, że się za mnie decyduje. Skoro jestem wystarczająco dorosła do małżeństwa, powinnam mieć wpływ na moją przyszłość.

Na początek poruszam ten temat z matką, która potwierdza to, co już wiedziałam o całej sytuacji, i radzi mi, abym zawierzyła wyborowi ojca.

Wybór ojca! Wybór ojca! Zawsze wybór ojca! A ja mam dosyć tego wyboru ojca i zamierzam mu o tym powiedzieć. I to szybko!

Tego samego dnia, kiedy ojciec wraca z biura, czekam, aż się odświeży, a potem dołączam do niego w salonie i bez ogródek pytam, jakie są jego zamiary wobec Dżamala. Widzę, jak jego twarz zastyga w grymasie. Moje pytanie go szokuje, ale zaskoczony i zbity z tropu zaraz odpowiada:

- Nie będzie dalszego ciągu. Ten chłopak nie jest dla ciebie odpowiedni.

- A mnie się podoba. Nie widzę powodów, dla których nie miałabym go poślubić.

Mówię głośno i stanowczo, jasno daję do zrozumienia, o co mi chodzi. Ojciec blednie i brakuje mu tchu, ale chce zakończyć dyskusję, więc rzuca:

- To ja tu decyduję! Nie mieszaj się do tego!

- Chodzi przecież o mojego przyszłego męża, więc chyba mam prawo się wypowiedzieć.

Mówimy coraz głośniej, ale ja nie ustępuję nawet o krok i im bardziej tata obstaje przy swoim, tym bardziej się upieram. Podczas sprzeczki zdaję sobie sprawę, że nie chodzi tu o nagłe i nieokiełznane uczucie do Dżamala, ale o niesłychaną satysfakcję,

jaka daje stawienie czoła ojcu. Nie jest to dla mnie nowe odczucie, ale w tym momencie nabiera szczególnej siły. Wiem, że matka nigdy nie odważyłaby się tak postąpić. Przygląda się temu z boku i wyobrażam sobie, że obawia się strasznej kary, jaka może mnie spotkać. Tymczasem nie spadają na mnie żadne okropne represje. Ojciec kładzie kres kłótni, jednak każde z nas pozostaje przy swoim zdaniu.

W następnych tygodniach po tym słownym starciu stosunki między mną a ojcem są trochę napięte. Nawzajem unikamy drażliwego tematu, aż do momentu, gdy Dżamal znów się pojawia.

Dzwoni do ojca, aby mu oznajmić, że został przeniesiony i teraz stacjonuje w Dżuddzie. Dżamal widzi w tym szczęśliwy zbieg okoliczności, który potwierdza jego wybór i przybliża go do mnie. Tak więc z jeszcze większym zaangażowaniem ubiega się o moją rękę. Ojciec po prostu nie zgadza się na spotkanie i jeszcze raz powtarza przyczyny swojej decyzji. Dżamal mimo wszystko nie rezygnuje. Nie daje za wygraną. Nie wiem, co siostry mu o mnie naopowiadały, ale musiały być bardzo przekonujące, skoro ten wojskowy zarządza taką mobilizację i aby osiągnąć cel, angażuje całą rodzinę do walki o uzyskanie zgody taty.

Jedna z jego siostr, ta najstarsza, jak dotąd jeszcze nam nieznaną, kontaktuje się z moją matką, aby wznowić negocjacje. Chciałaby, aby jej mąż mógł przyjść porozmawiać z ojcem. Mama pośredniczy w tej sprawie. Stara się przekonać ojca, by przystał na spotkanie, które przecież do niczego go nie zobowiązuje. W końcu ojciec, wbrew sobie, ugina się pod

naciskiem, ale ustalonego dnia próbuje pewnego niezbyt szlachetnego manewru, aby się wykręcić. Wykorzystuje to, że matka zasnęła na kilka minut przed uzgodnioną godziną spotkania, by wykraść się z domu. Kiedy przybywa umówiony mężczyzna, matka nie może się sensownie wytłumaczyć, więc tylko stwierdza nieobecność ojca i przeprasza. Prosi gościa, żeby poczekał w salonie.

Obserwuję go przez uchylone drzwi, jak to mam w zwyczaju. Nie wydaje się zniechęcony takim obrotem sprawy i robi wrażenie osoby zdecydowanej cierpliwie czekać na rozmowę.

Siedzi trzy godziny, pije herbatę za herbatą, którą matka regularnie podaje, i zaklina się przy tym, że tego typu zachowanie nie leży w zwyczaju jej męża, więc musiało się wydarzyć coś bardzo ważnego, co go zatrzymało. Dobrze wychowany mężczyzna nie tylko robi odpowiednią minę, ale nawet wyraża zaniepokojenie przyczyną tego nagłego wypadku.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. Byłoby mi naprawdę bardzo przykro, gdyby stało się coś złego.

Matka serdecznie mu dziękuje za troskę. Doskonale zdaje sobie sprawę, że ojciec pije teraz herbatę w jednej z okolicznych herbaciarni lub u któregoś ze znajomych.

Kiedy w końcu tata wraca, widzę, jak tężeje mu twarz na wieść o tym, że gość ciągle tu jest. Tym razem nie może już dłużej zwlekać i musi się zgodzić na spotkanie. Widać, że jest wściekły. Ja z kolei chowam się w kącie, aby usłyszeć wszystko, co zostanie powiedziane.

Po zwyczajowym przedstawieniu się mężczyzna zabiera głos. Opisuje swoją sytuację rodzinną i finansową, następnie

zapewnia ojca, że może ręczyć za swojego szwagra. A w przypadku, gdyby ten nie był w stanie łożyć na swoją rodzinę, on przejmie jego obowiązki. Aby przekonać rozmówcę, gość opowiada o swoim majątku, zajęciach i źródłach przychodu z tak pedantyczną dokładnością, jakby przyszedł pożyczać pieniądze, a nie prosić o żonę dla szwagra.

Ojciec słucha, ale nie wydaje się, aby go to w ogóle interesowało. Czuję, że ma ochotę to wszystko zakończyć. Zresztą szybko ucina rozmowę i nie wykazuje żadnego entuzjazmu, kiedy odprowadza szwagra Dżamala do drzwi.

- Pomyślę. Dam panu znać, kiedy podejmę decyzję.

Dla mnie jest oczywiste, że już ją podjął i jest negatywna.

Kiedy gość wychodzi, ojciec wybucha. Brutalnie wypomina matce to niepotrzebne spotkanie, daje jej do zrozumienia, że nie chce więcej o tym słyszeć. Będzie rozczarowany, ponieważ zbliża się następny odcinek tej historii. Do akcji wkracza wuj Farid, który zamierza pomóc Dżamalowi.

Już od jakiegoś czasu matka na bieżąco opowiadała Faridowi o całej sytuacji i wuj nie rozumie uporu ojca. Na wieść o definitywnej odmowie taty decyduje się przystąpić do działania i pewnego wieczoru zjawia się w domu, aby jasno wyłożyć bratu, co myśli o jego sposobie postępowania.

Dwaj mężczyźni zamykają się w pokoju. Później dowiem się, że wyjaśnienia były burzliwe. Farid zdecydowanie wypomina ojcu jego zachowanie, które ocenia jako haniebne i niesprawiedliwe w stosunku do młodego człowieka. Sam uważa, że Dżamal, który objął pieczę nad swoją rodziną, wykazał się odpowiedzialnością i odwagą, za co należy mu się uznanie, a nie

potępienie. A upór, z jakim zabiega o to małżeństwo, dowodzi, że mu na mnie zależy. Argument mojego wuja jest całkiem rozsądny. Jednak ojciec niezupełnie tak samo jak Farid wyobraża sobie moje szczęście. Mimo wszystko rozmowa z wujem przynosi skutek i trochę zawstydza tatę. Tak oto zostało nadszarpnięte jego poczucie nieomyślności.

Przez kilka dni ojciec nie daje po sobie nic poznać, aż w końcu pewnego wieczoru zwierza się matce, że może w ostateczności ten związek nie będzie taki zły. Jestem w odpowiednim wieku do zamążpójścia, więc dlaczego nie Dżamal?!

Następnego dnia, już *tak pro forma*, ojciec pyta mnie o zdanie. Jestem w pułapce. Trudno powiedzieć „nie” małżeństwu, którego od dłuższego czasu się domagałam. W ten oto sposób wchodzę w rolę przyszłej żony zaledwie w wieku szesnastu lat, kiedy jeszcze codziennie spędzam kilka godzin w liceum.

Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że to już nie jest gra.

Aż do tej pory małżeństwo było dla mnie czymś abstrakcyjnym, nierzeczywistym, raczej pretekstem do kłótni z ojcem zawiadującym moim życiem niż czymś konkretnym. Dużo mówiłam o zamążpójściu, ale nie spodziewałam się, że ono nadejdzie. Było trochę tak jak z wymaginowanymi walkami obmyślanymi w oczekiwaniu na przeciwnika, który nigdy się nie zjawia. Teraz już się nie bawimy, małżeństwo się przybliży. Nie jestem w stanie uwierzyć, że wejść w związek z mężczyzną na całe życie. Z człowiekiem, którego nie znam. On będzie ojcem moich dzieci, a ja widziałam go zaledwie chwilę, kiedy wyglądałam zza drzwi. Czy będzie miły, delikatny, uważny,

ujmujący, czy zły, gwałtowny i agresywny? Tego nie wiem, ale to nie bardzo mi przeszkadza.

Wiem, że to może wydawać się dziwne. Reaguję zgodnie z moją kulturą i religią. Jestem bardzo wierząca, uważam, że Bóg za mnie decyduje. A ja mu ufam. W razie niepowodzenia będę mogła mieć pretensje tylko do siebie i spróbuję się poprawić, całkowicie poświęcić mężowi, którego Allah mi wyznał. Dla mnie mąż jest jak jeden z tych melonów, które kupuje się na targu - z zewnątrz wszystkie są podobne, ale ten, który wybierzemy, zostanie otwarty i dopiero wtedy się przekonamy, czy jest smaczny. Dżamał chce mnie pojąć za żonę - no więc niech mnie dostanie i bądźmy dobrej myśli, co przyniesie przyszłość.

Historie miłosne są źle widziane w Arabii. Słowo „miłość” jest zakazane, nie wolno go wypowiadać, nie należy mówić o uczuciach ani ich wspominać. To byłoby nieprzyzwoite i niemoralne. Nawet jeśli słyszało się u nas o zachodnim zwyczaju obchodzenia walentynki i wiemy, że to święto zakochanych, to nie ma mowy, żeby je tu celebrować. Tymczasem właśnie 14 lutego w całej Arabii sprzedawane są czerwone róże, ponieważ zwyczaj nakazuje, aby w tym dniu uczennice szkół dla dziewcząt ofiarowały kwiat swojej nauczycielce.

Skoro zostałam wychowana w takiej tradycji, to czy mogłabym pomyśleć o miłości na wieść o tym, że wyjdę za mąż? Miłość nie jest częścią mojej kultury. To uczucie, którego nie znam. Nie może zresztą być inaczej - my, dziewczęta, rzadko mamy styczność z chłopcami, brakuje więc okoliczności, w których mogłoby się w nas obudzić jakieś uczucie.

Nic więc dziwnego, że taki zaplanowany przez rodziców związek całkowicie mi odpowiada.

* * *

Gdy Dżamal się dowiaduje, że mój ojciec nagle zmienił zdanie, szaleje z radości. Od tego momentu jego rodzina nie przestaje myśleć o różnego rodzaju uroczystościach. Moja zresztą też.

Na początku ojciec postanawia, że zaręczyny zostaną zorganizowane w naszym mieszkaniu. Dla nas, muzułmanów, zaręczyny są ważnym wydarzeniem, ponieważ odbywają się w obecności sędziego, który ustala treść kontraktu małżeńskiego, sprawdza posag i składa go w depozyt. Przy tej okazji dopracowuje się kwestie prawne i materialne związku. Są to bardzo poważne sprawy, pierwszorzędne dla obu rodzin. Jednakże nie udaje mi się uniknąć spóźnienia na to doniosłe spotkanie. Ojciec nie kryje wściekłości! Jestem niepoprawna, musiałam się chyba urodzić po to, żeby łamać zasady i sprzeciwiać się tacie. Przyśięgam jednak, że nie zrobiłam tego specjalnie, to wina fryzjerki, która się guzdrała i traciła czas na kręcenie loków. Niezależnie od tego, zanim dobiegłam do domu, ojciec już zdążył mnie przekląć.

Przybywa sędzia. Wszyscy na mnie czekają. Mój narzeczony kładzie srebrną skrzyneczkę na stole, jak nakazuje tradycja. W środku znajduje się sura Koranu, bransoletka i złoty naszyjnik oraz koleczyki z diamentami i zwyczajowe prezenty - dwie srebrne monety, symbolizujące związek, perfumy, cukier lodowy i kardamon. Wszystkie prezenty, zawinięte w srebrny papier, nawiązują do dawnych czasów, kiedy rodzina małżonka przynosiła zaopatrzenie i jedzenie dla młodej pary.

Wszystko jest jak należy. Ojciec w końcu wydaje się zadowolony z obrotu sprawy. Gdy złość mu minęła, po dopełnieniu wszelkich formalności, zwraca się do mnie w sposób, który można by nawet nazwać czułym.

- Teraz należy pomyśleć o ślubie. Zorganizuję uroczystość w eleganckim hotelu. Chciałbym, żeby to było przepiękne święto, o którym będziesz długo pamiętała.

Pierwszy ślub

Minęły trzy miesiące od zaręczyn z Dżamalem do ślubu. Trzy miesiące szaleństwa. Wciągnięta w ten kołowrót codziennie biegam z miejsca na miejsce, aby przygotować uroczystość i zorganizować moje przyszłe życie. Spędzam długie godziny na wybieraniu sukienki ślubnej, a potem robię poprawki, które uznaję za absolutnie konieczne. Za nic w świecie matka nie opuściłaby ani jednego przymierzania sukni. Bardzo cenne okazały się jej zdolności krawieckie i dobry gust. Wspólna troska o perfekcję doprowadza nas do tego, że godzinami siedzimy przed lustrem i poprawiamy plisy czy prostujemy welon. Zabiera nam to wiele czasu, ale wcale tego nie żałuję, ponieważ moja biała suknia jest wspaniała. Nie mogę się napatrzeć na długi tren, który łagodnymi fałdami opada na dywan w moim pokoju.

Ojciec życzył sobie pięknego ślubu i wydaje mi się, że ten taki będzie, nawet jeśli staram się wyrzucić utrwalony tradycją porządek. W Arabii rytuały związane ze ślubem zmieniają

się w zależności od miasta. Każde ma swoje zwyczaje i przede wszystkim młodzi postępują zgodnie z nimi. Jednakże moje dziecięce wspomnienia z Mekki są zbyt silne, a mnie wciąż jest bliski kamienny dom dziadka, w którym dorastałam, dlatego koniecznie chcę wyjść za mąż wedle tamtejszych zwyczajów. Ojciec początkowo sprzeciwia się temu w obawie przed reakcją dostojników z Dżuddy. Potem wyraża zgodę, ponieważ sam tęskni za naszym starym domem rodzinnym, tkwiącym w samym sercu Świętego Miasta. Kiedy rozstrzygamy tę sporną kwestię, ojciec zabiera się za organizację przyjęcia weselnego w eleganckim hotelu. Muszę przyznać, że dobrze się spisał.

* * *

Gdy przybywają zaproszeni goście, po raz ostatni sprawdzam, czy wszystko jest na swoim miejscu. Mężczyźni zostaną ugoszczeni w przestronnej sali na ostatnim piętrze hotelu, kobiety usadowią się na dworze, na tarasie budynku. Wesele czy nie wesele - przedstawiciele obu płci bawią się oddzielnie! Ściany są udekorowane grubymi dywanami, puszystymi i kolorowymi. Wszędzie stoją ładne, misternie przybrane stoły. Na każdym znajdują się kwiaty. Ojciec zamówił setki małych, kryształowych skrzynek w kształcie ciastek, do których włożono orientalne słodkości. Stoją na wszystkich stolikach. Pomysł jest oryginalny i wywołuje świetne wrażenie. Napawam się pięknem dekoracji, a z tarasu, na którym zespół sześciu muzyków dostraja instrumenty, dobiegają pierwsze akordy. Ojciec również kończy inspekcję, a potem podchodzi do mnie, żeby się ostatni raz pożegnać. Za kilka godzin jego córka Ranią

nie będzie już do niego należała, zostanie żoną i w ramionach męża opuści ten hotel. W oczekiwaniu na ten moment dołączam do przyjaciółek na tarasie.

Wiele z nich tłoczy się już przy bufecie. Kiedy tylko się pojawia, wszystkie biegną w moją stronę, żeby mi gratulować. Zapewniają, że jestem śliczna i wyglądam na o wiele starszą niż szesnaście lat. Chętnie im wierzę. To samo mówili wszyscy mężczyźni, którzy przed Dżamalem ubiegali się o moją rękę. Poddaję się komplementom, pławię się w chwilowym szczęściu.

W Arabii wszelkie uroczystości zaczynają się wraz z zapadnięciem zmroku, kiedy upał dnia ustępuje łagodnej temperaturze nocy. Zagubiona w ostatnich snach małej dziewczynki podziwiam Dżuddę, która za sprawą zapadającego zmroku powoli niknie w dole. Obsługa przynosi pierwsze dania na srebrnych półmiskach i stawia je na imponującym bufecie. W kilka minut w czterech rogach tarasu i na piętrze, na którym bawią się mężczyźni, wyrastają piramidy przysmaków. Czekam na męża w korytarzu, gdzie niedługo do mnie dołącza. On również, tak jak ja, jest cały ubrany na biało. Bierze mnie pod rękę i, krocząc po grubym dywanie, kierujemy się w stronę pokrytej welurem kanapy, aby zrobić sobie tradycyjne zdjęcie. Około dwadzieścioro druzhen i družbów siada u naszych stóp, aby asystować przy robieniu zdjęć, które upamiętniają nasz związek, po czym każdy oddala się w swoją stronę przy dźwiękach tradycyjnej muzyki orientalnej.

Uroczystość trwa całą noc. Pełny sukces. Rozkoszujemy się delikatnym pieczonym drobiem, soczystymi owocami, ciastkami oblanymi lukrem i karmelem. Tańczymy do nieprzytomności.

Szalony wieczór - taki, o jakim marzyłam. O świcie w towarzystwie ojca dołączam do męża. Dżamal czeka na mnie w eleganckiej amerykańskiej limuzynie zaparkowanej przed hotelem. Za kierownicą siedzi szofer w białych rękawiczkach. Przed wejściem do samochodu ostatni raz odwracam się w stronę gości zgromadzonych na chodniku, żeby do nich pomachać. Potem limuzyna odjeżdża.

Teraz kolej na część intymną. Jako muzulmance nie wypada mi nic więcej powiedzieć i nie chcę się dzielić tymi przeżyciami. Byłoby to całkowicie niewłaściwe i niezgodne z naszymi zasadami.

Po nocy poślubnej mąż i ja wprowadzamy się do czteropokojowego mieszkania, które matka pomogła mi urządzić w rodzinnym domu Dżamala.

* * *

Nasze mieszkanie nie leży zbyt daleko od domu moich rodziców. Nadal będę bardzo często odwiedzać rodzinę. Jednocześnie mam stąd blisko do liceum - to bardzo wygodne, ponieważ teraz, po zakończeniu wszelkich uroczystości, trzeba wrócić do życia codziennego. Przed Bogiem i ludźmi jestem mężatką, ale jednocześnie wciąż pozostaję licealistką. Zmiana stanu cywilnego nie powinna zakłócić mojej nauki - wszyscy są co do tego zgodni, w tym również mój mąż, który zachęca mnie do kontynuowania tej drogi. Trzeba jednak przyznać, że niełatwo sprostać podwójnym obowiązkom. Dziwnie jest w ciągu dnia oddawać nauczycielce pracę domową lub ewentualnie być przez nią napominaną, a potem, po wyjściu ze szkoły, przejmować

wszystkie obowiązki kobiety zamężnej - czyli znaleźć się w tej samej roli co nauczycielka po pracy.

Często przychodzi mi na myśl, że mogłabym spotkać jedną z nich w jakimś sklepie czy supermarkecie podczas zakupów. Co za niezręczna sytuacja! O czym byśmy rozmawiały?

- Ach, Ranią, co przygotujesz na kolację swojemu mężowi?

- Kurczaka z cukinią.

- Bardzo dobrze, ale pamiętaj, że przed jedzeniem musisz jeszcze powtórzyć geografię. Nie masz najlepszych stopni...

- Wiem, proszę pani, wiem, ale w domu jest tyle pracy. Muszę ją wykonać, żeby mój mąż dobrze się czuł.

- Nawet o tym nie mów, mój też jest taki absorbujący...

Wyobrażanie sobie tego typu surrealistycznych konwersacji nie zawsze mnie śmieszy. Wiem, że gdyby naprawdę doszło do takiego spotkania, czułabym się bardzo niezręcznie. Byłoby to odzwierciedlenie narastającego we mnie złego nastroju i wewnętrznego rozdarcia. Nigdzie nie czuję się na swoim miejscu, ani w liceum, ani w domu; ani pośród koleżanek, ani też u boku męża, który jest zdystansowany i oziębły. W naszych relacjach brakuje ciepła i bliskości. Mam wrażenie, że jestem dla niego kimś obcym, co może dziwić, zwłaszcza że był tak zdeterminowany, żeby szybko mnie poślubić. Nie wiem, jaką przyjąć postawę. Czy robię coś nie tak? Niezadowolająco? Czego on ode mnie oczekuje? Nie udaje mi się tego określić, dlatego mnie to dręczy i nie pozwala mi się skoncentrować na szkolnych zajęciach.

Mój przypadek, chociaż w Arabii niejednostkowy, jest jednocześnie wyjątkowy i dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Przede

wszystkim jestem jedyną zamężną uczennicą w liceum w Dźudzie. W małych miasteczkach lub na wsi żony w moim wieku nie należą do rzadkości, ale one borykają się z innymi problemami. Ich status i środowisko wcale nie zmieniają się po ślubie. Zajmują się takimi samymi pracami domowymi, a często nawet nadal mieszkają u swoich rodziców, tylko że dołącza tam ich małżonek. Na wsi żyje się we wspólnocie, przy otwartych drzwiach. Przestrzenie życiowe jednych i drugich łączą się, a po ślubie dziewczyna od razu odnajduje się w nowej sytuacji. Formalnie nie jest już czyjąś córką, ale staje się czyjąś żoną - i to wszystko, bo ona nadal żyje tak jak przedtem. Zmiana w jej życiu dokonuje się łagodnie. Dziewczyna bez zerwania ciągłości rozwija się z nastolatki w kobietę, a potem matkę. Nie dotyczą jej również kłopoty ze szkołą, ponieważ - i to przykro przyznać - posyłanie dziewcząt do szkół jest na wsiach wciąż rzadkim zjawiskiem.

Dziewczynki mieszkające w miastach chodzenie do liceum zatrzymuje w świecie dzieciństwa, w kręgu nauki i w relacjach rodzice-dzieci, nauczyciele-uczniowie. Tak się dzieje, bez względu na to, czy tego chcemy, czy też nie. Tymczasem ode mnie po ślubie wymaga się jednego i drugiego, bycia i dzieckiem, i dorosłym, dlatego sama już nie wiem, kim jestem. Nie umiem się w tym wszystkim odnaleźć.

W klasie nie rozmawiam o moim mężu. Staram się zapomnieć o swojej sytuacji rodzinnej, aby uniknąć niewygodnych pytań i nie stać się obiektem plotek. Zamykam się w sobie, nie zwierzam się nikomu, co jest całkowicie sprzeczne z moim charakterem. Dlatego czuję się coraz gorzej, przez co złorzeczę

rodzicom i mężowi, że skazali mnie na to występowanie w podwójnej roli i swoiste rozdwojenie jaźni.

Bardzo się staram, ale nie jestem w stanie sprostać wymogom życia małżeńskiego. Mój mąż jest miły, ale pozostaje dla mnie tylko mężczyzną, który zdobył prawo i możliwość dotykania mnie. Każdego ranka, kiedy ubrany w mundur khaki wychodzi z domu do biura marynarki wojennej, gdzie pracuje, siłą się na uśmiech, ale bez zbytniego zaangażowania. Jest nawet znacznie gorzej - odczuwam ulgę, kiedy widzę, jak mąż się oddala. W tym momencie pragnęłabym móc odnaleźć moją beztroską nastolatkę, chodzić na spotkania, bawić się, tańczyć, ale zamiast tego muszę zawlec moje smutki do liceum i odnaleźć się w otoczeniu, które również nie napawa mnie optymizmem. Co gorsza, moi rodzice wciąż nalegają na to, żebym została lekarką, i jak zwykle nie zastanawiają się, czy mi się to podoba. Lubię przedmioty humanistyczne i artystyczne, co oddala mnie od studiów medycznych. Jak jednak wytłumaczyć to rodzicom? Jak wyjaśnić bez skazywania się na miano wiecznej buntowniczkii? A przecież powinnam być wdzięczna rodzicom i mężowi, że zezwolili mi dalej się uczyć. Cóż, czuję się osaczona, krąg wokół mnie coraz bardziej się zacieśnia.

* * *

Gdy zmagam się z problemami, z którymi nie umiem sobie poradzić, wydarza się coś, o czym wiedziałam, że jest nieuniknione. I to tylko przysparza mi jeszcze więcej kłopotów. Lekarka potwierdza, że jestem w ciąży. W Arabii można znaleźć środki antykoncepcyjne, ale możliwości korzystania z nich są bardzo

ograniczone, a już nie do pomyślenia jest stosowanie ich przed urodzeniem pierwszego dziecka. Byłoby to sprzeczne z naszą prorożyną kulturą. Tak więc mam urodzić swojemu mężowi pierwsze dziecko. Tymczasem, biorąc pod uwagę całą sytuację, wiadomość o ciąży mnie nie cieszy, ale ją akceptuję. Za to bardzo zaskakuje mnie reakcja Dżamala, który również nie wykazał entuzjazmu na wieść o tym, że pierwszy raz w życiu zostanie ojcem. Dżamal z reguły nie jest wylewny, ale myślałam, że bardziej się ucieszy. A on mówi mi tylko, że to bardzo dobra wiadomość, że jest bardzo szczęśliwy i ma nadzieję, że jestem zadowolona i wszystko będzie dobrze. To miłe z jego strony, ale spodziewałam się czegoś więcej. Trzymam się więc ściśle mojego powołania do bycia przykładną muzułmańską żoną - zamierzam w skrytości oczekiwać mojego dziecka. Tyle że wciąż będę musiała chodzić do szkoły, a wydaje się, że nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

W pierwszych miesiącach udaje mi się ukrywać ciążę pod obszerną tradycyjną czarną szatą. Pewnie można ubierać się bardziej elegancko, ale akurat teraz to mi odpowiada. Na rzadko stawiane pytania najbardziej ciekawskich dziewcząt wymijająco odpowiadam, że rodzina życzy sobie, żebym się tak ubierała.

Na kilka tygodni przed porodem decyduję, że nie będę już chodzić do szkoły. Uprzedzam dyrektorkę liceum, podaję prawdziwy powód mojej nieobecności i proszę o zachowanie dyskrecji, do czego ona się stosuje. Nie wstydzę się swojej sytuacji, ale nie chcę stać się obiektem plotek.

Mam zaledwie osiemnaście lat, kiedy rodzę córkę Rahaf. To wzruszające wydarzenie pozwala mi zapomnieć o wszystkich

zmartwieniach. Przez parę tygodni jestem zachwycona maleństwem, które wypełnia mi całe dni i odwraca uwagę od moich utrapień. Kiedy przychodzi moment powrotu do liceum, cudowna Rahaf staje się kolejnym problemem, z którym muszę się samotnie zmagać. Dżamal kocha córeczkę, ale zaabsorbowany pracą zawodową nie może poświęcać małej czasu. Muszę sama zajmować się dzieckiem, wychowywać je, radzić sobie z dostarczaniem go do babci, kiedy sama idę do szkoły, a potem karmić je, myć, kłaść spać, tulić... Moje życie kręci się wokół liceum, zakupów i kuchni. W wieku osiemnastu lat trudno temu sprostać. Bardzo szybko znów tracę zapał. Robię wszystko, co trzeba, ale kosztuje mnie to coraz więcej wysiłku. Wypalam się.

Dżamal dobrze wie, że jestem smutna i się nudzę. Po jakimś czasie ten nastrój udziela się również jemu i on także zamyka się w sobie, pograża się w coraz bardziej znaczącej ciszy. Dowiaduję się, że trapi go i wdiera się w nasz związek jakaś dawna historia miłosna. Jego rodzina miała nadzieję, że małżeństwo wyciągnie go z depresji, ale tak się nie stało. Spędzamy wspólnie smętne wieczory przed telewizorem. Co piątek Dżamal zmusza mnie, żebym towarzyszyła mu z dzieckiem podczas wizyt u jego rodziny. Są to dla niego jedyne chwile odprężenia i przyjemności. Dla mnie z kolei to odrabianie pańszczyzny, ale jako dobra muzułmanka idę za mężem bez słowa sprzeciwu.

Członkowie rodziny męża zauważają mój smutek. Siostry Dżamala, które kiedyś wychwalały mnie pod niebiosa, teraz mnie nie poznają. Jestem nieobecna i zmęczona, wyglądam tak źle, że zaczynają nawet pytać o stan mojego zdrowia. Zapewniam je, że wszystko jest w porządku, ale jednocześnie denerwuję

się, że uchodzę za melancholiczkę. Drażni mnie, że nie mogę im powiedzieć prawdy: „Nudzę się, to wszystko, zanudzam się na śmierć. Wasz brat mnie nudzi, liceum mnie nudzi, wszystko mnie nudzi!”.

Chciałabym to wszystkim wykrzyczeć, wyrzucić z siebie, to przyniosłoby mi ulgę, ale, niestety, to nie uchodzi. Kobieta muzułmańska musi być posłuszna swojemu mężowi. Chcę podporządkować się tej zasadzie, którą wyznaję, nawet jeśli będzie mnie to drogo kosztowało. Bóg tak chciał, muszę być cierpliwa. Dramat polega na tym, że nie jestem w stanie przełożyć tych reguł na życie codzienne. Nie jestem niemiła w stosunku do męża, ale też nie jestem miła - mam tego świadomość, nawet jeśli zaprzeczam, gdy mąż mi to wypomina.

Bardzo chcę, by choć odrobina radości rozświetlała moje życie, dlatego proszę Dżamala, aby kupił mi kasyety magneto-fonowe. Dużo kaset. On nie bardzo lubi muzykę, zwłaszcza taką, jaką ja preferuję, jednak zgadza się. Uciekam więc w świat muzyki, śledzę nowości, tak jak to było w dzieciństwie, kiedy w ukryciu słuchałam radia Monte Carlo.

Nierzadko po powrocie z pracy mąż przyłapuje mnie na tym, że tańczę jak oszalała przed lustrem. Nie podoba mu się to, wścieka się i rzuca:

- Naprawdę nie masz nic innego do roboty?

Nie, nie mam, wszystko inne, poza moją córką, doprowadza mnie do szału. W końcu powstrzymuję się przed powiedzeniem mu tego. Posłuszna i potulna wyłączam muzykę.

* * *

Żyjemy ze sobą bez zmian przez kilka kolejnych miesięcy, aż do momentu, gdy pewnego wieczoru delektuję się muzyką, tym razem ze słuchawkami w uszach, a Dżamal długo na mnie patrzy i nic nie mówi. Nie robi mi żadnej uwagi, bierze gazetę i siada w fotelu. Ten ostentacyjny spokój jest nie-normalny. Wyłączam dźwięk, zdejmuję słuchawki i siadam naprzeciwko niego.

Uchyła gazetę i wpatruje się we mnie.

- Wracaj do swoich rodziców, później po ciebie przyjadę.

Czuję się jak uderzona obuchem. Boję się, że to zwiastuje rozwód. Nie mogę wymówić ani słowa, siedzę z otwartymi ustami i łapię powietrze. Przecież taki pomysł powinien mnie zadowolić, ulżyć mi. Znowu będę wolna, zapomnę o ograniczeniach, jakie nakłada małżeństwo. Dżamal zwraca mi wolność, a tymczasem nagle to mi już nie odpowiada.

To może wydawać się paradoksalne, ale już dawno temu przewidziałam taką przemianę moich odczuć i zachowań, to przejście od radości do wstydu, ponieważ problem leży głęboko we mnie. W głowie mam mętlik.

Oczywiste jest, że perspektywa stania się na powrót beztro-ską dziewczyną mnie cieszy. Ale będę musiała się tłumaczyć, usprawiedliwiać przed wszystkimi. Kobieta rozwiedziona, w dodatku z dzieckiem, jest czarną owcą. Sprawa wygląda poważnie. Z Dżamalem byłam nieszczęśliwa, ale powinnam to zaakceptować. Teraz mąż wypędza mnie i jednocześnie potępia. Ogłasza wszystkim, że jestem złą żoną, wyrzuca mnie na margines społeczeństwa. Co się ze mną stanie? Jak wytłumaczę ojcu to niepowodzenie? On przecież wbrew sobie,

pod przymusem, zgodził się na małżeństwo z Dżamalem. Zerwanie będzie dowodem, że miał rację, upewni go w jego przekonaniach, ale nie przyniesie satysfakcji. Rozpali tylko jego żal i wściekłość, że dał się wmanewrować, zamiast upierać się przy swojej decyzji. A to w końcu doprowadziło do tego, że teraz, na oczach wszystkich, będzie musiał przyjąć do domu córkę odrzuconą przez męża.

Wszystkie te myśli kłębią mi się w głowie, gdy milcząco Dżamal ponownie oddaje się lekturze gazety, lewą ręką skubiąc koniec swojej brody. Wydaje się zaskoczony, kiedy w końcu łamiącym głosem pytam go:

- Ale dlaczego?

Unosi wzrok i tłumaczy bez podnoszenia głosu.

- Bo mam dosyć życia z żoną-dzieckiem, lekkomyślną i niedojrzałą dziewczyną. Nie jesteś dorosła. Mam wrażenie, jakbym żył z młodszą siostrą, a nie z żoną i matką mojej córki. Tak już masz charakter i wpływ czasu tego nie zmieni. Dlatego lepiej jest teraz dać sobie spokój, zanim będzie za późno.

Krytyka jest trudna do zniesienia, ale po części prawdziwa, nawet jeśli z trudem przyjmuję wiadomość o niedojrzałości, nawet jeśli mam ochotę przypomnieć mu, że to nie ja prosiłam, żeby starał się o mnie, i że przecież to on desperacko chciał zdobyć pozwolenie mojego ojca na ślub. Oczywiście jest, że mężczyzna proszący o rękę młodej dziewczyny, którą widział tylko przelotnie, podejmuje ogromne ryzyko. To spora niedogodność naszej tradycji. Dżamal w ogóle mnie nie znał, kiedy za wszelką cenę chciał mnie zdobyć. Mógł się jednak zastanowić, a wtedy może zdałby sobie sprawę z tego, że jestem jeszcze dzieckiem.

Tyle że jego siostry naopowiadały mu, że to dziecko jest urocze, wesołe i stanowi okazję, której nie wolno przepuścić.

Ja niczego nie negocjowałam. W moim dzisiejszym zachowaniu widzę raczej odbicie frustracji, wołania o pomoc, poszukiwania radości życia, próbę odrzucenia czegoś, co mi przeszkadza, uciska mnie, ale w tym momencie nie mam ochoty się bronić ani usprawiedliwiać. Wiem, że to nic by nie dało. Dlatego zadaję typowe w takiej sytuacji pytanie, na które znam odpowiedź:

- Dobrze to przemyślałeś?

Słowa, których się spodziewałam, padają szybko jak grom z jasnego nieba.

- Dobrze to przemyślałem. I nie zmienię zdania. Wracaj do siebie. Później ureguluję tę kwestię z twoim ojcem.

Wyrzucona. Jestem wyrzucona - mówiąc bez ogródek. Pozostaje mi tylko się spakować. Dżamal nie daje mi nawet czasu na zorganizowanie wyprowadzki. Chcę zadać kolejne pytanie, ale zanim to robię, Dżamal dodaje:

- Pakuj walizki, i to natychmiast. Jak tylko będziesz gotowa, zawiozę cię do twoich rodziców.

Nagle myślę o naszej córce.

- A Rahaf?

- Zabieraj ją ze sobą. Później zadecyduję, co z nią zrobić. No już! Do roboty!

Po tych słowach Dżamal wychodzi.

Kiedy zostaję sama, przez dłuższy czas wpatruję się w telefon, a potem dzwonię do mamy. Nie wiem, jak jej opisać sytuację. Tymczasem muszę to zrobić szybko, ponieważ Dżamal czeka, aż się spakuję. Powoli podnoszę słuchawkę.

Matka w ciszy wysłuchuje mojego opowiadania. Jej reakcja mnie zaskakuje i dodaje sił. Spodziewałam się wymówek, a słyszę, że mama cieszy się z mojego powrotu do rodzinnego domu i mi współczuje.

- Córeczko, przyjeżdżaj szybko. Wszystko jakoś się ułoży, nie jest tak źle. Uprzedzę ojca i przygotuję pokój dla ciebie i Rahaf - zapewnia.

Matka przyjaciółką

Dżamał nie odzywa się ani słowem, kiedy odwozi mnie do rodziców. Skupia się na prowadzeniu samochodu i unika patrzenia na mnie. Jedyne Rahaf swoim gaworzeniem zakłóca ciszę. Jest za mała, żeby zrozumieć, co się dzieje. Powiedziałam jej po prostu, że jedziemy spędzić kilka dni u babci, i wydaje się, że to jej się podoba. Biedne maleństwo. Gdyby tylko wiedziała, jak wielkiej zmianie ulegnie nasze życie... Mam tego świadomość, ponieważ się nie oszukuję. Przeczuję, że to wydarzenie zapowiada kolejne, jeszcze poważniejsze. Obawiam się najgorszego - ostatecznej separacji, i zadaję sobie pytanie: „Czy naprawdę jestem złą żoną, złą matką?”. Wyrzucona, upokorzona, zhańbiona - w takiej sytuacji się znalazłam i muszę ją bez słowa zaakceptować. Już nawet się nie buntuję. Teraz o wiele bardziej przejmuję się konsekwencjami niż przyczynami. Moje życie legło w gruzach. Jestem poniżona, nie ośmielę się już spojrzeć moim rodzicom w twarz. Młoda, dumna i zbuntowana dziewczyna, która uwielbiała stawiać czoła swojemu ojcu, dziś

trzęsie się ze strachu na samą myśl o spotkaniu z nim. To niepowodzenie boleśnie go dotknie, a on każe mi za nie zapłacić.

Dżamal nie zamierza tracić czasu. Podjeżdża pod dom moich rodziców, stawia na chodniku dwie walizki, do których udało mi się w pośpiechu wrzucić ubrania, i odjeżdża, nawet nie spoglądając na swoją córkę.

Kiedy tylko pojawiając się przed drzwiami mieszkania, wychodzi mama z otwartymi ramionami i mnie przytula. Emocje są tak duże, że nie wytrzymuję i zalewam się łzami. Już nie staram się powstrzymywać i dzięki temu odczuwam nawet dziwną ulgę. Przybiegają moje siostry i wszystkie płaczą.

Mama przygotowała mi pokój, mój pokój nastolatki, ten, którego nigdy nie powinnam przedwcześnie opuszczać. Na ścianach wciąż wiszą przyklejone zdjęcia moich ulubionych piosenkarzy. Matka i siostry zaczynają rozpakowywać walizki. Układają ubrania w szafie i za każdym razem informują mnie, co gdzie chowają. Nie słucham ich, nie interesuje mnie to, myślami jestem daleko.

Piję z mamą herbatę, kiedy ojciec wraca z biura. Pierwsze kroki kieruje do mnie, uśmiecha się i czule klepie mnie po ramieniu. Żadnych wymówek, żadnej krytyki, ale ja i tak przeczuwam, że jest mu źle, a ta sytuacja jest dla niego nie do zniesienia, chociaż nie daje tego po sobie poznać.

W następnych dniach panuje przygnębiająca atmosfera. Wymiana zdań z moim ojcem jest kurtuazyjna, ale zdawkowa. Półgębkiem, bez poruszania drażliwego tematu, matka przyznaje, że ojciec jest wściekły. On, który do tej pory nie był zbyt

rodzinny, teraz jeszcze szczelniej zamyka się w swojej wieży z kości słoniowej. Ucieka z przyjęć i rodzinnych uroczystości w obawie przed niewygodnym pytaniem: „Co tam u Ranii?”

Rania? Jej los nie obchodzi ojca. On interesuje się tylko własnymi sprawami. Czuje się zraniony, jego godność została urażona. Odrącona córka... Co za wstyd przed przyjaciółmi! Jak wyjaśni tę sytuację? To jest jego jedyny problem. Ponieważ tak w głębi duszy ojciec wiedział, nawet jeśli nigdy nie interesował się naszym małżeństwem, że ten związek jest ułomny i ja nie byłam wszystkiemu winna. Zrozumiał to pewnego dnia, kiedy Dżamal powiedział mu, że jestem kiepską kucharką, ponieważ chciał mnie obwinie. Akurat tata dobrze wiedział, że to nieprawda. Dzisiaj jednak nie w tym tkwi problem. Okoliczności są mało ważne, liczą się tylko pozory, a tych nie da się zachować: mąż mnie odrącił, co stawia mojego ojca w złym świetle.

Oczywiście moja matka czuje się równie niezręcznie w stosunku do swoich przyjaciółek. Kiedy do niej przychodzą, stara się o mnie nie rozmawiać. Tymczasem one wszystkie chcą wiedzieć więcej, aby móc się nade mną poużalać i zdobyć trochę plotek na kolejne spotkanie przy herbatce.

Sytuacja jest nie do zniesienia. Każdy mijający dzień sprawia, że coraz bardziej się obwiniam. Przeklinam się, że zgotowałam rodzicom taki okropny los, pozbawiłam matkę wieczornych spotkań, przyjęć, które tak bardzo lubi, gdyż teraz ojciec zgadza się na niejeszcze rzadziej niż zazwyczaj. Jestem przekonana, że moje rodzeństwo również cierpi z powodu tej ciężkiej atmosfery. Domem zawładnął smutek, już nikt się tu nie śmieje, a ja mam wrażenie, że to wyłącznie moja wina. Wydaje mi się,

że wszyscy oczekują pojawienia się Dżamala i marzą o tym, by po mnie przyjechał.

Godzinami siedzę w pokoju i staram się to wszystko zrozumieć, przeanalizować. Zaczynam prowadzić dziennik, w którym spisuję to, co dyktują mi uczucia. Wspominam bez przerwy, wyrzucam sobie takie lub inne zachowanie, niewłaściwe słowo, czuję się winna, głupia i niepotrzebna. Wszystkim zatruwam życie.

Przez następne tygodnie całkowicie pograżam się w depresji. Przystaję jeść, mam okropne bóle głowy, chudnę w oczach. Prawie cały czas wyglądam przez okno w nadziei, że Dżamal przyjedzie. Czuwam nawet w nocy. Wypatruję samochodu w światłach latarni rozjaśniających mrok ulicy. Nie mogę spać. Rano podczas śniadania matka widzi, jak bardzo jestem wyczerpana.

Martwi się moim depresyjnym stanem, który coraz bardziej się pogarsza. Chciałaby, żebym czymś zajęła myśli, zaczęła coś robić. Niestety, do niczego nie mam serca i na tym właśnie polega ta choroba.

Po dwóch miesiącach ciszy Dżamal w końcu daje znak życia. Przyjeżdża do domu rodziców. Jestem przekonana, że chce mnie stąd zabrać, ale on ma takie plany tylko w stosunku do Rahaf. Nieważne, traktuję to jak pierwszy krok w dobrym kierunku; jestem pewna, że niedługo ja także wrócę do naszego mieszkania. Trzymam się tej myśli, jestem szczęśliwa. Wydaje się, że użyło całemu domowi i sprawa została załatwiona.

Jednak kolejne dni upływają i nic się nie dzieje. Dżamal się nie pojawia. Dzwonię do niego, błagam, aby przemyślał swoją decyzję. Przepraszam go i obiecuję, że jeśli mnie znów

przyjmie i się pogodzimy, to będę na jego każde zawołanie. Ale odpowiedź męża tylko jeszcze bardziej mnie rani.

- Zastanowię się.

Kilka dni później, kiedy wypoczywam, ktoś dzwoni do drzwi. Mój młodszy brat Ala otwiera. Słyszę, jak z kimś rozmawia. Zaintrygowana idę zobaczyć, kto przyszedł, ale w momencie, gdy nadchodzę, Ala zamyka drzwi. Widzę, jak pospiesznie wkłada kartkę do kieszeni. Pytam, kto to był.

- Dżamal. Chciał się zobaczyć z tatą - odpowiada zakłopotany Ala.

- A ta kartka?

- Nie, to nic...

Nie wierzę mu. Nalegam, grożę i w końcu Ala mi ją oddaje. Gdy ją rozkładam, w oczy rzuca mi się tylko jedno słowo: „Rozwiedziona”!

Nie zważam na brak chusty na głowie i wybiegam na ulicę. Doganiam Dżamala, chwytam go gwałtownie i zaczynam nim potrząsać.

- Dlaczego mi to robisz?

W tej samej chwili nadbiegają mój brat i wuj Farid, którzy zostali uprzedzeni o tym, co się dzieje. Próbują mnie odciągnąć i uspokoić. Nagle wszystko zaczyna się wokół mnie kręcić, rozmazywać... Mdleję. Dżamal ucieka do samochodu i odjeżdża. Mnie zawożą do szpitala, gdzie lekarze stwierdzają wylew krwi do mózgu, który będzie miał nieprzyjemne skutki. Przez osiem lat będę cierpieć na epilepsję.

Po tym wypadku wpadam w głęboką depresję. Matka robi wszystko, żebym z niej wyszła.

W normalnej sytuacji miałam zapisać się na uniwersytet i zacząć studia medyczne na radiologii. To jest droga, którą wybrali dla mnie rodzice i nauczyciele. Jednak mój pobyt w szpitalu, rekonwalescencja, szok spowodowany separacją, przeprowadzką i rozwodem przekreśliły te plany. Nie zajęłam się niczym, nikt w rodzinie nie pomyślał o zapisach. Tak więc źle się stało, że rok akademicki rozpoczął się beze mnie, choć lekarze twierdzą, że w moim obecnym stanie nie dałabym rady uczęszczać na uniwersytet.

Moje samopoczucie pogarsza się, ale cała sytuacja i wymuszony brak zajęcia ma również nieoczekiwane dobre strony. Następuje zbliżenie z moją matką. Często długo rozmawiamy w moim pokoju lub salonie, co nam się przedtem nigdy nie zdarzało. Nawiązuje się między nami dziwna nić porozumienia. Nasze stosunki się zacieśniają. Trzeba było czekać na to prawie dwadzieścia lat! Zostajemy przyjaciółkami, a nawet współpracownikami.

Mama, która próbuje wyciągnąć mnie z depresji, zaczyna mi się zwierzać z najróżniejszych problemów. Stopniowo opowiada mi o troskach, rozczarowaniach, frustracjach, kłopotach małżeńskich. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że ta wyniosła, zimna, oschła, zdeterminowana kobieta mogłaby być nieszczęśliwa. Maską, jaką na co dzień przyjmuje, kryje strapienie. Po raz pierwszy w życiu spowiada mi się z tego, ponieważ rozpoznaje we mnie samą siebie. Ona również cierpiała w milczeniu z powodu autorytarności i nietolerancji ojca. Ona również zawsze mu ustępowała, zapominała o swojej godności i nie skarżyła się, ponieważ zostało powiedziane, że mężczyzna jest

wszechwładny. To praca jest dla mamy wybawieniem i nadzieją. To tam mogła odnaleźć swoją tożsamość i uratować honor. Dzięki pracy nie musi żyć jak niewolnica czy służąca oczekująca na okruchy z pańskiego stołu. Mama widzi, że moje życie zostało zrujnowane, i wyznaje mi swoje sekrety żebym nie straciła nadziei. Chce mi pomóc odnaleźć właściwą drogę.

Wiedziałam, że pochodząca z Indii rodzina mamy przybyła do Arabii po długiej wędrówce. Matka mówi urdu, językiem wywodzącym się z hindi z wpływami perskiego. Kiedy byłam małą, nauczyła mnie tego języka. Mówię biegle, ale aż do dzisiaj nie wiedziałam, jakie miałyby on mieć dla mnie zastosowanie, zresztą w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Nagle zrozumiałam, że poprzez język matka przekazała mi całe dziedzictwo kulturowe, tożsamość, której ją pozbawiono, historię, której nie doceniano, ignorowano, zdeptano.

- Córeczko, ja również cierpiałam. Bardzo. Moi rodzice, dziadkowie byli naprawdę dzielni. Musieli wytrwale walczyć, aby to wszystko osiągnąć. Jednak moja rodzina nie była tak bogata jak rodzina twojego ojca. Szybko i bez ogródek dano mi to do zrozumienia. Zawsze byłam postrzegana jako osoba niższego stanu. Miałam szczęście, że byłam ładna, w innym wypadku...

Nagle przez tę straszną opowieść zaczęła przeziierać cała szczerłość mamy. Od lat cierpiała w milczeniu. Ta niechęć nigdy mnie nie dotknęła, mama czerpała z niej siłę, aby się bronić, podbudowywać wewnętrznie. Stworzyła swój własny świat w środku społeczeństwa, które nie zwraca na nią uwagi.

Teraz, gdy siedzi naprzeciwko mnie, pod światło, lekko z profilu, przyglądam się jej jak nigdy przedtem. Delikatne rysy

twarży odcinają się w promieniach słońca. Matka jest piękna. To ją uratowało, ale jednocześnie pozbawiło światła. To jest właśnie to przesłanie, które mi dziś przekazuje. Nie powinnam akceptować bezwarunkowego poddania się mężowi. Trzeba żyć, być sobą, przestać się obwiniać z powodu rozwodu. Tak jak ona muszę znaleźć w sobie siłę, aby się uwolnić. Matka cierpliwie mi to tłumaczy.

- Tylko dzięki pracy, jaką wykonywałam, jestem w stanie spojrzeć sobie w oczy. Kiedy otworzyłam butik z ubraniami, ojciec widział w nim tylko aspekt finansowy, zresztą są to jedyne sprawy, jakie go interesują. Ja natomiast istnieję dzięki temu, że tworzę ubrania. Ich przygotowanie przynosi mi o wiele więcej niż kilka riali - te rzeczy, sygnowane moim nazwiskiem, są moim znakiem rozpoznawczym, zapewniają mi niezależność finansową, ale także intelektualną. W końcu nie jestem już cieniem Jahji Al-Baza, jestem Nawal, z krwi i kości. Wierź mi, kobieta uwalnia się poprzez pracę. To jedyne sposob, aby wyzwolić się z uciemżenia, uniknąć losu nierozumnego zwierzęcia. Pracuj, Raniu, błagam cię, pracuj, a przynajmniej w umyśle będziesz wolna.

Nowe stosunki, jakie nawiązałam z matką, pomagają mi wyostać się z psychicznego dołka. Ona dostarcza mi kilku podpowiedzi, dodaje otuchy. Dowodzi, że nie jestem jedyną kobietą, która czuje się osaczona.

Pewnego dnia matka zwierza mi się, jak bardzo denerwuje ją to, że od lat nie może organizować przyjęć tak, jakby chciała. Ojciec zawsze się temu sprzeciwia. Matka bez przerwy musi walczyć, aby ustąpił i zgodził się na parę spotkań. Ona marzy

O domu, w którym ciągle coś się dzieje, pełnym rozmów, śmiechu, śpiewu, czyli tego, czego nienawidzi ojciec. Słucham jej i wyobrażam sobie, jak wyglądałoby moje życie z Dżamalem - zacznę myśleć, że rozwód ma również swoje dobre strony.

Jednakże zadaję sobie pytanie, dlaczego kobieta odrzucona przez męża automatycznie zostaje wyrzucona poza nawias społeczeństwa. Dlaczego rozwiedziony mężczyzna może dalej normalnie żyć i nikt go z tego nie rozlicza? To podstawowe pytanie pomaga mi przestać się oskarżać o wszystko. Zdaję sobie sprawę, że nie tylko ja jestem temu winna. Powinnam przestać się chłostać.

Moje samopoczucie powoli zaczyna się poprawiać, kiedy Dżamal odwozi naszą córkę do domu. Od tego momentu, na bazie niepisanej umowy, na przemian dzielimy się opieką nad dzieckiem.

Nawet częściowe odzyskanie Rahafstanowi dla mnie i mamy źródło ogromnej radości. Powrót córki motywuje mnie, przywraca sens życia. Wytyczam sobie nowe cele. I przede wszystkim myślę o podjęciu studiów. Chcę w przyszłości sama zapewnić córce byt, pragnę mieć prawdziwy zawód i pozycję. Nie ma mowy, żeby przegapić początek kolejnego roku akademickiego. Taka decyzja niesie jednak za sobą pewne problemy organizacyjne. Wydział, na którym rozpocznę studia radiologiczne, znajduje się w odległości dwudziestu kilometrów od Mekki, czyli około stu kilometrów od Dżuddy, dlatego powinnam mieszkać w akademiku. Kto wtedy zaopiekuje się Rahaf?

W tym wypadku nie ma dużego pola manewru. Córeczka musi zostać w domu rodzinnym. Zajmą się nią matka i siostry.

Oczywiście bardzo trudno jest mi znów rozstać się z dzieckiem i rodziną, a nawet z mieszkaniem w Dżuddzie, gdzie udało mi się odnaleźć siebie. Muszę jednak z tego zrezygnować. Nie mam wyboru.

* * *

Chociaż jestem już dwudziestolatką, w dniu rozpoczęcia roku akademickiego ekscytuję się jak dziecko. Gdy zwiedzam wszystkie nowe dla mnie miejsca, nerwowo mnę moja chusta.

Akademik, w którym będę mieszkać, jest oddalony o kilkaset metrów od wydziału medycyny. Składa się na niego parę niewielkich trzypiętrowych budynków otoczonych ogrodem i jest tu ładnie. Przestronny pokój dzielę z siedmioma innymi studentkami, które powoli poznaję. Są raczej sympatyczne. Każda z nas ma tu swoją wnękę, a na końcu długiego korytarza znajduje się kuchnia, wspólna dla wszystkich pokoi na piętrze. Nawiazywanie kontaktów idzie dobrze, atmosfera jest przyjazna, ale czuję się osamotniona, mam kiepski nastrój. Jeszcze jedna nowa rola, jaką muszę odegrać!

Na szczęście samopoczucie szybko mi się poprawia. Życie w grupie przynosi miłe niespodzianki. Szybko tworzymy zgraną paczkę, stajemy się współniczkami zadowolonymi z tego, że się tu znalazłyśmy. Odnajduję w sobie ducha uczennicy, co sprawia mi niesłychaną przyjemność. Oczyszczam myśli zwariowanym, zaraźliwym śmiechem, pozbywam się negatywnych wspomnień, żyję teraźniejszością, a nawet zaczynam widzieć przyszłość w różowych kolorach.

Odzyskuję witalność, a w ślad za nią także kontrolę nad moim życiem codziennym. Odnajduję w sobie energię i słychać

to na całym piętrze. Moja dominująca osobowość sprawia, że w naturalny sposób zaczynam przewodzić naszej niewielkiej grupce. Koleżanki wysuwają mnie do różnych działań i zdarza mi się wszystkimi zawiadywać. Nasza opiekunka szybko orientuje się w sytuacji, ale nie ma mi tego za złe. Wręcz przeciwnie, jest zachwycona. Często nie zachowuje się jak pilnująca, ale jak jedna z nas, i przychodzi na nasze spotkania. To bardzo miła kobieta, godna poważania Egipcjanka. Bardzo wczesnie straciła męża. Sama wychowuje dwójkę dzieci. Życie zmusiło ją do emigracji w poszukiwaniu pracy. Los nie zawsze się do niej uśmiechał, dlatego dobrze jej robią chwile odprężenia w naszym towarzystwie. Niekiedy moje pomysły wprawiają ją w osłupienie, ale nie sprzeciwia się im.

I tak pewnego dnia postanawiam rozwiązać nasze kłopoty z prysznicami. Co prawda mamy na wszystkich piętrach łazienki i sanitariaty, ale tak naprawdę, z powodu jakiegoś problemu technicznego, woda nie dochodzi na trzecie piętro. Oznacza to, że aby mieć wodę, musimy napełniać wiaderka, miski i baniaki na niższym piętrze. Przynoszenie wody do gotowania czy zmywania jest uciążliwe, a donoszenie jej do łazienki - nieznośne; to prawdziwa gimnastyka. Wszędzie rozlewamy wodę i trzeba ją później wycierać. Mam dosyć tych niedogodności i znajduję rozwiązanie, które natychmiast przedstawiam przyjaciółkom.

- Jest gorąco, pod budynkiem są zraszacze ogrodowe, może tam pójdziemy wziąć prysznic?

Po co ja to powiedziałam?! Dziewczyny są przerażone.

- Co? Na dole? W ogrodzie? Całkiem nagie, przy ludziach? Ty kompletnie zwariowałaś!

- Dlaczego? Nie ma tu chłopaków, jesteśmy same, przecież możemy się nawzajem oglądać nago...

Ale siedem dziewczyn oponuje i gorliwie zaczyna poprawiać chusty.

- Co to, to nie, nie ma mowy!

Ojejku! Ale afera! Dotknęłam drażliwego tematu dotyczącego ciała, nagości i naszej przeklętej pruderii. Tym razem dziewczyny nie rozumieją mnie, przeciwstawiają się, a nawet sprawiają wrażenie zaszokowanych. Nieważne, dalej drażę temat, argumentuję. Sugeruję, że mogą się myć w cienkich tunikach. Wprawdzie nie jest to bardzo wygodne, ale wykonalne. Choć przyznają mi rację, to nie wystarcza, aby je przekonać. Problem leży w ich sposobie myślenia. Wszystko, co w mniejszym lub większym stopniu odnosi się do płci, jest objęte tabu. Nasze młode dziewczyny, tak jak i młodzi chłopcy, mają wypaczone spojrzenie na te zagadnienia. Aby zrozumieć, o co chodzi, wystarczy popatrzeć na studentki zbijające się grupki i głupio chichoczące na widok dwóch kopulujących w ogrodzie psów lub kotów.

To, co proponuję koleżankom, jest sprzeczne z ich wychowaniem i kulturą. Zbyt przyzwyczajone do zasłaniania ciała w końcu wypierają się go, ukrywają jako coś hańbiącego. Dlatego zaczynam im tłumaczyć, że ciało jest piękne, zdrowe, musi być w ruchu, oddychać, ale trudno mi przeforsować te argumenty. Wobec takiego oporu oświadczam, że ja i tak idę się kąpać do ogrodu. Zapraszam je, żeby przyszły zobaczyć i przekonały się, że to wygodniejsze niż polewanie się wodą z baniaka. Po tych słowach biorę ręcznik, mydło i wychodzę.

Zaledwie zdążyłam dojść na dół, a już słyszę na schodach tupot i wybuchy śmiechu. Wszystkie dziewczyny z trzeciego piętra biegają uczestniczyć w tym niesamowitym spektaklu brania prysznica na świeżym powietrzu, i to w miejscu publicznym. Chwytam za jeden ze spryskiwaczy i wtedy dostrzegam, że niektóre dziewczyny też przyniosły ręczniki i mydelniczki, ale jeszcze się wahają. Namydlałam się od stóp do głów pod przykrywającą mnie tuniką i ze śmiechem rzucam w stronę patrzących:

- Ale przyjemnie. To jednak o wiele lepsze niż kąpanie się na górze!

Widzę, jak jedna ze studentek zaczyna się rozbierać, a potem kolejne dwie i trzy. W końcu wszystkie śmiejemy się do rozpuku i polewamy się wodą na oczach zdziwionej opiekunki, która nie wie, czy ma się cieszyć, czy biec donieść o sprawie dyrekcji uniwersytetu. Ostatecznie decyduje się na to pierwsze, przygląda się spektaklowi, a potem nazywa mnie kwiatkiem, który trzeba podlewać. To przezwisko już do mnie przylgnie.

Kiedy wracamy do naszego pokoju, słyszymy komentarze innych studentek na temat tego, co się wydarzyło. Moje koleżanki są zachwycone. Śpiewają, bawią się, całkowicie zapomniały o zahamowaniach, nawet już o nich nie mówią. Ta kąpiel je wyzwoliła. Ja również doświadczam jakiegoś dziwnego uczucia wolności i muszę przyznać, że także zwycięstwa.

W następnych dniach branie prysznica w ogrodzie staje się codziennością i robi to o wiele więcej dziewcząt. Kiedy zaproponowałam ten pomysł, uznali go za niedorzeczny i bały się nawet pomyśleć, że mogłyby się tak zachować. Miałam wrażenie, że niektóre z nich się zmieniły, przerażone zamilkły, tymczasem teraz,

przed modlitwą, wszystkie razem kąpiemy się przed budynkiem. Oczywiście tego typu zachowanie nie mogło przejść niezauważone! Wieści szybko obiegają miasteczko uniwersyteckie i dochodzą do samej dyrektorki. Ta nic nie mówi. Przynajmniej nie musi się ciągle tłumaczyć z niewłaściwego działania instalacji sanitarnych. Każdy więc czerpie jakieś korzyści z tej sytuacji. Mimo to imię i nazwisko Ranii Al-Baz, Ranii burzycielki, głęboko zapadło dyrektorce w pamięć. Ona wie, że to mój pomysł i nawet jeśli to akceptuje, to i tak trafiam na listę dziewczyn, na które należy zwrócić uwagę.

Dzieje się to we właściwym momencie, ponieważ niedługo zacznę walczyć na nowym froncie, i to o wysoką stawkę - problem dotyczy zakrywania twarzy.

Ze względów bezpieczeństwa dyrekcja wydziału decyduje się na wyposażenie każdej studentki w przepustkę ze zdjęciem ukazującym odkrytą twarz. Powoduje to niezłe zamieszanie. Same młode dziewczyny burzą się przeciwko rozporządzeniu, które jest sprzeczne z ich kulturą. Nie tylko odmawiają pozowania do zdjęcia, lecz także odrzucają ideę dokumentu tożsamości w ogóle! Kompletnie ich nie rozumiem. Dyrektorka, świadoma wpływu, jaki mam na koleżanki, wzywa mnie do siebie i prosi, abym pomogła jej przekonać dziewczyny o konieczności zrobienia zdjęcia.

Rozumiem i akceptuję zasłanianie twarzy - jest to część naszej tradycji i naszej historii. Nie ma żadnego powodu, by zmuszać kobiety do wyrzeczenia się tego. Ale trzeba też brać pod uwagę ewolucję naszego społeczeństwa i przystosowywać się do aktualnej sytuacji. U nas, w Arabii, zagrożenie terroryzmem jest

przecież całkiem realne, a to wymaga wdrożenia dodatkowych zasad bezpieczeństwa. Dlatego sprzeciwianie się tym wymogom uważam za głęboko nieodpowiedzialne, ale moje przyjaciółki nie chcą o tym słyszeć. Wielokrotnie im powtarzam, że to nasze władze - te same, które czuwają nad świętym Czarnym Kamieniem w Mekce - wymagają od nas tego nowego dokumentu. Dziewczyny jednak nadal nie ustępują - nie będzie fotografii bez zasłony, a nawet więcej: nie będzie zdjęcia w ogóle. Przy tej okazji zauważam, że to nie władze saudyjskie, ale sami obywatele są najbardziej przywiązani do tradycji, które Zachód ocenia jako przestarzałe. Próba zmiany mentalności ludzi jest bardzo ryzykowna - odczuwam to na własnej skórze.

Moje koleżanki z pokoju szanują mnie, ale mimo to walka, jaką toczę w imię bezpieczeństwa, wydaje im się podejrzana. Nie rozumieją, o co chodzi, widzą w tym tylko zamach na ich wiarę, a nie troskę o ich bezpieczeństwo.

Nasze dyskusje na ten temat stają się nerwowe. Muszę uważnie dobierać argumenty, bez szokowania i prowokowania. To nie jest proste, ale mimo wszystko powoli idę naprzód. Władze uniwersytetu stawiają sprawę jasno - dokument będzie obowiązkowy. Te studentki, które odmówią podporządkowania się zarządzeniu, zostaną usunięte z wydziału. Tak więc nasza dyskusja staje się czysto akademicka. I dlatego przywiązuję do niej jeszcze większą wagę. Boli mnie, kiedy widzę, jak moje przyjaciółki duszą się w ciasnym gorsecie skostniałych tradycji. Przykro mi, że dziewczyny nie są przystosowane do życia.

Kilka dni później, kiedy trwa drukowanie legitymacji studenckich, zdarza się coś, co sprawia, że jestem już bliska

przyznania racji koleżankom. Przebywam właśnie w biurze administracji wydziału, gdy jeden z pracowników ochrony uśmiecha się dwuznacznie i rzuca w moją stronę:

- Ty jesteś najładniejsza!

Zadziwia mnie ta wypowiedź. Uważam ją za wysoce niestosowną.

- Skąd wiesz? Wszystkie jesteśmy zawsze zasłonięte!

- Oglądałem wasze zdjęcia!

Świadomość, że ci mężczyźni przyglądali się fotografiom, żeby porównywać nasze twarze, jest nie do zniesienia. Nic nie odpowiadam i uświadamiam sobie, że zasłanianie się też ma swoje dobre strony.

Trochę później inne wydarzenie stawia przede mną kolejnego agenta ochrony. Aby zatelefonować, musimy wyjść z akademika, ponieważ tutaj telefony komórkowe nie mają zasięgu. Budka telefoniczna znajduje się zaraz obok siedziby strażników, gdzie teraz musimy pokazywać przepustki. Jednak strażnicy niektóre z nas dyskryminują. Chociaż każda ma dokumenty, to oni decydują, która studentka ma prawo wyjść zatelefonować, a która nie.

I tak pewnego dnia strażnik zabrania mi wyjść, a pozwala na to innej dziewczynie. Dokładnie przyjrzałam się całej sprawie: zanim pozwolono tamtej studentce opuścić kampus, jakiś czas przekomarzała się z mężczyzną, a ja nie chcę brać udziału w takich zabawach. Mówię o tym strażnikowi, który bardzo źle to przyjmuje i zakazuje mi przejścia. Nasza rozmowa staje się coraz bardziej nerwowa. Cała się trzęsę z wściekłości i idę donieść o wszystkim dyrekcji.

Sankcje następują szybko. Strażnicy dobrze wiedzą, komu je zawdzięczają, i teraz nie mam wątpliwości, że nie powinnam zapominać o swoich dokumentach. Ale ich zemsta nie ogranicza się jedynie do tego. Pewnego ranka koleżanka przychodzi do mnie, żeby mnie uprzedzić.

- Widziałaś mur otaczający akademik?

- Nie, co się stało?

- Chodź.

Zaintrygowana i lekko zaniepokojona spieszę w stronę muru. Z daleka dostrzegam napisy. Moje imię, któremu towarzyszą obrzydliwe wyzwiska, wypisano w wielu miejscach, na różnych wysokościach ściany, bez jakichkolwiek dodatkowych komentarzy czy wyjaśnień. Nie można nie zauważyć tych ohydnych bazgrołów. Jestem oburzona, a te potworności sprawiają mi prawdziwy ból. Ci, którzy to napisali, są gruboskórnymi durniami. Bardzo trudno młodej kobiecie znieść takie obelgi, zwłaszcza gdy odbywa się to na oczach wszystkich ludzi. Natychmiast biegnę do swojego pokoju, rzucam się na łóżko i zaczynam płakać. Ta głupota i niesprawiedliwość są nikczemne. Przyjaciółki mnie pocieszają. One też już wiedzą, podobnie jak cały kampus. Zyskuję popularność, bez której mogłabym się obyć. Przede wszystkim jednak boję się, że tym razem dyrektorka będzie na mnie zła.

Tymczasem wcale tak się nie dzieje, a pani dziekan wydziału ogłasza, że rocznik, do którego należę, jest jednym z najlepszych, ja zaś jestem jedną z najpilniejszych i najbardziej aktywnych studentek. Czuję satysfakcję. Przyjazna atmosfera, jaka panuje w mojej grupie, zachęca mnie do działania. Doceniam

miły nastrój i serdeczność koleżanek, zwłaszcza że wciąż zadaje sobie pytanie, co robię na radiologii.

Chodzi o to, by zapewnić sobie wolność przez pracę, tak jak radziła matka. To jest powód, dla którego zgadzam się na tę sytuację, ale muszę się naprawdę bardzo wysilać, bo zajęcia wcale mnie nie interesują. Ciągłe wołę literaturę. Spędzam dużo czasu w swoim pokoju na pisaniu krótkich tekstów i wierszy. Jestem przekonana, że z tą dziedziną będzie związana moja przyszłość, ale tymczasem siedzę uwięziona na radiologii i muszę postarać się skończyć. Nie mam motywacji, a rozmowa między dwoma wykładowcami, którą przypadkiem słyszę, wcale nie polepsza sprawy. Podobnie jak większość profesorów pochodzą oni z Indii - do Arabii przyciągnęły ich dobre zarobki. Nie widzą innych zalet pracy w moim kraju, którego zresztą nie lubią, o czym mam okazję się przekonać.

Dwaj mężczyźni swobodnie rozmawiają w języku urdu. Nie zwracają na mnie uwagi. Tym gorzej dla nich, bo rozumiem ich bardzo dobrze, ale nie dają tego po sobie poznać. Jednak to, co słyszę, wywołuje we mnie sprzeciw. Jeden z profesorów opisuje sytuację nowo przybyłemu na uniwersytet koledze.

- Nie przejmuj się. Wszystkie studentki są beznadziejne, a nie będziemy ich przecież uczyć tak dobrze, żeby potem odebrały nam miejsca pracy. Możesz prowadzić zajęcia i zupełnie się do nich nie przykładają. To wystarczy. Nie martw się, i tak nikt się nie zorientuje...

Rozmowa jest upokarzająca, niedopuszczalna między osobami opłacanymi przez uniwersytet. Nie mogę się powstrzymać od interwencji. Dwaj profesorowie są zaskoczeni, kiedy zwracam się do nich bezbłędnie w urdu.

- Panowie, nie macie prawa tak mówić ani tak się zachowywać. Wasza postawa jest skandaliczna. O wszystkim poinformuję dyrekcję.

Znikam w tłumie i biegnę do gabinetu dyrektorki, która bardzo szybko mnie przyjmuje. Przedstawiam jej fakty. Słucha mnie z uwagą, zapisuje nazwiska dwóch wykładowców, a potem dziwnie się uśmiecha.

- Dziękuję za informacje. Wezwę do siebie tych profesorów i poproszę o wyjaśnienia. Ale proszę mi powiedzieć, panno Al-Baz, dlaczego na tym wydziale nic nie może się wydarzyć bez pani udziału? Pani przyciąga wszelkiego rodzaju problemy!

Takie stwierdzenie samo się narzuca, muszę to przyznać.

- Tak, proszę pani, ale to przez przypadek, nie robię tego specjalnie - mamroczę zakłopotana.

Dyrektorka nie wygląda na przekonaną, ale na tym poprzestajemy. Wracam do akademika zadowolona, że udało mi się ukrócić te okropne praktyki. Jednak sama przyznaję, że rzeczywiście zawsze muszę zrobić coś wykraczającego poza normę.

Prawda jest taka, że z dwiema koleżankami z pokoju od jakiegoś czasu regularnie chodzimy na wagary. Zamiast wybrać się na zajęcia, zamawiamy taksówkę i jedziemy do jednej z moich kuzynek w Mekce. To nie jest właściwe zachowanie, ale te wypadki dają mam trochę oddechu. Przebywanie na wydziale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę może stać się uciążliwe. Od czasu do czasu mam ochotę zmienić otoczenie, zobaczyć inne twarze, dlatego jeździmy się odprężyć w Mekce. Zdarza nam się nawet nocować u kuzynki i dojeżdżać na wydział dopiero nad ranem, co jest surowo zabronione. Na szczęście

mamy bardzo dobre układy z naszą opiekunką, a ona przymyka oko na te wybryki, pod warunkiem że zachowujemy dyskrecję.

W każdą środę wieczorem jeżdżę również do Dżuddy, gdzie zostaję do piątku po południu. Dwa dni spędzone z rodziną, a zwłaszcza z moją córką, są niezwykle przyjemne. Tak bardzo tęsknię za Rahaf, że przychodzi mi do głowy szalony pomysł - a gdybym tak zabrała córkę ze sobą do miasteczka uniwersyteckiego? Najpierw omawiam tę kwestię z koleżankami z pokoju. One nie robią problemów. Wręcz przeciwnie, podoba im się perspektywa bawienia się dzieckiem niczym dużą lalką. Pozostaje jeszcze pozyskać całkowite zaufanie opiekunki naszego piętra. Negocjacje szybko kończą się sukcesem. Opiekunka nie tylko zgadza się na to, żeby Rahaf spała razem ze mną, ale dodatkowo za niewielką opłatą, która ją satysfakcjonuje, zobowiązuje się zająć moją córką w ciągu dnia i przeprowadzić ją przez posterunek strażników jako własne dziecko. Strażnicy nigdy nie zatrzymują opiekunki. Pracownica, nawet niższego szczebla, może robić ze swoim dzieckiem, co chce, i to ich w ogóle nie obchodzi.

Wszystko zostaje zorganizowane. Co wieczór, w przerwie między powtarzaniem materiału, bawimy się i rozpieszczamy Rahaf, która jest w siódmym niebie, kiedy skupia na sobie uwagę wszystkich. Ma tylko dla siebie siedem cioć! Gdyby dyrektorka wiedziała, że jej wydział stał się również przedszkolem...

Żyjemy „w rodzinie” do końca roku akademickiego, ale kiedy wracam do Dżuddy, ojciec oświadcza, że w następnym roku nie będę mieszkała w akademiku. Uważa, że bezprawna obecność mojej córki w miasteczku uniwersyteckim jest niewskazana i nie powinna mieć miejsca. W domu mojego dziadka w Mekce

jest wolne mieszkanie - to samo, w którym mieszkałam, kiedy byłam dzieckiem. Wprowadzę się tam z córką. Wuj Hassan, którego tak bardzo kocham, mieszka piętro wyżej. Ciotka zgodziła się zająć Rahaf w czasie, gdy będę na zajęciach.

Wizja powrotu do kochanego miasta i domu, który napełnia mnie tyloma wspomnieniami, a dodatkowo perspektywa bliskości wuja i ciotki sprawiają, że nie posiadam się ze szczęścia. Jedynie fakt, że będę musiała rozstać się z grupką przyjaciółek z wydziału, maćmi uczucie radości. Zdaję sobie jednak sprawę, że życie w Mekce będzie o wiele łatwiejsze dla mnie, a zwłaszcza dla mojego dziecka. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam.

* * *

Kilka tygodni później, kiedy zadomowiłam się już w mieszkaniu w Mekce, z rozkoszą odkrywam ogród moich dziecięcych zabaw, zapomnianych zapachów i dźwięków. Obserwuję Rahaf, która ze zdziwienia otwiera szeroko oczy. Mieszkanie jest za duże dla nas dwóch, ale nie mogę narzekać, przynajmniej tutaj wszystko działa jak należy i nie będę musiała myć się pod spryskiwaczem w ogródku. Kiedy zaczynam układać nasze rzeczy, zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy będę mieszkać sama. Zastanawiam się, czy wraz z upływającym czasem takie odizolowanie nie będzie dla mnie uciążliwe.

Właśnie jestem w trakcie swoich rozważań, gdy okazuje się, że są jeszcze inne osoby, które dziwi moja sytuacja. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest ona zupełnie nietypowa jak na Arabię Saudyjską. Kobieta samotnie wychowująca dziecko? Kim ona może być? Czy jest chora psychicznie? Czy jest kobietą

zdeprawowaną, porzuconą przez swojego męża i rodzinę? W każdym razie na pewno ma niejasną przeszłość. I nie należy się z nią zadawać. Szybko zauważam podejrzliwe spojrzenia sąsiadów, którzy zaczynają wytykać mnie palcami. A przecież dobrze wiedzą, kim jestem, większość z nich znała mnie jako dziecko. Wuj i ciotka wyjaśnili im, że uczęszczam na studia dwadzieścia kilometrów stąd i że wygodniej mi było zamieszkać na jakiś czas w domu z córką, z którą nie chcę się rozstawać. To jednak nie przekonuje sąsiadów. Uważają, że to bajki, i nadal wytykają mnie palcami. Nie spodziewałam się takiej reakcji i ciężko mi z tym. Na szczęście Hassan i jego żona są na miejscu, żeby mnie ochraniać. Bez nich nie mogłabym tu zostać. Presja otoczenia byłaby zbyt duża. I nie chodzi tylko o podejrzliwość, ale wręcz o wrogość.

Przy tej okazji zauważam przepaść, jaka nas dzieli od Zachodu. Tutaj, na Wschodzie, kobieta samotnie wychowująca dziecko musi schronić się u swojej rodziny i nie może wystawić się na widok publiczny. To nieprzyzwoite! Fakt, że dziecko jest wychowywane przez jedno z rodziców, nie zostanie szybko zaakceptowany. W myśl świętych i niepodważalnych zasad rodzina jest najważniejsza. Tylko to się liczy i nikt nie bierze pod uwagę, że czasem samotne rodzicielstwo jest lepsze dla rozwoju i równowagi dziecka albo jego matki. Postrzeganie tych kwestii na Wschodzie i Zachodzie bardzo się różni.

Nie mam wyboru, ale tego nie rozumieją moi sąsiedzi. Dlatego uczę się żyć wśród ich nieprzychylnych spojrzeń. Jeśli nie cierpię tak bardzo z tego powodu, to tylko dzięki temu, że studia w dużym stopniu wypełniają mi czas. Wyobrażam sobie,

co myślą moi sąsiedzi, kiedy przyjeżdżają do mnie byłe współlokatorki z akademika. Dla nich to mieszkanie staje się oazą, do której od czasu do czasu mogą się wyrwać.

To swego rodzaju zawieszenie trwa w moim życiu przez rok. Potem będę kontynuować studia na nowo otwartym wydziale medycyny w Dżuddzie. A to oznacza powrót z Rahaf do domu rodzinnego.

Gwiazda telewizji

Przed wszystkim jestem szczęśliwa z powrotu do rodzinnego mieszkania w Dżuddzie. Nasza obecność jest dla mamy niczym łyk świeżego powietrza. Godzinami rozmawiamy i spacerujemy po mieście razem z Rahaf. Nie możemy się sobą nacieszyć. Zmiana w relacji z mamą, jaka dokonała się po rozstaniu z Dżamalem, okazuje się trwała. Nadal traktujemy się jak przyjaciółki. Matka, która zbyt długo chroniła swoje sekrety, czuje ulgę, kiedy może się z nich zwierzyć. Mnie z kolei jej niezwykła czułość dodaje otuchy. Ze spokojem patrzę w przyszłość. Unikam jedynie myślenia na temat studiowania radiologii. Jeszcze przyjdzie czas na rozważenie tej kwestii. Szkoda tylko, że ojciec nie podziela naszego entuzjazmu spowodowanego tym, że znów jesteśmy razem - to jedyny minus tej sytuacji. Ojcu nie podoba się, że ponownie mieszkam z rodzicami. Okazuje niezadowolony, irytację, często jest niemiły dla wnuczki.

Jego postawa sprawia mi ból, ponieważ Rahaf, jak każde dziecko na świecie, łaknie miłości swojego dziadka, a ten

systematycznie ją odpycha. Co gorsza, ojciec często zwraca się otwarcie przeciwko Rahaf i mówi, że za dużo łoży na jej utrzymanie. Uważa za nienormalne to, że musi ponosić koszty wyżywienia wnuczki, kiedy ta mieszka pod jego dachem. Nie przestaje powtarzać mamie, że dziecko powinno stale przebywać u swojego ojca. Mój tata uważa, że ponieważ to Dżamal zażądał rozwodu, na nim spoczywa obowiązek zajmowania się córką, tak jak robią inni ojcowie w podobnych przypadkach.

Wstydzę się za mojego ojca, kiedy słyszę, jak to mówi. Tak jakby dodatkowy talerz dla dziecka tak bardzo naruszał domowy budżet! Mój ojciec nie kocha swojej wnuczki i tyle. Wiem o tym, mimo że moja matka nie przestaje powtarzać, że jest wręcz przeciwnie. Ona mi tłumaczy, że ojciec reaguje w ten sposób, gdyż jest wściekły na Dżamala. Rozumiem, że matka stara się załagodzić sytuację, ale nie wierzę jej. Zresztą w domu nikt nie jest naiwny. Rodzeństwo mnie wspiera. Wszyscy jednoczymy się przeciwko ojcu, który często jest sam. Ignorujemy go, staje się kimś obcym. Pewnego dnia, kiedy Rahaf opuszcza dom, aby pojechać do Dżamala, każdy ma grobową minę. Trwa to bardzo długo.

- Ale dlaczego jesteście tacy smutni? - pyta w końcu ojciec.
- Bo tęsknimy za Rahaf.

Ojciec poczuł się dotknięty i bez słowa odwrócił się na pięcie. Kilka dni później, po powrocie Rahaf do domu, dziecko siedzi przed telewizorem i ogląda kreskówki. Uchylam drzwi do salonu, aby upewnić się, że córeczka nie robi niczego niewłaściwego, i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu widzę, że siedzi przed ekranem na kolanach dziadka. Mój ojciec delikatnie

gładzi ją po głowie. Oszalałam ze szczęścia. To cudowna chwila. Nawet jeśli ojciec wobec mnie jest zawsze taki oschły, to przynajmniej oszczędził tego swojej wnuczce, i to jest najważniejsze. Cały dom odnajduje radość życia. Teraz mogę spokojnie wrócić na studia.

* * *

Na nowym wydziale w Dżuddzie odkrywam zupełnie inną atmosferę. Nie odnajduję tu szalonego studenckiego życia. Wszyscy studiują w skupieniu i z powagą, co sprawia, że zaczynam sobie zdawać sprawę, że wkrótce obronię dyplom i rozpocznę pracę w zawodzie. To bolesne otrzeźwienie, które przypomina, że droga wybrana dla mnie przez rodziców prowadzi donikąd. Tym razem uświadamiam sobie, co mnie czeka, i wpadam w panikę. Co ja robię na radiologii? To mi wcale nie odpowiada. Nie wyobrażam sobie spędzenia życia przy aparacie rentgenowskim. To nie do pomyślenia! Marzę tylko o muzyce i poezji! Chociaż taka perspektywa przyszłości mnie rozczarowuje, a nawet przeraża, to nie widzę możliwości ucieczki. Ugrzęzłam na dobre! Nie dostrzegam żadnego ratunku. Nie mogę przecież specjalnie oblać egzaminów... To nie byłoby uczciwe w stosunku do moich bliskich. Poza tym do czego by mnie to doprowadziło? Nie miałabym ani dyplomu z radiologii, ani niczego w zamian, a tak być nie może!

Jest mi naprawdę ciężko, ale skrywam ambicje artystyczne i zmuszam się do zainteresowania zajęciami, na które uczęszczam. Staram się nastawić pozytywnie do studiów, aby dodać sobie otuchy, ale takie oszukiwanie się wcale nie przynosi efektów.

Kiedy wracam do domu, nie zajmuję się powtarzaniem wiadomości z zajęć ani nie otwieram podręczników medycyny, ale wyciągam szkolny zeszyt, w którym od lat zapisuję różne rzeczy. Tutaj odnajduję moje szczęście, kiedy kaligrafuję słowa, dobieram je, sprawiam, żeby do mnie mówiły, dają im życie. Mogę tak pisać godzinami.

Niestety, dość szybko poważne problemy zdrowotne odwracają moją uwagę zarówno od wierszy jak i studiów. Do tej pory stosunkowo rzadkie (i dyskretne) ataki epilepsji teraz nasilają się i utrudniają mi życie. W każdej chwili, bez żadnego ostrzegawczego symptomu, mogę stracić przytomność. Wówczas wstrząsają mną silne konwulsje.

Pierwszy raz zdarza mi się to przy śniadaniu. Nagłe zawroty głowy, a potem czarna dziura. Kiedy odzyskuję świadomość, widzę nad sobą twarze matki i siostr. Dostrzegam niepokój w ich oczach. Wtedy zupełnie nie zdaję sobie sprawy z tego, co się stało. Mama wszystko mi wyjaśnia, kiedy delikatnie obmywa mi twarz zimną wodą. Lekarz, do którego się udaję, stwierdza oczywiście epilepsję. Choruję na nią od czasu rozstania z Dżamalem. Nie umiem się powstrzymać od łączenia moich problemów zdrowotnych z byłym mężem. Obwiniam go o całą sytuację, nienawidzę go i przeklinam.

Lekarz, który widzi, że problemy mnie przerastają i jestem załamana, stara się dodać mi otuchy:

- Proszę się nie martwić. Być może jest to tylko jednostkowy przypadek. Nic nie wskazuje na to, żeby miały nastąpić kolejne ataki.

Niestety, nadchodzą. I jest ich wiele.

Kilka dni później mam następny atak, i to na uniwersytecie. Podczas zajęć bezwładnie opadam na ziemię, sztywnieją mi kończyny, ciałem wstrząsają konwulsje, a w kącikach ustach pojawia się piana - wszystko dzieje się przy oszołomionych koleżankach i profesorach. Natychmiast zostaję zaniesiona do pokoju pielęgniarstwa.

Budzę się i mam wrażenie, że umrę ze wstydu. Czuję się winna, choć nie wiem, z jakiego powodu, i staram się wszystkich przeprosić. Ojciec przyjeżdża i zabiera mnie do domu. Wieczorem wraz z rodzicami decydujemy, że powinnam się poddać dalszym badaniom.

Nie wiem już nawet, ile razy odwiedzam szpital. Lekarze są dalecy od uspokojenia mnie. Sami się denerwują, bo ich diagnozy to się potwierdzają, to znów wykluczają. Jedni mówią o guzie, inni o wadzie genetycznej, jeszcze inni utrzymują, że to padaczka. W końcu okaże się, że ci ostatni mieli rację, ale na razie targają mną wątpliwość, boję się, ponieważ coraz częściej mam ataki. Po każdym kolejnym coraz bardziej pogrążam się w beznadziei.

Nie mogę już na siebie patrzeć. Świadomość, że nieprzytomna i wystawiona na widok publiczny leżę na ziemi, jest dla mnie nie do zniesienia. Wiem, że jestem ładna, wszyscy mi to powtarzają, dlatego cierpi na tym moja duma. Atrakcyjna dziewczyna nie może sobie pozwolić na to, by stać się obiektem takiego spektaklu, nie może więc się na ziemi niczym glista. Być może to głupie, pretensjonalne, dziecinne, ale czuję się upokorzona przez te publiczne ataki. Uważam, że to jest poniżające, a ich aspekt psychologiczny niszczy mnie na równi z samą chorobą.

Moje samopoczucie znów się pogarsza. W chwili gdy próbuję się podnieść, ponownie zagłębiam się w morzu wątpliwości, znów przytłoczona tym okropnym poczuciem, że zatruwam życie moim bliskim i ciągle przysparzam im kłopotów.

Wiele razy podczas moich napadów ojciec znosił mnie na plecach do samochodu i zawoził do szpitala. Kiedy się o tym dowiaduję, jestem przerażona. Tata ma przecież problemy z sercem. Przez to, że mnie dźwigał, narażał swoje życie! Błagam go, żeby już nigdy więcej tego nie robił. Mam świadomość, że staję się coraz bardziej zależna od rodziny, przyjaciół, i coraz trudniej jest mi się z tym pogodzić.

Tymczasem wszyscy są dla mnie bardzo mili. Na wydziale otaczają mnie przyjaciółki, pilnują, jak tylko mogą, i zjawiają się przy najdrobniejszych problemach. Profesorowie również wykazują się zapobiegliwością, są uważni. Wszyscy starają się mi pomóc, abym nie czuła się przytłoczona tą sytuacją. Dyrektorka uniwersytetu, lekarka, zaproponowała mi nawet, żebym u niej zamieszkała, ponieważ w ten sposób będzie mogła kontrolować mój stan zdrowia.

Głęboko ujęła mnie ta oferta, ale wolałam niczego nie zmieniać i nadal mieszkać w domu. Bliskość rodziny jest także konieczna w takich bolesnych sytuacjach.

Jestem świadoma, że komplikuję innym życie, dlatego bardzo staram się być zawsze wesoła i uśmiechnięta. Nie jest to proste, ale zbieram w sobie siły i dużo żartuję, żeby rozbawić domowników. Jednak nie mam do tego serca i każdy widzi, że w gruncie rzeczy jestem smutna i nieszczęśliwa. Dlatego wszyscy próbują mnie podnieść na duchu.

Przede wszystkim pociesza mnie jeden z naszych sąsiadów i przyjaciół rodziców, Abu Sułtan, mężczyzna w starszym wieku, który traktuje mnie jak własną córkę. Jest spikerem w saudyjskim radiu. Łączy nas ogromna zażyłość od chwili, gdy dowiedział się o moim zainteresowaniu literaturą. Pewnego dnia widzi, jak piszę coś w zeszycie, i zaciekawiony chce przeczytać mój tekst. Po lekturze mówi z uznaniem:

- Jest bardzo dobry. Masz talent, umiesz pisać. Nic o tym nie wiedziałem.

On również lubi książki i to wspólne zamiłowanie do literatury zacieśnia naszą przyjaźń. Staje się to nawet pewnego rodzaju rytuałem. Kiedy tylko przychodzę do niego, zamyka na klucz drzwi do swojego gabinetu i narzeka.

- I co? Znowu przyszłaś podkradać mi książki...

To prawda, czynię w jego bibliotece prawdziwe spustoszenie, dlatego teraz zabronił mi pożyczać więcej niż jedną książkę, choć doskonale wie, że i tak uda mi się wyjść z dwiema lub trzema.

Mój serdeczny przyjaciel bardzo przeżywa moją chorobę. Często mnie odwiedza i próbuje znaleźć jakiś sposób, by poprawić mi humor. Któregoś dnia przychodzi z profesjonalnym magnetofonem firmy Nagra i tekstami, które poprzedniego dnia czytał w radiu. Siada naprzeciwko mnie i wręcza mi kartki.

- Masz, Raniu. Teraz zabawimy się w naśladowanie. Zajmiesz moje miejsce, nauczę cię podstaw mojego zawodu.

Przez następne dni Abu Sułtan przekazuje mi wszystkie swoje sekrety, które sprawiają, że jest dobrym spikerem. Uczy mnie, jak po cichu oddychać, nigdy nie kończyć zdania na wydechu i bezszelestnie przewracać kartki przed mikrofonem.

Odradza mi noszenie bransoletek i zegarka, ponieważ można narobić hałasu przypadkowym uderzeniem w stół. Abu Sułtan daje mi wszelkie niezbędne wskazówki, dzięki którym wiem, jak zachowywać się w radiu podczas audycji na żywo.

Poznanie radia niezmiernie mi się podoba. Angażuję się w to całym sercem, zwłaszcza że Abu Sułtan ciągle powtarza, że mam dobry głos i doskonałą dykcję. Jestem przykładną uczennicą. Jemu też się to podoba i sprawia radość.

W niedługim czasie przechodzimy na wyższy stopień wtajemniczenia. Abu Sułtan prosi, żebym - zamiast czytać jego teksty - napisała własny. Jestem trochę zbита z tropu.

- Tekst? Ale o czym?

- O czym chcesz. Opisz, co widzisz i czujesz. Napisz, o czym myślisz. Przecież bardzo dobrze sobie z tym radzisz w swoich zeszytach.

Powodowana fałszywą skromnością zaklinam się, że nigdy mi się to nie uda. W rzeczywistości, gdy tylko mój przyjaciel wychodzi, sięgam po pióro i z zacięciem piszę mój pierwszy artykuł. Jestem gotowa na nasze następne spotkanie. Na temat wybrałam nauczanie dziewcząt w szkole.

Abu Sułtan uwielbia odgrywać rolę profesora, ale wraz z upływem czasu zauważam, że ton naszych spotkań zaczyna się zmieniać. Przechodzimy od podejścia ojcowskiego do profesjonalnego.

- Oto, jak z dziecka przemieniłaś się w kobietę - stwierdza któregoś dnia.

Tak! Najwyższy czas zdać sobie z tego sprawę. W końcu jestem już mamą!

Jego stosunek do mnie wcale się nie zmienia, jedynie nasze relacje stają się bardziej dojrzałe.

Pewnego wieczoru rozmawiam z nim w jego gabinecie, kiedy dzwoni telefon. Abu Sułtan zasłania się jakąś pilną sprawą i prosi mnie, żebym odebrała i zasugerowała rozmówcy, aby poczekał. Trochę zaskoczona spełniam jego życzenie.

Później się okaże, że przyjaciel użył fortelu. Nawet dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy za moimi plecami poprosił ojca o zgodę na to, żebym - jeśli będzie taka możliwość - odwiedziła radio. Nie obyło się bez trudności. Ojciec był bardzo sceptycznie nastawiony, ale w końcu (i oczywiście bez wielkiego entuzjazmu) uznał argumenty naszego przyjaciela. Potem Abu Sułtan wymyślił, że skontaktuje mnie z jednym ze swoich przyjaciół, Mohammedem, scenarzystą pracującym w MBC FM, saudyjskim radiu z siedzibą w Londynie. Poprosił go o telefon o konkretnej godzinie, ponieważ wiedział, że właśnie wtedy u niego będę. Dlatego sam udaje zajętego i prosi, żebym odebrała telefon. Po kilku minutach mojej rozmowy z Mohammedem Abu Sułtan przejmuje słuchawkę, a ja słyszę, jak odpowiada swojemu rozmówcy i przygląda mi się z rozbawieniem.

- To córka jednego z moich przyjaciół. Traktuję ją jak własną. Tak, tak, wiem, ma bardzo ładny głos. Ależ tak, to prawda, powinna pracować w radiu, zgadzam się z tobą, tylko że dobrze znam jej ojca. Gdybyś zaczął mu o tym mówić, na pewno roztrzaskałby ci głowę!

Słyszę w słuchawce szemrzący głos nieznanego rozmówcy i widzę, jak twarz mojego przyjaciela się rozpromienia. Żywo zainteresowany i zaintrygowany Mohammed koniecznie

pragnie się spotkać i przekonać mojego ojca do tego pomysłu. Jest o wiele lepiej, gdy ma się jeszcze jednego współnika! Wszystko poszło zgodnie z planem Abu Sułtana. W tym momencie on doskonale wie, że całe to przedstawienie odgrywane jest tylko dla mnie, bo tata już wcześniej wyraził zgodę. Całość została bardzo dobrze przemyślana! A ja siedzę w fotelu z szeroko otwartymi oczami i wciąż nic nie rozumiem.

Abu Sułtan odkłada słuchawkę i wyjaśnia sytuację. Nie wierzę własnym uszom. Jestem szczęśliwa, dziękuję mu, ale boję się. Zapewniam go, że nie będę w stanie... Już sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

W przeciwieństwie do innych stacji radiowych w Arabii Saudyjskiej, które nadają programy w klasycznym arabskim, MBC FM posługuje się językiem potocznym. Radiostacja dociera do szerszej, bardziej masowej publiczności. Mohammed został wyznaczony do przygotowania nowocześniejszych audycji niż te tradycyjne, proponowane przez inne stacje.

W związku z tym zaplanował cykl programów o egipskiej piosenkarce Umm Kulthum, niekwestionowanej gwiazdzie w świecie arabskim. Chciałby przedstawić wszystkich, którzy z nią współpracowali - tekściarzy i aranżerów. Aby ożywić emisję, Mohammed zamierza zgromadzić wokół siebie młodą i dynamiczną ekipę. Chce skończyć z potwornymi nudami z przeszłości. Właśnie powiedział o tym Abu Sułtanowi, bo uważa, że się do tego nadaje i mogłabym zostać członkiem jego zespołu, jeżeli tylko przejdę próby techniczne.

Mój mentor nie traci czasu. Już następnego dnia jadę do studia MBC FM mieszczącego się w centrum Dżuddy. Towarzyszy

mi ojciec. Nie ma mowy, żeby puścił mnie samą w miejsce, gdzie jest tylu *mężczyzn*. Zezwolił na wizytę, ale nie należy przesadzać ze swobodnym traktowaniem.

Zaraz po przyjsciu sadzają mnie przed mikrofonem i dostaję do przeczytania tekst. Mohammed przyznaje, że podoba mu się mój głos, ale inny mężczyzna, szorstki i surowy Sulejman, realizator, nie podziela jego zdania. Moje wystąpienie zupełnie mu się nie podoba i wyraźnie daje mi to do zrozumienia.

- Wcale nie jest dobrze.

Jestem wściekła, że mój ojciec był świadkiem tej porażki. Dla mnie jest jasne: moja kariera w radiu właśnie się kończy. Wkładam moje rzeczy do torby, kiedy Mohammed interweniuje.

- Nie, nie, Raniu, nigdzie nie idziesz. Zaczniemy od nowa. Radiowiec to zawód, którego można się nauczyć.

Niestrudzenie powtarzam mój tekst, chyba dziesięć razy uwzględniając uwagi realizatora. W następnych dniach, zawsze w towarzystwie ojca lub brata, pobieram kolejne nauki i Sulejman wciąż mnie nie oszczędza. Nic nie ujdzie jego uwagi. To okropne. Jestem wytrwała, ale często chce mi się płakać z powodu surowego traktowania. Każe mi pracować nad głosem i ciągle na mnie krzyczy.

- Donośnij! To powinno wychodzić z głębi trzewi...

To znaczy, że robię postępy. Wkrótce zaczynamy nagrywać pierwszy odcinek serii. Potem nastąpi czternaście kolejnych. W końcu nawet Sulejman jest zadowolony. Ze śmiechem przyznaje, że specjalnie był wobec mnie surowy, żebym szybciej robiła postępy.

- To dla twojego dobra. Chcieliśmy, abyś się szybko nauczyła!

Dla mojego dobra! Mógł mi oszczędzić tych scen w obecności ojca i brata, nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku wygrałam.

Po skończeniu nagrań znów koncentruję się na studiach, ale przygoda z radiem nie pozostaje bez śladu. Jest oczywiste, że nagrywanie programu w radiu interesowało mnie o wiele bardziej niż moja edukacja. Nic o tym nie mówię ojcu, ale przeczuwam nadchodzące zmiany, które szykuje dla mnie los.

Dowiaduję się, że jeden z moich sąsiadów, Al-Ammari, jest reżyserem telewizyjnym i poszukuje prezenterki. Bardzo szybko znajduję pretekst, aby się z nim spotkać i opowiedzieć o mojej przygodzie z MBC FM oraz planach związanych z radiem lub telewizją.

Wszystko doskonale się układa, bo stacja zatrudniająca Al-Ammariego, Channel 1, ma zamiar zmienić swój wizerunek. Kilka pracujących tam kobiet się zestarzało i, trzeba szczerze przyznać, nie są zbyt piękne. Ponadto w większości to cudzoziemki, podobnie jak duża część pracujących tam mężczyzn. Channel 1 chciałaby oddać stację Saudyjczykom i odmłodzić kadry. Tak więc sąsiad uznaje, że z moim doświadczeniem wyniesionym z MBC FM mogę doskonale spełnić wszelkie wymogi.

Al-Ammari proponuje, żebym spróbowała.

Kilka dni później idę do studia na nowe próby. Znów oczywiście towarzyszy mi ojciec. I tak po radiu odkrywam telewizję.

Za Al-Ammarim wchodzę do czegoś w rodzaju akwarium - szklanego, wyciszonego pomieszczenia. Zamykają się ciężkie metalowe drzwi. Całość robi wrażenie. W środku znajdują się trzy kamery. Al-Ammari sadza mnie naprzeciwko jednej z nich.

Daje mi książkę i tłumaczy, że gdy technik rozpocznie nagranie, nad kamerą zaświeci się czerwona lampka.

- Wtedy zaczniesz czytać tekst. Staraj się przy tym patrzeć w obiektyw. To nie jest takie proste.

Kilka sekund później słyszę w głośnikach odliczanie: „Pięć, cztery, trzy dwa, jeden, zero...”. Zaczęło się, słyszę terkot kamery, więc czytam pierwsze słowa. Czuję się dziwnie swobodnie i nie mam żadnych problemów z czytaniem i spoglądaniem w kamerę. Wszystko idzie tak dobrze, że nagle na drugiej kamerze zapala się czerwone światełko, a potem jeszcze na trzeciej. Mój wzrok przechodzi z jednej na drugą, w zależności od tego, gdzie właśnie zaświeciło się światełko. To wszystko jest niesamowicie ekscytujące. Mam wrażenie, że operatorzy prowokują mnie do kręcenia głową, by bawić się moim kosztem.

Po kilku minutach znów słyszę głos:

- Dobra, cięcie.

Al-Ammari promienieje radością i zbliża się do mnie.

- Było doskonale. Tak dobrze, że - jak zauważyłaś - kręciliśmy trzema kamerami. Zazwyczaj z osobami początkującymi próbujemy tylko jedną kamerą. Brawo! Szybko się uczysz, a to rzadkość.

Potem mój sąsiad zabiera ze sobą kasetę z nagraniem, które właśnie zrobiliśmy, a mnie każe czekać. Parę minut później oświadcza:

- Nasz dyrektor właśnie obejrzał fragment kasyety z twoim nagraniem i chciałby spotkać się z tobą i twoim ojcem.

Dyrektor Channel 1 - Tarek Riri - jest człowiekiem budzącym respekt, pełnym kurtuazji i uśmiechniętym. Zaprasza nas, abyśmy usiedli, i przygląda mi się wnikliwie.

- Jak na nowicjuszkę wypadła pani bardzo dobrze. Chciałbym panią zatrudnić.

Następnie zwraca się do mojego ojca:

- Czy pan się zgadza? Jeśli pani Ranią zacznie z nami pracować, to będę ją traktował jak własną córkę.

Oszołomiony ojciec się zgadza. Tarek Riri daje mi cztery dni na zrealizowanie mojego pierwszego reportażu.

Niezbyt daleko szukam tematu. Wolę poruszać się po známym mi terenie. Proponuję zaprezentowanie wydziału, na którym się uczę. Dyrektorka się zgadza. Operator wyjątkowo dostaje zgodę na wejście na teren uczelni, ale oczywiście w dniu, kiedy studentki będą nieobecne.

Abu Sułtan przygotował mi pytania, które powinnam zadać, oraz rozkład cięć i scenariusz montażu całej emisji. Pozostaje mi tylko stosować się do jego wskazówek. W teorii wydaje się to proste, jednak trochę się boję.

Ponieważ spotykam się z dyrektorką, przy okazji mogę ustalić ewentualne zmiany w planie zajęć, w razie gdyby nałożyły mi się obowiązki w pracy i na studiach. Mój ojciec jest wspaniałomyślny, lecz ostrożny - zgodził się na współpracę z telewizją, ale pod warunkiem, że będę kontynuować studia. Dyrektorka wykazuje duże zrozumienie.

Pierwszy reportaż podoba się dyrekcji, dlatego przygotowuję następne. Zaczynam piąć się w górę. Taki rozwój wypadków pozwala mi odsunąć myśli o chorobie na drugi plan, choć wciąż miewam ataki. Jednak staram się o tym zapomnieć.

Wkrótce dyrekcja Channel 1 proponuje mi stworzenie i prowadzenie nowego programu, który ma być nadawany rano

i nazywać się *This morning in Kingdom* (*Poranek w Królestwie*). Nazwa nawiązuje do tytułu filmu *Good Morning, Vietnam*. Tematem programu jest codzienne życie w kraju - będę robiła reportaże w różnych regionach państwa.

Ta praca pozwala mi głęboko wniknąć w problemy naszego społeczeństwa.

* * *

Moje pierwsze pojawienie się w telewizji zaskoczyło publiczność, ale nie wywołało takiego zamieszania, jakiego się obawiałam. Uprzywilejowane klasy społeczeństwa, przyzwyczajone do podróżowania, zdziwiły się tak odważnym postępowaniem w Arabii, ale nie były zaszokowane. Z kolei masowa publiczność została wzięta z zaskoczenia i nie zdążyła zaprotestować. Niektórzy z pewnością chcieliby to zrobić, ale w imię czego? Nie naruszono żadnego nakazu religijnego.

Bardzo szybko zaczynam odczuwać, że telewidzowie przyzwyczajają się do mojej obecności na ekranie. Kontynuuję przygotowywanie reportaży i nabieram pewności siebie. Po kilku tygodniach bycia na antenie sama organizuję sobie pracę. Nie potrzebuję pomocy Abu Sułtana, bo jestem już samodzielna. Na początku oglądalność jest na stałym poziomie, ale wkrótce zaczyna rosnąć tak, że producenci nabierają do mnie zaufania i proponują nowe kontrakty. Jeżdżę po całym kraju i w większości przypadków władze przyjmują naszą ekipę z otwartymi rękami. Cieszy mnie to, nawet więcej: jestem z tego dumna, ponieważ to oznacza zmianę nastawienia do kobiet. Liberalizacja ich statusu będzie trudna i powolna, ale to już duży krok

naprzód. Niektóre grupy społeczne stawiają opór, sama przekonuję się o tym w pracy. Zdarza mi się przyjść, jak należy, z zasłoniętymi włosami, ale i tak niektórzy mężczyźni odmawiają rozmowy ze mną. Nigdy nie nalegam, bo to oni sami powinni mnie zaakceptować. Nie będę nikogo zmuszać, im pozostawiam decyzję. Prędzej czy później zrozumieją, że są w mniejszości.

Spotykam się również z niechęcią ze strony kobiet. Niektóre pełnią ważne funkcje lub bardzo się angażują społecznie, ale nie chcą ze mną rozmawiać ani mi się zwierzać. Występowanie w telewizji jest sprzeczne z tradycją, w której się wychowały, i nie leży w ich naturze.

Odnoszę sukcesy, moje programy budzą coraz większe zainteresowanie. Członkowie miejscowych i krajowych władz chcą występować w moich audycjach. Inni, którzy mnie ignorują, sami stawiają się na straconej pozycji, bo pozostają na marginesie. Nie należy jednak ulegać złudzeniu - nie chcę powiedzieć, że moje reportaże są takie ważne dla Królestwa, jednak są modne. A skoro tak, to dobrze mieć z nimi jakiś związek, nawet w takim kraju jak Arabia, która bardzo dba o zasady. Można być wiernym tradycji bez upatrywania rewolucji w czymś, co jest tylko ewolucją. I właśnie to stanowi sedno treści edukacyjnych, które dyrekcja Channel 1 próbuje przekazać za moim pośrednictwem. Mam tego pełną świadomość i niełatwo jest mi zachować dystans do siebie. Kobieta-symbol, kobieta-gwiazda w wieku dwudziestu dwóch lat - oto kim jestem, i to w kraju, gdzie liczą się tylko mężczyźni! Taka pozycja może spowodować szybkie uderzenie wody sodowej do głowy! Muszę uważać, żeby nie przesadzić. Powinam trzeźwo myśleć. Byłoby głupota

przez próżność zmarnować taką piękną przygodę i - co ważniejsze - taką szansę na dalszy postęp, który ułatwi życie saudyjskim kobietom.

Dzięki troskliwej pomocy Abu Sułtana i mojego dyrektora dosyć dobrze radzę sobie z całą sytuacją i po kilku miesiącach pracy zostaję całkowicie zaakceptowana przez telewizjów, w tym również przez mężczyzn, którzy coraz liczniej oglądają moje programy. Przyzwyczajają się do mojego widoku. Moja obecność w telewizji już im nie przeszkadza, niektórzy nawet posuną się dalej - będą się przyznawać, że jej sobie życzą. Moje audycje sprawiają, że obecność kobiet w mediach przestaje dziwić, a ja sama niemal od razu staję się gwiazdą. Ranią Superstar z Dżuddy to już jest coś!

Sukces pozwolił mi działać na własną rękę. Zaakceptowano mnie jako kobietę. Teraz mogę poświęcić się bez reszty nowemu zawodowi dziennikarki, prezenterki i animatorki, który stał się moją pasją. Przez cały czas zastanawiam się nad tematami i szukam pomysłów.

Pewnego dnia zauważam, że żaden program nie upamiętnia rocznicy proklamacji Królestwa Arabii Saudyjskiej, zjednoczenia regionów przez Ibn Sauda 23 września 1932 roku. Wydaje mi się, że powinniśmy jakoś uczcić rocznicę tego wydarzenia, dlatego przygotowuję projekt, który następnie przedstawiam dyrektorowi. Mam zamiar zorganizować oficjalną ceremonię na plaży w Dżuddzie, z defiladą straży królewskiej w galowych mundurach, a potem przemarsz wojsk w tradycyjnych strojach z epoki. Całość ma być sfilmowana i transmitowana na żywo,

a jakże! Zarząd jest zachwycony pomysłem i dostaję wolną rękę, aby wszystkim się zająć.

Niestety, już w następnych dniach przekonuję się, w co się wpakowałam. Niby nie ma żadnych problemów, wszyscy pochwalają mój pomysł, są zadowoleni i chcą brać w tym udział. Ale kiedy tylko dochodzi do kwestii pieniędzy czy organizacji prób, transportu koni lub ludzi, napotykam przeszkody administracyjne, które jednak wcale mnie nie zniechęcają. Z uporem próbuję przemycić ideę sponsoringu, która w Arabii wciąż nie jest jeszcze popularna. Nie tylko udaje mi się zgromadzić fundusze, ale przedsięwzięcie nawet przynosi zyski, co w znacznym stopniu ułatwia mi zadanie.

Jestem bardzo zaangażowana. Chcę wszystko dobrze zorganizować i wierzę, że się uda. Jednak znów mam okazję się przekonać, jak wielu z moich rozmówców dziwi się, że mają do czynienia z kobietą. Załatwianie z nią interesów ciągle jest rzeczą niezwykłą. Tradycjoniści w końcu jednak mnie zaakceptują, ponieważ zaczynam być znana - gdyby nie ten fakt, niektóre drzwi wciąż pozostawałyby przede mną zamknięte.

Mimo wszystko udaje mi się przezwyciężyć wszelkie przeszkody i 23 września wieczorem, kiedy słońce zachodzi i światło staje się bardziej delikatne, serwujemy telewizjom pierwszą w naszej historii wielką paradę transmitowaną na żywo.

Przez ponad godzinę płaszcze konnicy powiewają na wietrze w rytm stukotu końskich kopyt. Orkiestra wojskowa daje z siebie wszystko i zagłusza krzyki rozentuzjzmowanego tłumu, który nie jest w stanie powstrzymać się od głośnego wyrażania radości. Przyjemnie jest przyglądać się tym wszystkim ludziom

zadowolonym ze spektaklu. Transmisja odnosi sukces. Stają się jeszcze bardziej popularna.

* * *

Sława nie upoważnia mnie ani do zaniebywania obowiązków muzycznym, ani do odstępowania od zwyczajów kultury patriarchalnej. Jestem samotną kobietą, ale moja rosnąca popularność sprawia, że zapomniano o moim rozwodzie. Stają się rozchwytywaną osobą. Również przez mężczyzn, i to nie byle jakich, którzy spieszą prosić ojca o moją rękę. Ten przebiera wśród kandydatów. Istne szaleństwo! Daje się zauważyć, że ojciec przestał już narzekać na to, że jego córka pracuje w telewizji. Można by powiedzieć, że nawet jest z tego zadowolony. To jeszcze jeden powód, dla którego chce zaznaczyć swoją ojcowską władzę i przywileje.

Pozwalam mu zająć się moim przyszłym małżeństwem do momentu, aż przedstawi mi kandydata, a wtedy skorzystam z prawa do przyjrzenia mu się. Nie jestem już małą dziewczynką, dlatego z chęcią podporządkuję się prawom Koranu, ale nie zamierzam powielać błędów z przeszłości.

I tak mam na głowie mnóstwo zupełnie innych spraw niż szukanie męża. Praca w telewizji zabiera mi czas, regularnie chodzę na zajęcia na uczelni, a wolne chwile poświęcam córce. Nie wiem, gdzie w tym wszystkim miałyby się jeszcze znaleźć miejsce dla jakiegoś mężczyzny.

Tymczasem liczba kandydatów do mojej ręki ciągle rośnie. Zjawiają się zewsząd. Pewnego dnia w siedzibie telewizji jeden z nich składa mi płomienne wyznanie. Jest to czterdziestoletni

piosenkarz o ciemnej skórze. Przyjechał nagrywać piosenkę do programu rozrywkowego i kiedy tylko mnie zobaczył, wypadł ze studia nagraniowego, aby mnie przywitać. Zaczyna prawić mi komplementy, zapewnia, że jestem kobietą jego marzeń, chwali jakość moich programów i talent, z jakim je prowadzi. Zasypuje mnie lawiną pochlebstw, a następnie oświadcza, że ma zamiar poprosić ojca o moją rękę i zna już jego adres. Nic dodać, nic ująć.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie jestem w stanie nic z siebie wydusić. Mamrocę jakieś banały i zostawiam go z jego marzeniami. Jednakże po przyjeździe do biura dociekam, kim był ten człowiek.

- Raszid - pada odpowiedź. - Afrykański piosenkarz. Nie przestaje pytać o ciebie.

Piosenkarz... I to z Afryki... Już sobie wyobrażam minę ojca, kiedy ten Raszid do niego przyjdzie! Najpierw córka pracująca w telewizji, a teraz jeszcze czarnoskóry zięć, piosenkarz. Ojciec, który marzy tylko o ropie, finansach i gospodarce, raczej nie będzie zachwycony...

Kres wolności

Biedny tato, nic nie zostało mu oszczędzone. Kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu w siedzibie Channel 1 do ojca przychodzi Raszid i prosi o moją rękę. Ojcu z oburzenia brakuje tchu. Piosenkarz?! I Afrykanin?! Tylko tego jeszcze brakowało! Wśród burżuazji saudyjskiej Murzyni zawsze są kojarzeni ze służbą, a przecież każdy powinien znać swoje miejsce. Nie należy mieszać ras.

Dlatego mój ojciec z miejsca po prostu odmawia. Ale Raszid upiera się przy swoim, ponawia prośby, nagabuje ojca i w ogóle nie zdaje sobie sprawy ze złego wrażenia, jakie robi. A ja nie spoglądam na niego już w taki nieprzychylny sposób. Fantazja i pewność siebie tego dobrze zbudowanego, pociągającego mężczyzny mnie intrygują. Uważam, że jest ujmujący. Ciągłe szuka nowych okazji do przypadkowych spotkań ze mną. Nie ma dnia, żebym gdzieś na niego nie wpadła. Przesiaduje przed moim biurem, a kiedy tylko mnie widzi, zaczyna wygłaszać górnolotne i płomienne deklaracje. Jego poczynania są tak nietypowe, że aż jestem

ciekawa, jak daleko może się posunąć. Zdarza mi się go wyczekiwać, a determinacja, z jaką dąży do uzyskania zgody ojca na małżeństwo, nawet mi pochlebia. Zresztą mówię o tym tacie, który wcale się nie dziwi. Teraz spodziewa się po mnie wszystkiego najgorszego. Ale tego już za wiele. Doprowadzam go do rozpacz.

Raszid nie daje ojcu chwili wytchnienia, bo narzuca się każdego dnia. Po prostu śledzi go i zaczepia wszędzie, gdzie się da, żeby bronić swoich racji. Ojciec dochodzi do wniosku, że go okłamuję i już utrzymuję jakieś stosunki z tym mężczyzną. Dzieli się ze mną swoimi wątpliwościami. Takie podejrzenia mnie irytują. Kiedy tylko spotykam Raszida, proszę go, aby przestał nagabywać tatę. Potępiam jego postępowanie, ponieważ denerwuje ono ojca, ale w skrytości ducha podziwiam wytrwałość i upór piosenkarza. Tata nie podziela moich odczuć. Wkrótce nie wytrzyma i wybucha:

- Ja ci daję wolność, zezwalam, abyś pracowała w telewizji, a ty mi się w ten sposób odwdzięczasz?! Skoro tak, to koniec z reportażami i studiami nagrań. Od jutra zostajesz w domu.

Po tych słowach zamyka mnie w pokoju i dzwoni do mojego dyrektora, aby go poinformować, że jestem chora. Pozostanę w zamknięciu przez dwa miesiące.

Tymczasem Raszid wcale nie rezygnuje. Przedstawia całą sytuację jednej ze swoich sióstr mieszkającej w Stanach Zjednoczonych i prosi ją o pomoc. Młoda kobieta natychmiast przylatuje do Dżuddy i zabiega o spotkanie z moim ojcem. Wbrew zasadom ojciec zgadza się na rozmowę z kobietą wyłącznie dlatego, że ona mieszka w Ameryce. Tak to już jest. I nie tylko ją przyjmuje, lecz także daje się przekonać do zmiany zdania.

Nagle tata wchodzi do mojego pokoju ze zwitkiem banknotów w ręku.

- Naprawdę chcesz wyjść za tego Raszida?

Zaskoczona rzucam się na głęboką wodę.

- Tak.

Obojętnym gestem tata rzuca pieniądze na łóżko.

- Bardzo dobrze. To jest twój posag.

Wbrew przewidywaniom ojciec się poddaje. Z dnia na dzień zmienia zdanie. Ponieważ chcę poślubić tego czarnoskórego szaleńca, on godzi się na to małżeństwo. Przystaje na wszystko i chce załatwić to jak najszybciej, żeby moja sytuacja została wreszcie uregulowana. W zamian za swoją zgodę na nasz ślub stawia Raszidowi tylko jeden warunek: jeśli chce śpiewać, może to robić wieczorami, ale musi znaleźć „uczciwą” pracę w ciągu dnia.

Uradowany upragnionym pozwoleniem Raszid zaczyna szukać stałej pracy. Niestety, szybko się przekonuje, że przeszkodą jest brak jakiegokolwiek wykształcenia i kompetencji. Jeden z jego przyjaciół załatwia mu posadę urzędnika w izbie handlowej Dżuddy. To wystarcza. Honor zostaje uratowany.

W ten sposób Raszid dostaje zielone światło do małżeństwa. Nic nie mówię, ale domyślam się, że źle się czuje w swojej nowej pracy. Nie wyobrażam go sobie, jak przez cały dzień tkwi za biurkiem i przekłada papierki. Nie przypuszczam, żeby mógł tam długo wytrzymać. Zdziwiłoby mnie, gdybym się myliła. No cóż, wkrótce się przekonamy. Przynajmniej nic już nie stoi na przeszkodzie mojemu ślubowi. Nie przeczuwam, że znajduję się na prostej drodze do katastrofy. Powoli zbliżam się do tego okropnego 4 kwietnia, który mnie zniszczy. Moje

przeznaczenie zaczyna się wypełniać, a moje życie każdego dnia będzie się coraz bardziej rozpadać...

Drugie wesele wcale nie przypomina pierwszego. Nie ma mowy o świętowaniu. Tym razem wszelkie przygotowania trwają krótko i są owiane tajemnicą. Nie ma zawiadomień, zaproszeń, a sama uroczystość kończy się po kilku minutach. Ogranicza się do czysto prawnego aktu. Czuję, jak ojciec naciska, aby możliwie najszybciej to zakończyć. Nie przejmuję się nawet tym, że Raszid nie ma grosza przy duszy. To go już nie interesuje. Życzy sobie tylko, żebym zeszła mu z oczu i zniknęła z jego życia. Jasno mi to oświadcza: związek został sformalizowany, on nie chce mnie więcej widzieć, dla niego już nie istnieję. Tata bardzo źle znosi moje małżeństwo z Afrykaninem. Społeczeństwo saudyjskie, a w szczególności burżuazja, jest bardzo powściągliwe w stosunku do mieszanych małżeństw. Mój ojciec formalnie nie sprzeciwił się temu związkowi, ponieważ chciał, żebym odeszła z domu. Pozostali członkowie mojej rodziny nie są wcale bardziej entuzjastycznie nastawieni do faktu, że Murzyn wszedł do naszej rodziny. Nawet wuj Farid daje mi to do zrozumienia. Tak więc nikt nie chce świętować. A ja zostaję wyłączona z kręgu najbliższych osób.

Mój drugi ślub przeprowadzony w tak ekspresowym tempie nie pozostawia mi nawet czasu na zastanowienie się nad tym, jak będzie wyglądało nowe życie, które mnie czeka. Tym bardziej że to, co udaje mi się przelotnie zauważyć, nie wygląda najlepiej. Przynajmniej teraz zaangażowałam się uczuciowo...

Szybko dociera do mnie, że kariera artystyczna Raszida jest iluzoryczna. Mąż nie ma angażu, na horyzoncie nie rysuje się

żadna szansa na kontrakt, brak też jakichkolwiek projektów. Ale *czekają* mnie *jeszcze* inne niespodzianki. Raszid w ostatnim momencie wyznaje, że jest rozwiedziony. Nic o tym nie wiedziałam. Ale to nie wszystko - mój mąż ma już trzy córki i syna, który ma zamieszkać razem z nami, podobnie jak jedna z jego córek. Zostaję postawiona przed faktem dokonany. Nie podoba mi się ani to spóźnione oświadczenie, ani dzieci, które mi się narzuca bez zapytania mnie o zdanie, ale teraz nie mogę się już wycofać, a raczej nie chcę tego robić. Jestem tak zmęczona komplikacjami w moim życiu, że akceptuję całą sytuację, choć nie zdaję sobie sprawy, co mnie czeka.

Dopiero gdy przeprowadzam się do mojego nowego mieszkania z córką, Raszidem i dwójką jego dzieci, zaczynam pojmować powagę sytuacji. Wychowywałam się w przestronnym domu rodzinnym dziadka w Mekce, a teraz znajduję się w maleńkim dwupokojowym mieszkaniu, które Raszid wygospodarował w budynku, gdzie mieszkają jego rodzice. Warunki życia są trudne. Oczywiście wiem, że czasy się zmieniły, nawet u nas, i rodziny żyjące w nowych mieszkaniach mają do dyspozycji znacznie mniejszą przestrzeń niż w dawnych domostwach. Mimo to czuję się uwięziona na tych kilkunastu metrach kwadratowych. Zmiana jest zbyt nagła. Meble są tak samo skromne jak wnętrza: stół ze sklejki, cztery krzesła (każde inne), duże łóżko z materacem twardym jak skała i... to wszystko. Aby coś ugotować, muszę zmagać się z porzdezwiątymi i poobijanymi naczyniami kuchennymi.

Zamiast ubolewać nad swoim losem, myślę o podróży poślubnej, którą na szczęście zaplanowałam i podarowałam sama

sobie. Dzięki pracy w telewizji udało mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy które zamierzam wydać razem z mężem w Londynie i Paryżu. Rodzice zajmą się Rahaf, a dzieci Raszida na czas naszej wyprawy pojedą do swojej matki. Bardzo potrzebuję odmiany. Po tych wszystkich wydarzeniach podróż poślubna będzie dla mnie najlepszym lekarstwem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy moje życie wywróciło się do góry nogami, dlatego teraz muszę trochę przystopować i złapać oddech.

* * *

Znam Londyn, bo byłam tam z rodzicami przy okazji jakiegoś służbowego wyjazdu ojca. Cieszę się, że znów zobaczę to miasto, które tak bardzo lubię. Nie mogę się doczekać dnia, w którym pokażę je mężowi. Ale Raszid nie podziela mojego entuzjazmu.

W czasie lotu nie zadaje mi żadnego pytania dotyczącego Anglii. Ciekawi go jedynie, w którym hotelu się zatrzymamy. Sheraton w centrum miasta, gdzie zarezerwowałam pokój, chyba mu odpowiada, ale nie chce nic więcej wiedzieć. Dziwi mnie całkowity brak zainteresowania naszą podróżą, ale kładę to na karb dużych emocji.

Po przyjeździe do hotelu stwierdzam, że poważnie się myliłam. Zaraz po zakwaterowaniu w pokoju Raszid rozsiada się w fotelu przed telewizorem, podczas gdy ja zajmuję się rozkładaniem ubrań w szafie. Aż do tego momentu nic nie mówię. Nalewam wody do wanny, po czym odprężam się w ciepłej kąpieli.

Pół godziny później Raszid wciąż tkwi w fotelu z półprzykniętymi oczami. Z tą tylko różnicą, że nalał sobie sok, który

teraz sączy. Odślaniam zasłony. Za oknem Londyn wibruje, kipi, dźwięczy. Mam wielką ochotę wmieszać się w tłum. Odwracam się do Raszida.

- Chcesz się wykapać przed wyjściem?

- Nie. Nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

Jest zaledwie południe, patrzę na niego zdziwiona.

- Nie zostaniemy tu chyba przez cały dzień?

- A dlaczego nie? Tu jest bardzo dobrze.

Trzy dni... Trzy dni nie wychylamy nosa, trzy dni siedzimy zamknięci w hotelu. Śniadaniejemy w pokoju, obiad w restauracji na dole, kolację w restauracji na górze. Co gorsza, mam zakaz wychodzenia sama - w końcu mąż tu rządzi. Nie ma co, zabawnie się zaczyna nasze wspólne życie... Po trzech dniach mam serdecznie dość tego quasi-więzienia. Uznaję, że żarty się skończyły. Nie po to pojechałam w podróż poślubną do Londynu, żeby oddawać się tylko dwóm zajęciom: siedzeniu przed telewizorem w pokoju hotelowym i kochaniu się. Zirytowana podejmuję ostatnią próbę i pytam Raszida:

- Wciąż nie chcesz wychodzić?

- Już ci powiedziałem, że nie! W pokoju jest mi bardzo dobrze.

- Tak więc ja wychodzę sama!

Raszid aż podskakuje w fotelu.

- Co?

- Dobrze zrozumiałeś. Wychodzę sama. Jest ładna pogoda, jesteśmy w Londynie, nie będę siedziała zamknięta w czterech ścianach przez całe wakacje.

-Jeśli wyjdiesz, to stłukę cię na kwaśne jabłko.

Mimo to zakładam kurtkę, potem odgrywam scenę wychodzenia z pokoju (specjalnie trzaskam drzwiami), w rzeczywistości jednak roztropnie zostaję na miejscu. Słyszę odgłosy jakiegoś zamieszania. Rozbawiona czekam. Kilka sekund później mój mąż z takim impetem wypada z pokoju, że mnie popycha. Kiedy dociera do niego, że jednak nie wyszłam, uspokaja się.

- Dobra, pójdę z tobą.

Zabieram go do Hyde Parku, a potem jedziemy taksówką aż na Piccadilly. Podczas całego spaceru Raszid nie odzywa się ani słowem. Nic go nie interesuje. Jest obrażony i naburmuszony jak dzieciak. Gdy w końcu docieramy do hotelu, odczuwam ulgę. Następnego dnia, nawet nie pytając go o zdanie, uprzedzam, że pójdę się przejść sama. Trochę marudzi, ale się zgadza.

Nareszcie mogę się nacieszyć miastem i w nim zanurzyć. Przez godzinę chodzę między półkami w słynnym Harrodsie, a potem los mi sprzyja - udaje mi się zobaczyć zmianę warty przed Pałacem Buckingham. Dlaczego Raszid nie chce tego wszystkiego obejrzeć? Nie potrafię tego zrozumieć.

Ja mam ochotę się bawić, korzystać z wakacji, a nawet - co już jest kompletnym szaleństwem - spacerować w minispódniczce. Ależ tak, w minispódniczce... To nie do pomyślenia w Arabii! Dobrze wiem, że Allah tego zabrania, ale przyrzekam, że zrobię to tylko raz, jeden jedyny raz, żeby się przekonać, jak to jest. Przedstawiam mój pomysł Raszidowi, ponieważ potrzebuję jego zezwolenia. Jest oburzony i bierze mnie za wariatkę.

- W minispódniczce? Będzie widać ci uda. Chyba nie mówisz serio...

Ależ mówię jak najbardziej serio. Oczywiście spodziewałam się takiej reakcji. Sprawa zostaje przesądzona kilka minut później w hotelowej windzie, gdzie pewien hiszpański turysta najpierw przypatruje mi się dłużej chwilę, a następnie mówi do Raszida:

- Gratuluję panu. Ma pan bardzo seksowną żonę.

Co za gafa! Spodziewam się najgorszego i z niepokojem wyczekuję reakcji mojego męża. To pewne, że zaraz wypruje flaki temu chamowi... Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Raszid uśmiecha się, przyjmuje komplement i chyba nawet traktuje tę uwagę jako pochlebstwo. Odkłania się i mówi:

- Thank you.

Jednak kiedy tylko hiszpański turysta wychodzi z windy, zwraca się do mnie:

- On uznał, że jesteś seksowna, nawet gdy jesteś normalnie ubrana. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyś miała minii¹

To jednak nie zmienia faktu, że nadal mam ochotę ją założyć. Ale to Bóg rozstrzygnie ten problem, ponieważ w Londynie nie jest zbyt ciepło, a w dodatku pada. Minispódniczka nie byłaby dobra na taką pogodę. Koniec z fantazjami.

Przez cały nasz pobyt Raszid idzie do miasta tylko trzykrotnie, w tym raz, aby towarzyszyć mi w kinie. I znów nie udaje mi się z niego wydusić ani słowa. Nie odzywa się - ani na temat Londynu, ani na temat filmu. Kiedy wychodzimy z sali kinowej, nie wytrzymuję - nagle wybucham płaczem i siadam na krawężniku. Nie mogę powstrzymać szlochu, który wstrząsa całym moim ciałem. I wtedy staje się coś rzadko spotykanego w Londynie, gdzie przeważnie ludzie nie zwracają uwagi na innych - zaintrygowani przechodnie zatrzymują się i nas

otaczają. Raszid wpada w panikę. Najpierw nerwowo się rozgląda, a następnie chwyta mnie i zarzuca sobie na ramię niczym worek kartofli. Potem wielkimi susami ucieka. Próbuje przy tym znaleźć taksówkę, a gdy mu się to w końcu udaje, wpycha mnie do środka i zatrzaskuje za sobą drzwi, tak jakby chciał uciec przed goniącym go tłumem. Potem bierze kilka głębokich oddechów i się odpręża. Ja również czuję się lepiej i zaczynam go przeproszać. Gdy wspominamy to, co się stało, oboje wybuchamy śmiechem.

Następnego dnia znowu samotnie przemierzam ulice Londynu. Bez żalu opuszczam mojego męża, który siedzi przed telewizorem. Po powrocie do hotelu czeka mnie niespodzianka: Raszida nie ma w pokoju. Nie zostawił żadnej wiadomości: ani na górze, ani w recepcji. Zaglądam do baru, restauracji, butików... Nigdzie go nie ma. Zastanawiam się, co go nagle skłoniło do wyjścia na dwór. To dziwne.

Raszid wraca do hotelu po godzinie osiemnastej. Od razu zadaję mu pytanie:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że chcesz wyjść? Gdzie byłeś?

- Miałem spotkanie z kimś z telewizji w sprawie kontraktu.

Zamurowało mnie. Jesteśmy w Anglii od kilkunastu dni i, jak dotąd, mój mąż ani razu nie wspomniał o tajemniczym kontrakcie. To już lekka przesada. Chcę wiedzieć coś więcej.

- Ale o jaki kontrakt chodzi?

- Program rozrywkowy z piosenkami dla stacji nadającej po arabsku. Ale myślę, że nic z tego nie będzie.

- Mogłeś mi o tym powiedzieć. Poszłabym z tobą...

- Tego właśnie chciałem uniknąć. Znam cię. Zaczęłabyś jedną z tych twoich gier i jeszcze zaproponowałabyś swoje pomysły, żeby zająć moje miejsce. Nie ma mowy.

Zatkało mnie. Mój mąż wystrzega się mnie. Robi wielką tajemnicę ze wszystkiego, ponieważ boi się, że zajmę jego miejsce... Cóż za zaufanie! To wygląda obiecująco, nie ma co! Zachowanie Raszida nie tylko mnie niepokoi, lecz także bardzo rozczarowuje. Nie zamierzam tego przed nim ukrywać. Przypominam mu, że jestem jego żoną, a do tego muzulmanką, i dlatego nigdy nie pozwoliłabym sobie na zrobienie czegokolwiek, co mogłoby mu zaszkodzić. Raszid wysłuchuje mnie, ale nie wydaje się przekonany. To mnie boli.

Po tej bezowocnej eskapadzie mój mąż nie wychodzi już z pokoju aż do naszego wyjazdu. Niepowodzenie planów zawodowych Raszida sprawia, że staje się jeszcze bardziej ponury. Gdzie się podział ten wesoły, tryskający życiem, energiczny człowiek, który uganiał się za mną?

Po Londynie zaplanowałam pięciodniowy pobyt w Paryżu. Może Miasto Świateł zainteresuje mojego męża? Mam taką nadzieję, ale nie bardzo chce mi się wierzyć, że coś się zmieni. Poza tym Raszid nie zadaje mi żadnych pytań na temat Francji, tak jak i przedtem nie pytał o Anglię. To zły znak.

Gdy przyjeżdżamy do Paryża, podliczam wydatki i stwierdzam, że powinnam trochę zacisnąć pasa. Moje fundusze nie są niewyczerpane, muszę nadzorować kaprysy Raszida i jego zamiłowanie do luksusu.

Nasz paryski hotel jest skromniejszy niż ten w Londynie, ale za to znajduje się dwa kroki od Champs-Elysees. Pokój jest

mniej przestronny niż w Sheratonie i Raszidowi nieszczególnie się podoba. Może dlatego od razu zgadza się towarzyszyć mi w długim spacerze od Łuku Triumfalnego do placu Concorde. Powiedzenie, że jest przepełniony radością, byłoby przesadą, ale zauważam pewien postęp - w Londynie nie widział przecież nawet Big Bena. Mimo to w najbliższych dniach bardzo się denerwuję, ponieważ nie udaje mi się wyciągnąć Raszida dalej niż na Champs-Élysées. Opowiadam mu o operze, dzielnicach Montmartre i Montparnasse, ale mąż nie chce o tym słyszeć. Nawet wieża Eiffla nie znajduje uznania w jego oczach, dlatego przez pięć dni oglądamy butiki i kawiarnie w dzielnicy, w której się zatrzymaliśmy. Jest to dla mnie frustrujące, ale nie mam już serca do samotnych wędrówek. Pewnie powinnam się cieszyć, że Raszid w ogóle raczy opuszczać pokój - to i tak już coś. Nie zostawię go przecież samego snującego się po ulicach wokół hotelu jak potępiona dusza. Poświęcam się dla niego, ale postanawiam, że muszę kiedyś wrócić do Paryża, żeby zwiedzić to miasto tak, jak lubię. Cóż, podróż poślubna nie zapisze się w mojej pamięci jako miłe wspomnienie...

* * *

Po powrocie do Dżuddy jest mi ciężko na sercu. Nie tylko dlatego, że Raszid popsuł moją podróż do Europy, ale także dlatego, że nawet mi za nią nie podziękował, a przecież został potraktowany po królewsku. Pewnie to ja powinnam być mu wdzięczna za to, że zechciał poświęcić mi swój cenny czas. Nie wspominając już o jego tajemniczym spotkaniu w telewizji, które wciąż stoi mi kością w gardle.

Tymczasem Raszid wcale nie jest zakłopotany. To wszystko wydaje mu się zupełnie normalne — tak samo jak dwa ciasne pokoje, w których każe nam mieszkać. On sam wcale nie interesuje się domem, a wyłącznie swoją pracą. Nie dlatego, że ona go pasjonuje, ale wręcz przeciwnie, ponieważ go nudzi. Tak jak przewidywałam, mój mąż nie znosi pracować w biurze. To dla niego nie tylko męka, ale także obraza, bo przecież jest artystą. Co wieczór słyszę, jak narzeka i ubolewa nad swoim losem. Nigdy nie pyta mnie, czy dobrze się miewam, czy nie potrzebuję pomocy. Tymczasem ja ze wszystkich sił staram się sprawić, żeby nasze mieszkanie było przyjemniejsze. Większą część moich zarobków w telewizji przeznaczam na zakup mebli i dekoracji. Tak umiejętnie dobieram przy tym ich rozmiary i barwy, aby optycznie powiększyć przestrzeń. Staram się ożywić otoczenie, ale to nie jest takie proste.

Raszid niczego nie zauważa i nic nie mówi. Nigdy nie прави mi komplementów i skąpi miłych słów. Nigdy nie dokłada ani jednego riala do wspólnego gospodarstwa. Kwestie finansowe wcale go nie zajmują. Nigdy nawet się nie zająknie na ten temat. Widocznie uważa, że jego płaca jest bardzo niska, a więc byłoby niewłaściwe, abym mu ją zabierała. Muszę więc tak dysponować tym, co mam, aby utrzymać rodzinę.

Sytuacja staje się dla mnie na tyle nie do zniesienia, że pewnego ranka, po czterech miesiącach zaciskania pasa, buntuję się. Bieżące problemy mieszają się z przykrymi wspomnieniami z podróży poślubnej: Londyn, Paryż, moje wysiłki fizyczne, finansowe, brak uznania ze strony męża... Mam tego dość. Coś we mnie pęka. Oświadczam Raszidowi, że razem

z Rahaf wyjeżdżam do wuja Farida, którego nie widziałam od czasu ślubu. Wuj i ciotka, tak bardzo przeze mnie kochani, traktują mnie bardzo ozięble, od kiedy poślubiłam Raszida. Nawet tym dwojgu, których cenię najbardziej na świecie, trudno zaakceptować sudańskie pochodzenie mojego męża. Nie umieją się z tym pogodzić i dlatego oddalają się ode mnie. Zgodzili się przyjąć mnie z córką tylko dlatego, że zobaczyli w tym jakąś zapowiedź separacji. Wszystko, co odsuwa mnie od Raszida, zbliża mnie do nich.

Po tygodniu spędzonym u wuja przyjeżdża Raszid, zawstydzony i skruszony. W ramach przeprosin ofiarowuje mi naszyjnik i błaga, żebym wróciła do domu. Przysięga, że mnie kocha, i zapewnia, że nie może beze mnie żyć. Mam słabość do Raszida i dlatego mu wierzę, ale mimo to się waham. Jednak wuj, który chce załagodzić sytuację, radzi, abym wróciła do swojego mieszkania. Robi to wbrew swoim odczuciom i jest zmuszony patrzeć, jak odchodzę z mężczyzną, którego on nie znosi.

Przez kilka dni po powrocie mąż jest dla mnie czuły. Ja również jestem w dobrym humorze i staram się wykorzystać tę okazję, aby pojednać się z Raszidem, dlatego dogadzam mu na każdym kroku. Chcę się przypodobać mężowi. Jednego wieczoru przygotowuję mu swego rodzaju domową łaźnię z malutką butlą gazową zainstalowaną w łazience po to, by wytworzyć parę wodną. Moja instalacja bardzo podoba się Raszidowi aż do chwili, gdy zdarza się wypadek. Mąż zostaje spryskany gorącą wodą, skóra strasznie go piecze i jest czerwona, ale mimo to oboje nie możemy powstrzymać się od śmiechu.

Aby wynagrodzić to mężowi, proponuję masaż i... znowu katastrofa, bo podczas tego zabiegu zrywam niechcący kawałki poparzonego naskórka. Ale Raszid nadal jest w dobrym humorze - chociaż czuje ból, znów oboje pokładamy się ze śmiechu.

Jednak idylla nie trwa długo. Bardzo szybko Raszid znów staje się zazdrosny i agresywny. Dzwoni do mnie do biura dzień po dniu, żeby sprawdzić, co robię. Wścieka się, kiedy słyszy, że jestem w telewizji lub przygotowuję reportaże.

- Jest tam zbyt wielu mężczyzn. Tak dalej nie może być! - powtarza mi bez przerwy.

Jedynym argumentem, który mam na swoją obronę, jest pytanie, z czego byśmy żyli, jeśli bym nie pracowała. Wciąż nie dostaję ani grosza z pensji męża i coraz bardziej mnie to denerwuje, ponieważ odkryłam, że regularnie przekazuje część pieniędzy swoim rodzicom. Podejrzewam, że utrzymuje całą swoją rodzinę, a to mi przeszkadza.

Czuję się jednak w obowiązku przestrzegać reguł postępowania, które sama sobie ustaliłam w imię zasad religijnych. Dbam o to, aby nasze małe mieszkanie zawsze było wysprzątane, żeby się w nim miło przebywało. Codziennie gotuję też potrawy, które wzbudzają u wszystkich zachwyty. Nawet Raszid przyznaje, że mam talent kulinarny - choć mówi to rzadko i tylko przy gościach. Jest to wyjątkowy komplement! Wszystkie moje przyjaciółki podziwiają wysiłki, które podejmuję, aby jak najlepiej spełniać rolę pani domu.

Dzielę swój czas między dom a Channel 1 i nie pozostaje mi go już wiele na studiowanie. W końcu staje się to, co musiało nastąpić - pewnego ranka dostaję list z informacją o skreśleniu

mnie z listy studentów z powodu zbyt wielu nieobecności. Jeśli mam być szczerą, ta wiadomość wcale mnie nie zasmuca. Już dawno temu zrezygnowałam z radiologii. Teraz zresztą i tak zajmuje mnie coś zupełnie innego - jestem w ciąży. Kocham dzieci, więc to dobra wiadomość, ale zadaję sobie pytanie, jak będziemy się gnieździć w szóstkę w dwupokojowym mieszkaniu. Wydaje mi się to niemożliwe. Nurtuje mnie też to, czy uda mi się pogodzić pracę z ciążą.

Raszid natychmiast rozwiązuje ten ostatni problem, i to w najgorszy sposób. Górę bierze jego porywczy charakter. Staje się coraz bardziej zazdrosny, i to już nie tylko o mężczyzn, lecz także o kobiety. O wszystkich, którzy się do mnie zbliżają. Mówi mi, że moje miejsce jest w domu. Nie jest w stanie znieść mojej kariery w telewizji i chce, żebym zerwała współpracę. Ta myśl staje się jego obsesją.

To właśnie wtedy zabrania mi dzwonić i odbierać telefony. Pewnego wieczoru, kiedy dzwoni do mnie przyjaciółka z Channel 1, mój mąż przechodzi od słów do czynów. Rzuca się na mnie, wrywa mi słuchawkę i brutalnie mnie policzkuje. To są początki tego, co doprowadzi do najgorszego.

Gwałtowne uderzenie powoduje, że objam się o ścianę. Jestem ogłuszona i sparaliżowana strachem. Raszid pierwszy raz mnie uderzył. Nie rozumiem dlaczego. Jak mógł tak postąpić? Przecież ja jestem w ciąży - przynajmniej o tym powinien pamiętać. Boję się, uciekam do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi.

Następnego dnia widać, że mam podbite prawe oko. Wstydzę się tego. Wszystkim, którzy mnie pytają, co się stało, odpowiadam,

że wpadłam na drzwi. Raszidowi złość nie mija. Nie *żałuje* swojego zachowania i mnie nie przeprasza. Wręcz przeciwnie, nadal nalega, żebym odeszła z telewizji. Jego starszy brat przychodzi go uspokoić. Wie, że Raszid mnie uderzył, i potępia takie zachowanie, ale to nie odnosi skutku. Mąż wcale nie odpuszcza - moje miejsce jest w domu i nigdzie indziej. Szwagier prosi mnie, żebym nie opuszczała mieszkania i to przeczekala. Mam tego dosyć, jestem zmęczona. Poddaję się, mąż wygrał. Aby uniknąć kolejnego pobicia, rezygnuję z pracy w Channel 1 pod pretekstem ciąży. Zapewniam jednak mojego dyrektora, że wrócę, kiedy tylko będzie to możliwe. Deklaracja, że definitywnie odchodzę, złamałaby mu serce. Wiem, że moje życie legnie w gruzach. Porzucam przecież jedyną rzecz, która dodaje mi energii. Nie mam już odwagi stawić temu czoła, ale jednocześnie wiem, że jest to decyzja samobójcza.

Jakiś czas później dzwoni do mnie koleżanka Chadidza, spikerka radiowa.

- Czy to prawda, o czym mówią? Odeszłaś z telewizji?

- Tak. Raszid robi za dużo problemów. Musiałam znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Rzucam pracę, ponieważ chcę uniknąć drugiego rozwodu.

- Raniu, dobrze wiesz, że robisz to wbrew sobie. Nie możesz tak postąpić. Powinnaś porozmawiać ze swoim ojcem.

- To tylko jeszcze bardziej skomplikuje całą sprawę. Decyzja jest nieodwołalna. Ty stawiasz na karierę, ja wybieram dom.

Po odłożeniu słuchawki siadam w fotelu. Mam nadzieję, że pewnego dnia Raszid zda sobie sprawę z ogromu poświęcenia, na jakie się dla niego zdobyłam. Ale od razu dopadają mnie

wątpliwości, ponieważ mam przeczucie, że mąż chce mnie zniszczyć, a reszta nic go nie obchodzi.

Po urodzeniu naszego pierwszego syna Sauda przeprowadzamy się do lepszego, czteropokojowego mieszkania. Może nie jest to luksus, ale na pewno większa wygoda. Jednak to wcale nie wystarcza, żeby poprawić mi nastrój. Tygodniami siedzę zamknięta w czterech ścianach, a moją jedyną powierniczką jest kanapa. Tylko ona zna moją beznadziejną sytuację. Razem spędzamy długie godziny w samotności.

Muszę znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Zżera mnie nuda.

Nagle przychodzi mi do głowy szalona myśl. Mamy przestronny salon, który w ciągu dnia mogłabym przekształcić w salon makijażu. Nie jestem kosmetyczką, ale w telewizji nabrałam doświadczenia w tych sprawach, a dawniej często malowałam moje siostry i przyjaciółki, które zawsze były bardzo zadowolone z efektów.

Na poczekaniu zbieram cztery krzesła, dwa małe stoliki i sporządzam projekt wystroju mojego nowego świata. Nie wymaga to dużych inwestycji, nadmiernych kosztów - pomysł jest genialny. Wieczorem przedstawiam go Raszidowi i podkreślam korzyści, jakie z niego płyną. Mąż od razu się zgadza, ponieważ w przedsięwzięciu widzi same plusy. Poza aspektem finansowym, który jest nie do przecenienia, będę zmuszona pozostać w domu i przyjmować tylko kobiety. Lepiej być nie może. Raszid uspokaja się i jest bardzo zadowolony, ponieważ to, co proponuję, wpisuje się w jego wizję małżeństwa: wzorowa żona nigdy nie opuści jego klatki i nie spotka żadnego mężczyzny. Tak ma być, więc mąż jest usatysfakcjonowany, że udało mu się mnie podporządkować.

Ja nie dzielam radości Raszida. Finansowo to rozwiązanie jest korzystne, ale ambicjonalnie... to już zupełnie co innego. Oczywiście dzięki szeptanej reklamie bardzo szybko znajduję zaufaną klientelę, ale moje nowe zajęcie nie pozwala mi zapomnieć o dawnej pracy. Brakuje mi telewizji. A sytuacja niczego w naszych małżeńskich stosunkach nie poprawia, za to otwiera mi oczy na niektóre nienormalne zachowania męża.

Kiedy pracowałam poza domem, nie byłam w stanie śledzić tego, gdzie wychodzi. Nawet o tym nie myślałam, bo miałam zbyt wiele na głowie. Od kiedy przebywam całymi dniami w mieszkaniu, widzę, że Raszida często nie ma domu. Jego zachowanie mnie intryguje i budzi podejrzenia. Mąż wcale nie interesuje się życiem rodzinnym i często wychodzi w nocy. Szybko przekonuję się, że romansuje zjedną lub kilkoma kobietami. Tak naprawdę on mnie nie kocha. Pragnął tylko, żebym została jego własnością, i teraz, kiedy dostał już to, co chciał, oddaje się przyjemnościom gdzie indziej.

Zamierzam się przekonać, czy rzeczywiście tak jest. Pewnego dnia, gdy Raszid przygotowuje się do wyjścia z domu, bez wyjaśniania mi czegokolwiek, pytam go, dokąd idzie. Zdziwiony, że śmiem zadawać mu pytania o jego sprawę, z kamienną twarzą stara się wybrnąć z sytuacji. Udziela wymijających odpowiedzi, które mi nie wystarczają. Chcę dokładnie wiedzieć, co przede mną ukrywa, i nie popuszczam. Mąż, nieprzyzwyczajony do takiego uporu, traci głowę. W końcu przyznaje się, że ma inną kobietę, pierwszą żonę.

To jest dla mnie szok! Z wrażenia muszę usiąść. Bigamia jest spotykana i dozwolona w Arabii, ale chciałabym wiedzieć,

że jestem drugą żoną. Nieprzyjemnie odkryć coś takiego po dwóch latach małżeństwa. Raszid, zażenowany sytuacją, do której doprowadził swoimi niedomówieniami, próbuje się kajać.

- Przysięgam, rozwiodę się z nią.

- Możesz robić, co uważasz, ja chcę rozwodu.

A tak! W tym momencie mam na to ochotę, ale widmo kolejnej hańbiącej separacji paraliżuje mnie. Już jeden rozwód jest źle widziany w Arabii Saudyjskiej, a co dopiero dwa?! Oto, co mnie powstrzymuje. Mimo to staram się dowiedzieć więcej na temat życia mojego męża, w którym kryje się tyle niespodzianek. Wiadomość o zatajonym małżeństwie skłania mnie do bliższego przyjrzenia się zajęciom Raszida. Szybki wywiad wśród jego znajomych i sprzedawców, dokładniejszy wgląd w plan dnia, zestawienie zebranych wiadomości i sprzeczności błyskawicznie doprowadza mnie do wniosku, że jego życie wypełnione jest innymi kobietami, o których mi nie mówi. Teraz jestem ostrożna i nie umykają mi żadne szczegóły - mój mąż ma wiele kochanek. Ale co robić?

Niestety, kiedy dochodzę do tego wniosku, pojawia się inny, jeszcze poważniejszy, problem - mąż odchodzi z pracy. Z czego będziemy żyć? Daleko nie zajedziemy z niewielkimi funduszami, które zarabiam na tym, że maluję przyjaciółki. To zajęcie doskonale nadaje się do tego, żeby sobie dorobić, ale nie można w ten sposób wyżywić rodziny.

Tym razem to Raszid musi ruszyć głową, by znaleźć nową pracę i dołożyć się do domowego budżetu. Jego piosenki nie dostarczą nam pieniędzy. Już dawno straciłam złudzenia i wiem,

że tylko on jest przekonany o swoim talencie. Nie mamy wyjścia, szybko przedstawiam mu, jak wygląda sytuacja. To przywołanie do porządku go denerwuje, aleja mogę zrobić tylko tyle.

Kilka dni później mąż przedstawia mi plan, który najpierw uznaję za kompletnie nierealny i dziwaczny. Aby zarabiać, będzie sprzedawał używane samochody, ale nie takie zwyczajne, tylko duże europejskie i amerykańskie mercedesy, audi lub cadillaki - w Arabii są one bardzo drogie, a handel używanymi autami prawie nie istnieje. Raszid widzi to tak: klienci będą u niego składać zamówienia, a on będzie jeździł po towar do Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Skalkulował wszystko, podliczył swoje skromne fundusze i stwierdził, że to może się opłacać. Nie wierzę mu, ale może się uda. Przynajmniej próbuje coś zrobić. Liczę na to, że podczas jego wyjazdów będę mogła trochę odetchnąć i w spokoju spotkać się z przyjaciółkami. W swojej naiwności marzę o tym!

Jakiś czas później Raszid wyjeżdża do portu w Hamburgu i rzeczywiście ma kilka pewnych zamówień. Klienci określili swoje wymagania, podali cenę i zapłacili zaliczkę. Jest szansa, że plan męża się powiedzie. Raszid na miejscu robi zakupy, potem samochody są ładowane na statek towarowy płynący w kierunku Dżuddy, gdzie nowi właściciele zgłoszą się po ich odbiór. Mój mąż wraca samolotem do Arabii. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu ten system działa, co sprawia mi ulgę.

W samą porę rozkręcił biznes, spadają na mnie bowiem kolejne nieszczęścia, jakbym do tej pory miała ich mało. Zaczynają mi dokuczać silne bóle głowy. Środki przeciwbólowe, które zażywam, nic nie pomagają. Muszę iść do lekarza. Stan mojego

zdrowia jest poważny i tylko się pogarsza od chwili wystąpienia pierwszych ataków padaczki. Muszę przejść ciężką i ryzykowną operację. Moje samopoczucie jeszcze bardziej się pogarsza.

W gruncie rzeczy lekarze przewidują trzy interwencje. Wszystko idzie zgodnie z planem, a chirurdzy oświadczają, że udało im się nawet odkryć przyczynę epilepsji i będą mogli jej zaradzić. Ataki powinny ustąpić. To wspaniała wiadomość.

Raszid prawie nie odwiedza mnie w szpitalu. Dwa lub trzy razy wpada na chwilę, to wszystko. Nawet nie jest mi przykro, ten etap mam już dawno za sobą. Mimo to wciąż jesteśmy małżeństwem, czego dowodem jest fakt, że znów zachodzę w ciążę. To wpadka. Nie chciałam mieć kolejnego dziecka, ale Allah nie pozwala mi uchylać się od obowiązków małżeńskich, a środki ostrożności, jakie przedsięwzięłam, nie wystarczyły. Nie chcę więcej mówić na ten temat poza tym, że perspektywa urodzenia następnego dziecka jeszcze bardziej mnie przytłacza. Mam wrażenie, że najpiękniejsze chwile mojego życia są już za mną. Młodość się kończy, czuję się jak staruszka.

Uwięziona w mieszkaniu jestem całkowicie odcięta od świata. Nigdy nie wychodzę. Nawet w towarzystwie męża. Nie możemy nigdzie pojechać, ponieważ nie mamy pieniędzy na zakup samochodu. Muszę więc zadowolić się oglądaniem defilady aut, które Raszid sprowadza dla swoich klientów. Pod żadnym pozorem nie wolno mi wychodzić z domu.

Przyzwyczajam się do tej mało ciekawej egzystencji i godzę się na nią aż do momentu porodu. Ten jest znacznie gorszy od poprzedniego. Po przyjściu na świat mojego drugiego syna Najefa dostaję krwotoku. Chirurdzy muszą natychmiast

interweniować. Wychodzę z tego cało, ale zostaję w szpitalu na dwa długie miesiące.

Mój mąż nie interesuje się naszym drugim synem, podobnie jak i pierwszym. Stan mojego zdrowia też w ogóle go nie obchodzi, kompletnie się tym nie przejmuje. W szpitalu odwiedził mnie zaledwie kilka razy. Na szczęście moja matka i kochana ciotka czuwają przy mnie. Ciotka bierze sprawy w swoje ręce i przekształca mój pokój w miłą graciarnię. Dekoruje go kwiatkami, bibelotami i zdjęciami. Ale nigdy nie jest tu wystarczająco wesoło jak na jej wymagania, dlatego pewnego dnia przyniesie tu jeszcze klatkę z ptakami!

To jest dziwny czas, naznaczony zarówno wybuchami śmiechu, jak i płaczu. Pielęgniarki zapewniają, że jestem pogodna, zawsze w dobrym nastroju, ciągle gotowa do żartów. Często przychodzą mnie odwiedzać, pytają o moją dawną pracę w telewizji, gratulują programów. Ich towarzystwo jest miłe i nie pozwala mi się nudzić. Ale te kobiety nie wiedzą, że często po ich wyjściu zaczynam płakać jak dziecko, bez wyraźnego powodu - czuję się nieszczęśliwa i straszliwie samotna. Noce mi się dłużą. Nie mogę spać, kręcę się, przewracam na łóżku i rozmyślam o różnych okropnościach. Pewnego dnia zwierzę ciotce z tego, że nie mogę spać, a ta od razu o wszystko obwinia ptaszki. Według niej ich bezustanne świergotanie nie pozwala mi zmrużyć oka. Biedne kanarki nie mają nic do rzeczy (po zachodzie słońca są zupełnie cicho), ale to bez znaczenia. Ciotka zdecydowała, że to one są za to odpowiedzialne, i dlatego zabrała klatkę. Nie śpiam potem wcale lepiej, ale nie śmiem już nic powiedzieć ukochanej ciotce.

Gdy po tak długim pobycie w szpitalu wracam do domu, czeka mnie niemiła niespodzianka. Podczas mojej nieobecności pozostała dwójka dzieci Raszida z pierwszego małżeństwa, która z nami nie mieszkała, zaczęła do nas coraz częściej przychodzić. Pojawienie się dziewczynek nie podoba mi się, tym bardziej że w mieszkaniu jest niesamowity bałagan. Moja córka opowiada, że podczas każdej z wizyt dzieci męża prawie roznoszą dom. Próbuję to zmienić. Ale mimo mojego sprzeciwu Raszid odmawia zajęcia się dziećmi, a ja muszę znosić ich odwiedziny coraz częściej. Sytuacja staje się o tyle dotkliwa, że te małe demony starają się zrobić wszystko, żeby mnie zdenerwować lub dogryźć Rahaf. I tak któregoś dnia okazuje się, że mój sok ma dziwny smak. Po sprawdzeniu daty przydatności do spożycia, nadal nie rozumiem, dlaczego napój jest taki gorzki. Wtedy Rahaf zdradza mi, że widziała, jak dzieci Raszida wlewały coś do butelki. Jestem przerażona i załamana, że w końcu nas otrują. Ostrzegam męża i domagam się, aby położył kres tego typu zachowaniom. Kilka minut później Raszid gromadzi swoją małą rodzinę wokół siebie, ale nie wygłasza żadnej reprimendy. Wręcz przeciwnie, uśmiecha się do dzieci, które wkrótce powracają do swoich dewastatorskich zabaw. Bez zażenowania mąż mi tłumaczy, że dzieci są niegrzeczne wobec mnie, ponieważ odebrałam im tatę i od tego czasu ich matka jest nieszczęśliwa. Trzeba je zrozumieć...

Mam tego dosyć! Raszid poruszył niebo i ziemię, żeby się ze mną ożenić. Miesiącami ukrywał przede mną, że wciąż jest żonaty, i teraz to ja mam znosić represje ze strony jego dzieci, ponieważ zabrałam im ojca?! Jestem oburzona. Moja cierpliwość

ma swoje granice. Mąż zmienił moje życie w piekło. Czuję, że nie daję już rady. Aby się uspokoić, pomyśleć racjonalnie o swojej sytuacji, decyduję się na wyjazd do Mekki. Muszę wszystkiemu przyrzeć się z dystansu. Mam nadzieję, że Allah pomoże mi przewyciężyć kłopoty. Kilka dni później powierzam moje dzieci ciotce i jadę do Świętego Miasta. Raszid nie śmie przeciwstawić się pielgrzymce.

Taki moment zawieszenia uspokaja mnie. Nabieram się dzięki medytacji, której oddaję się, kiedy chodzę wokół Czarnego Kamienia. Decyduję się posklejać na nowo moje życie, ale tym razem zamierzam lepiej i bardziej zdecydowanie zaznaczyć swoje terytorium oraz narzucić Raszidowi moje normy postępowania.

Po powrocie do domu informuję męża, jakie podjęłam decyzje. Po pierwsze, muszą skończyć się odwiedziny jego dzieci. On trochę narzeka, ale w końcu się zgadza. Zwłaszcza że ma pretekst, który może usprawiedliwić taką decyzję w oczach dzieci - planujemy się znowu przeprowadzić, a to na jakiś czas zakłóci naszą codzienność.

Musimy zwolnić nasze dotychczasowe mieszkanie, ponieważ właściciel pragnie je odzyskać. Nie było tego w planach, ale nie mamy wyboru. Zabieram się za poszukiwanie nowego dachu nad głową. Udaje mi się go znaleźć bardzo szybko.

Nasze nowe mieszkanie z podłogą wyłożoną białym marmurem jest jasne i przestronne - na pewno nie stracimy na tej zamianie. Mam jednak nadzieję, że Raszid będzie nadal handlował samochodami z Niemiec i Stanów Zjednoczonych, bo inaczej grożą nam problemy finansowe.

11 września 2001 roku wszystkie stacje telewizyjne na całym świecie przerywają nadawanie programów. Na ekranach pojawiają się zdjęcia, które już na zawsze zostaną w pamięci ludzkości. Boeing wbija się w jedną z bliźniaczych wież Twin Towers na Manhattanie. Jest to największy zamach terrorystyczny, jakiego kiedykolwiek dokonano. Za całą operacją stoi Ben Laden, założyciel Al-Kaidy, Saudyjczyk, któremu odebrano obywatelstwo.

W następnych godzinach cały świat ogarnęło szaleństwo. Wszystkie państwa Zachodu potępiają ten akt barbarzyństwa i piętnują winnych, natomiast niektóre kraje arabskie, oficjalnie lub też nie, cieszą się z tego okropnego zamachu w samym sercu Nowego Jorku. Wszyscy komentatorzy natychmiast wskazują Arabię Saudyjską i oskarżają to państwo o wspomaganie terroryzmu oraz szkolenie zamachowców samobójców. Saudyjczycy wszędzie budzą podejrzenia. Odmawia się im wydawania wiz, dokładnie sprawdza się paszporty na lotniskach, dopytuje się wyjątkowo wnikliwie o cel przyjazdu. Wkrótce podróżowanie staje się bardzo uciążliwe i ryzykowne, bo na granicy straż może odmówić wpuszczenia do kraju bez podania powodu. To zjawisko dotyka także Raszida. Nawet więcej - częste wyjazdy do Stanów Zjednoczonych i Niemiec, w bliżej nieokreślonych celach handlowych, robią z niego idealnego podejrzanego. W związku z tym któregoś dnia oświadcza:

- Nie jestem w stanie dalej pracować, zamykam interes. Amerykanie nie dadzą mi już wizek, a Niemcy tylko czekają na okazję, żeby wsadzić mnie do więzienia, bo są przekonani, że samochody to tylko przykrywką dla innej działalności.

W tym momencie nie mam nic do dodania. Rzeczywiście w obecnej sytuacji nie da się dalej prowadzić interesu. Ale z czego będziemy żyć? Raszid nie ma pracy muszę znaleźć jakieś wyjście. I to szybko, to najważniejsze!

Rozwiązanie pojawia się nagle - powinnam wrócić do pracy w telewizji, a także wznowić studia, by uzyskać dyplom. Mąż już wystarczająco zatruł mi życie, od lat mnie wykorzystuje, dlatego przyszedł czas na przebudzenie. Raszid musi sobie z tym poradzić, mam dość tego okropnego życia, chorobliwej i nieuzasadnionej zazdrości. Wiem jedno: mój mąż nie może mi nic zaofiarować. Dziwi go nawet to, że kobieta rozmawia o przyszłości, dla niego to coś nowego. Niezależnie od wszystkiego oczywiste jest, że tylko praca w telewizji pomoże nam wyjść z impasu finansowego. Ponadto myśl o powrocie do studia bardzo mi się podoba, już dość się nasiedziałam w domu.

Kości zostały rzucone, wracam do Channel 1.

Być kobietą w Arabii

Po trzech latach nieobecności w Channel 1 Tarek Riri zgottał mi gorące przyjęcie. Uff! Bałam się, że w czasie mojej nieobecności dyrektor zmienił plany lub znalazł kogoś lepszego na moje miejsce. Wszystkie te wątpliwości pojawiły się wówczas, gdy czekałam przy telefonie, aż sekretarka połączy mnie z szefem.

- Raniu, co za przyjemność panią słyszeć! Jak się pani miewa? Kiedy pani do nas wraca?

To pytanie od razu mnie uspokaja. Moje obawy znikają.

- Pozwalam sobie dzwonić właśnie w tej sprawie. Rozważałam możliwość powrotu do pracy, jeśli wyrazi pan zgodę...

- Ależ oczywiście, z ogromną przyjemnością! Kiedy możemy się spotkać?

Nie śmiem odpowiedzieć, że natychmiast, choć to słowo ciśnie mi się na usta. Taktownie pozwalam Tarekowi wybrać datę. Spotykamy się trzy dni później. W kilka minut wszystko zostaje ustalone, podpisuję nowy kontrakt.

Z przejęciem wracam do mojego biura. Przyglądam się wnętrzu przez kilka długich minut, oddycham przy tym z ulgą i czuję, że odżywam. Jestem gotowa zacząć na dobre. Straciłam już wystarczająco dużo czasu. Nie pozwolę, żeby Raszid dłużej trzymał mnie pod kluczem. Po głowie chodzi mi sporo tematów na nowe reportaże, w końcu proponuję pierwszy z nich. Niech żyje odrodzenie! Już czas poukładać swoje życie.

Ponownie zapisuję się na uniwersytet, aby studiować - tym razem socjologię. Te studia przydadzą mi się w pracy, ułatwią kontakt z ludźmi występującymi w moich reportażach i pomogą dogłębniej przyjrzeć się każdej sytuacji. To nie tylko wybór nowego kierunku, ale życiowej drogi. Świadczy o tym, że telewizja nie jest już moim dodatkowym zajęciem, ale głównym celem.

W życiu prywatnym również podejmuję dwie ważne decyzje. Po pierwsze, proszę Raszida, aby zechciał powierzyć swojego syna i córkę ich matce, ponieważ nie mam ani czasu, ani ochoty zajmować się nimi.

Po drugie, chcę zbliżyć się do mojej rodziny, którą za rzadko widuję. Nie życzę sobie więcej dyktatury ze strony Raszida. Najpierw protestuje, ale potem ustępuje.

- Mija już siedem lat, jak zatruwasz mi życie, i mam tego dość. Jeśli ci się to nie podoba i nie pozwolisz mi wrócić do telewizji lub uniemożliwisz spotkanie się z moją rodziną i przyjaciółkami, to rozwiodę się z tobą. Więcej mnie już nie zobaczysz.

Nie mam czasu powiedzieć nic więcej. Raszid brutalnie mnie uderza. Tym razem nie tracę ani sekundy - biegnę do telefonu i dzwonię do rodziców. Odbiera mój brat. Błagam go,

żeby po mnie szybko przyjechał, i zamykam się w pokoju, żeby spakować walizki.

Po przyjeździe z dziećmi do rodziców oddycham z ulgą i napawam się tą chwilą. Czuję się tak, jakbym obudziła się z koszmaru. Przysięgam sobie, że już nigdy więcej nie opuszczę tego domu. Ojciec przyjmuje mnie zaniepokojony. Jeszcze nie wie, dlaczego zjawiam się tak nieoczekiwanie z dziećmi i walizkami.

- Odchodzę od Raszida.

Tata jest zdziwiony. Tłumaczę mu, co się wydarzyło, i obawiam się jego reakcji, ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu on szeroko się uśmiecha.

- Wprowadzaj się. To najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Mam ochotę odpowiedzieć mu, że to również dla mnie najpiękniejszy dzień w życiu, ale nie udaje mi się, bo tata odwraca się i odchodzi, a jego miejsce zajmuje matka. Potem zdam sobie sprawę, że ojciec wcale nie myślał o moim szczęściu, ale ulżyło mu, ponieważ nie będę już żyć z Murzynem. Matka biegnie z drugiego końca mieszkania. Brat już jej wszystko powiedział.

- Moja córeczko! Nie da się tego załagodzić z Raszidem?

- O nie! Jest coraz gorzej.

- Więc rozwód.

- Tak myślę.

Przez trzy miesiące mój mąż przesiaduje pod naszym domem. Jak za dawnych czasów, gdy chciał mnie poślubić, śledzi ojca i błaga go, żeby przekonał mnie do powrotu. Obiecuje, że będzie najmiłszym mężem pod słońcem. Aby uniknąć

podobnych nacisków, tata sugeruje, żebym wróciła. Odma-
wiam, aż do chwili, gdy widzę Raszida na ulicy. Jest zaniedbany,
ma brudne ubranie, aż żal na niego patrzeć. Teraz ja się łamię
i w końcu wracam do męża. Ale, uwaga, pod warunkiem że
da mi spokój i pozwoli żyć, tak jak mi się podoba. W godnej
pochwały intencji, aby ułatwić nam życie, ojciec ofiarowuje nam
jeden ze swoich samochodów.

Postanawiam wziąć los w swoje ręce i wszystko na nowo
poukładać. Mam dosyć hulaszczego trybu życia mojego męża,
ale ponieważ podjęłam decyzję o powrocie, postanawiam
w pełni się zaangażować, z rozwagą i na zimno. Chcę zapo-
mnieć, że Raszid już nie zarabia, i przejąć wszelkie obowiązki
finansowe - z pogodą ducha i w dobrym nastroju.

Przez kilka miesięcy jest spokojnie. Mam nawet nadzieję,
że mój mąż w końcu zmadrzeje. To jednak złudzenie. Pomału
jego wady dają o sobie znać i pojawia się agresja. Pewnego dnia
odzywa się podniesionym głosem, rzuca wyzwiska i wszystko
zaczyna się od nowa. Raszid chce mnie uderzyć w twarz. Na
szczęście w porę spostrzegam ruch jego ręki i udaje mi się
zamortyzować uderzenie, a potem chowam się w pokoju.

W następnych dniach atmosfera jeszcze bardziej się pogarsza.
Z byle powodu się kłócimy. Bicie również zdarza się coraz czę-
ściej. Raszid wypomina mi moją popularność. Nie śmie żądać,
żebym odeszła z pracy, ponieważ moja pensja jest naszym jedy-
nym źródłem utrzymania, ale wścieka się na samą myśl o tym
i ciągle szuka pretekstu do kłótni. Stawiam się, nie odpuszczam.
Wtedy śnię o własnej śmierci i to właśnie w tamtym okresie
sporządzam testament...

Raszid, który z oczywistych powodów nie może mi zabronić pracy w telewizji, stara się mnie krótko trzymać. Kontroluje godziny pracy i wszystkie moje wyjścia, żąda, abym podała mu dokładny plan dnia. Zabrania mi spotykać się z kimkolwiek poza godzinami pracy. Wkrótce nie wolno mi już nawet dzwonić do przyjaciółek. Jeszcze staram się być cierpliwa i wyrozumiała, aby uratować nasze małżeństwo, ale sytuacja staje się nie do zniesienia. Obsesyjna zazdrość Raszida przeradza się w szaleństwo. Boję się go.

I mój strach jest uzasadniony... Kłótnia goni kłótnię, aż w końcu nadchodzi 4 kwietnia 2004 roku, kiedy z powodu zwykłej rozmowy telefonicznej, wymiany dwóch zdań z koleżanką, on robi coś nieodwracalnego. Brutalnie mnie bije. Masakruje moją twarz. Okalecza, zanim na wpół martwą porzuci przed szpitalem.

* * *

Nasze społeczeństwo ma dość takich zachowań rodem ze średniowiecza i dlatego zdjęcia skutków tego bestialskiego pobicia obiegły cały świat. Zwykłe wydarzenie urasta do rangi symbolu. Politycy zaczynają się nim zajmować, jest to sprawa wagi państwowej, a ja staję się rzeczniczką saudyjskich kobiet. Nie spodziewałam się takiej roli, na początku mnie przerażała. Widzę w tej sytuacji mnóstwo pułapek. Boję się, że zostanę wykorzystana do potępienia Arabii Saudyjskiej, obwinienia ustroju i rządu, dlatego się temu sprzeciwiam. Nie chcę, żeby opinia międzynarodowa ukarała nasz kraj.

Przecież przyczyną mojego dramatu nie jest specyficzna pozycja kobiet w Arabii Saudyjskiej, ale sytuacja wszystkich

kobiet na całym świecie podlegających tym samym zasadom. Nie należy robić z mojego kraju kozła ofiarnego, którego trzeba poświęcić za całą wspólnotę muzułmańską - to byłoby zbyt proste! Zachowanie Raszida należy rozpatrywać w określonym kontekście. Mój mąż jest chorobliwie zazdrosny. Dla mnie to najważniejsza sprawa. Nie powinnam mylić celów, żądam sprawiedliwości, a nie zemsty.

I właśnie to decyduje o moim postępowaniu wobec Raszida po pobiciu. Mimo braku nadziei i okropnego przygnębienia spowodowanego utratą urody powstrzymałam żądzę zemsty. Walczyłam sama ze sobą, żeby przebaczenie wzięło górę nad nienawiścią. Chciałam zrozumieć sytuację, a nie jedynie szybko ją zakończyć. Ani przez chwilę nie zapomniałam o tym, że chorobliwa zazdrość wywołuje niekontrolowane odruchy. Nie tylko nie życzyłam sobie śmierci tego, który sam niemalże mnie zabił, ale nawet obawiałam się, że to on mógłby odebrać sobie życie, gdyby zdał sobie sprawę z tego, co zrobił.

Kiedy tylko mąż oddał się w ręce policji, oznajmiłam sędziom, że całkowicie mu wybaczam. Starałam się wytłumaczyć jego postępowanie, podkreślałam, że gdyby był w normalnym stanie umysłowym, nigdy by tego nie zrobił. Wiedziałam, że Raszidowi grozi dziesięć lat więzienia i sto batów, które mogłyby zostać mu wymierzone w czasie publicznej egzekucji. Taka perspektywa mroziła mi krew w żyłach. Zastanawiałam się, co czułyby nasze dzieci. Moja interwencja w sądzie sprawiła, że po raz pierwszy zmieniono karę na sześć miesięcy więzienia, a nieodzowne sto batów obiecano mu wymierzyć na osobności. W moim odczuciu to jednak wciąż było za dużo.

Znów zaczęłam walczyć o złagodzenie kary, aż w końcu sędzia powiedział:

- Ależ proszę pani, przecież nie puścimy go wolno po tym wszystkim, co zrobił!

Już miałam ochotę mu odpowiedzieć, że powinniśmy tak postąpić, ale się powstrzymałam. Ostatecznie Raszida skazano na trzy miesiące więzienia. Oszczędzono mu chłosty. Wyszedł z tego tak gładko właściwie tylko dzięki mnie.

Zawarłam z mężem umowę. Była to ugoda z wymiarem sprawiedliwości - w zamian za to, że przebaczyłam Raszidowi, uzyskałam dożywotnią opiekę nad dziećmi. Nie wrócą do ojca w wieku ośmiu lat, jak nakazuje prawo koraniczne w przypadku wszystkich dzieci rozwiedzionych rodziców. Doprowadzenie do tego wcale nie było takie proste w kraju, w którym mężczyzna jest traktowany jak istota wyższego rzędu. Musiałam bardzo się starać, żeby osiągnąć swój cel. Byłam zdeterminowana i wiedziałam, że warto o to walczyć. Wiele zyskałam na tym, że przebaczyłam Raszidowi. Warto było zrezygnować z poczucia, że sprawiedliwości stało się zadość, i uchronić męża przed chłostą, a dzięki temu zyskać możliwość wychowywania dzieci według moich zasad. To mi przyniesie o wiele większą satysfakcję niż świadomość, że mąż został skazany.

Krewni męża dobrze to przyjęli. Kiedy przeżywałam te dramatyczne chwile, byli cały czas przy mnie. Robili wszystko, żeby mi się przypodobać i zmniejszyć moje cierpienie. Starali się zatrzeć złe wspomnienia szalonego czynu Raszida i bez przerwy dziękowali za moją wspaniałomyślność. Do dziś regularnie koresponduję z jedną z siostr mojego byłego męża, która

mieszka w Libanie. Te bolesne wydarzenia bardzo nas do siebie zbliżyły ponieważ okazałam szacunek jej bratu.

Moi bliscy są mi za to wdzięczni.

Jednak to, co przeżyłam, naznaczyło mnie fizycznie i psychicznie na całe życie. Nawet kiedy już uwolniłam się od męża, miałam co jakiś czas wrażenie, że on przyjdzie i znów mnie pobije, chociaż usunął się w cień i zamieszkał z jedną ze swoich siostr. Nic nie mogłam na to poradzić, w nocy bardzo się bałam. Trzy razy niepotrzebnie wzywałam policję - kiedy usłyszałam jakieś hałasy, od razu myślałam, że ktoś się do mnie włamał. Bardzo uprzejmi policjanci przyjeżdżali i oczywiście nikogo nie znajdowali. Ponadto za każdym razem jeden z nich zostawał na straży pod moimi drzwiami aż do rana, żebym nie musiała się bać. Po przebudzeniu dopadały mnie wyrzuty sumienia, ale mili policjanci nigdy nie bagatelizowali moich obaw. Wręcz przeciwnie, mieli w zwyczaju dzwonić do mnie co wieczór, aby upewnić się, czy wszystko w porządku. Ich troska poruszyła mnie do głębi, dlatego teraz stawiam sobie za punkt honoru nie zawracać im już głowy. Kiedy ze wszystkich stron nadpływają do mnie prośby o wystąpienia na konferencjach poświęconych walce w obronie kobiet, zawsze myślę o uprzejmości i oddaniu policjantów. Moim zdaniem to najlepszy dowód, że nie można uogólniać i mówić, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Dlatego działania, które podejmuję, powinny być precyzyjnie ukierunkowane. Nie mogę być zaślepiona złością.

I dlatego odpowiedziałam pozytywnie na zaproszenie francuskiego stowarzyszenia „Ni Putes Ni Soumises”. Chciałam powiedzieć, co jest u nas nie tak, i zaproponować rozwiązania,

które poprawią sytuację. Coraz częściej pozwalam sobie *zabrać* głos, ponieważ świat arabski się zmienia i coraz przychylniej patrzy na reformy.

Najlepsza sytuacja jest w Bahrajnie i Kuwejcie. 16 maja 2005 roku, w wyniku przegłosowania poprawki do ustawy o wyborach w parlamencie emiratu, Kuwejtki uzyskały bierne i czynne prawo wyborcze, mimo ostrego sprzeciwu ze strony islamskich fundamentalistów i przedstawicieli plemion. Miesiąc później, 20 czerwca, pierwsza kobieta minister, Masuma al-Mubarak, złożyła przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowym. Towarzyszyły temu okrzyki niezadowolenia ze strony ekstremistów, co dowodzi, że przed nami jeszcze długa droga. Jednak pierwszy bardzo ważny krok został już zrobiony.

Dzięki temu niektóre kobiety w Arabii również zaczynają ujawniać swoje ambicje polityczne. Kilku mężczyzn rządzących krajem jest przychylnie nastawionych do takich innowacji, ale inni się sprzeciwiają. Jednak pewnego dnia trzeba będzie dopuścić kobiety do władzy. Rząd zbyt długo tolerował ich ubezwłasnowolnienie; już najwyższy czas, żeby wzięły sprawy w swoje ręce. Trzeba wprowadzić reformy, które pozwolą nam stać się nowoczesnym państwem.

Saudyjki myślały, że w wyborach samorządowych, które odbyły się wiosną 2005 roku, będą mogły w końcu wrzucić swój głos do urny. Wszystko zostało zaplanowane i zaakceptowane. Głosowanie nad tą kwestią odbyło się bez większych politycznych kłótni, ale mimo to w ostatniej chwili władze zrobiły krok w tył - nie pozwoliły kobietom wziąć udziału w wyborach.

Na razie rząd utworzył Radę Dialogu składającą się z ministrów, parlamentarzystów, ale także intelektualistów, dziennikarzy i naukowców, którzy pochylią się nad problemami społecznymi kraju. Jednym z pierwszych ważnych postulatów, którymi Rada się zajmie, będzie kwestia umożliwienia kobietom zdobycia prawa jazdy...

To nie byłby żaden luksus. Dyskryminacja, jakiej na co dzień doświadczamy, budzi w nas oburzenie, poczucie niesprawiedliwości i, co najważniejsze, nie ma nic wspólnego z islamem. Nie rozumiem, w imię czego nie możemy uzyskać dowodu tożsamości ani paszportu bez zgody męża lub ojca. Podpis jednego z tych mężczyzn musi widnieć na naszych dokumentach... To poniżające!

Kobieta jest niczym, a mężczyzna dominuje w każdej dziedzinie. Nawet w ludowych legendach to mężczyznom przyznaje się istotniejszą rolę, my właściwie samodzielnie nie istniejemy, jesteśmy tylko cieniem naszych ojców, braci i mężów.

Godne pożałowania jest to, że w Arabii Saudyjskiej kobieta nie może spokojnie przejść ulicą bez przyciągania wzroku mężczyzn. Dla nich każda z nas jest tylko ciałem bez duszy, przemierzającą się i niemyślącą istotą. Kobietom nie wolno studiować prawa, interesować się budownictwem, zajmować się świętą ropą naftową... Kobiety nie mogą pełnić bardzo wielu funkcji, na przykład zostać szefowymi Ministerstwa Przemysłu, Spraw Zagranicznych, Energii, Transportu...

Te zakazy budzą we mnie rozgoryczenie, ale nie hamują mojej miłości do kraju. Jestem dumna z odwagi i hojności beduinów, którzy przemierzają złote piaski pustyni. Między morzem

a wydmami nie ma śladów zanieczyszczenia środowiska. Kiedy przebywam z dala od Dżuddy, brakuje mi nawet gorzkawego smaku naszej kawy.

Od kiedy moje zdjęcia obiegły cały świat i zostałam wędrującą ambasadorką kobiet muzułmańskich, moje horyzonty znacznie się poszerzyły. Podróże mnie wzbogacają, otwierają oczy na świat, uczą patrzeć na pewne sprawy w inny sposób.

Kiedy jeździłam po różnych krajach Maghrebu, do Tunezji, Algierii, a zwłaszcza do Maroka, mogłam docenić ogrom osiągnięć muzułmańskich kobiet w tych krajach. One, tak jak i ja, respektują zasady islamu, ale na co dzień walczą o to, żeby religia nie ograniczała ich wolności. Te kobiety wykazują się wielką odwagą, ponieważ są rozpoznawane i ciągle wytykane palcami w miejscach, gdzie mieszkają. Nie zniechęcają się jednak, kontynuują samotną walkę bez wsparcia ze strony władz. Chwała im za to! Doskonale zdają sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują. Wiem, że nie wszystkim podoba się to, co robię. Niektórym przeszkadzam, ponieważ podsuwam kobietom różne pomysły, dzięki którym one zmieniają swoje życie. Moja matka jest tego najlepszym przykładem. Po latach małżeństwa z ojcem zerwała łańcuchy, nie musi już podporządkowywać się jego autorytetowi - zażądała rozwodu i go dostała. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że coś takiego może się stać. Wydawało mi się, że jest zbyt uległa i zbyt zrezygnowana. Jeżeli ona umiała się przeciwstawić, to inne pójdą za nią. A ja będę dalej walczyć w imieniu kobiet, niezależnie od tego, co się stanie.

Rozkoszuję się zupełnie nową wolnością. Pod względem materialnym żyje mi się doskonale, od rozwodu nie borykam

się już z żadnymi problemami finansowymi. Mam stałą pensję, z której mogę nie tylko utrzymać dzieci, ale nawet pozwolić sobie na zatrudnienie własnego kierowcy! Nawiązałam także współpracę z amerykańską stacją telewizyjną, która emituje programy po arabsku, i dzięki temu mam dodatkowe dochody.

To jednak nie znaczy że moje życie jest usłane różami. Mam świadomość, że cieszę się powszechną akceptacją z powodu fali oburzenia wywołanego przez dramat, który zgotował mi Raszid. Zadaję sobie pytanie: jak długo to jeszcze potrwa? Co się ze mną stanie potem? Jeżeli odejdę w cień, niektórzy wykorzystają sytuację i każą mi słono zapłacić za moją odwagę w tamtym momencie. Jestem tego świadoma, dlatego wiem, że należy działać tu i teraz. Trzeba odebrać władzę tym, którzy manipulują przesłaniem islamu, aby narzucić kobietom własne prawa.

Wydarzenia, jakich doświadczyłam, nigdy nie doprowadziły mnie do utraty nadziei. Pozostałam optymistką. Książki, studia i mój wkład w różnego rodzaju działania społeczne nauczyły mnie bardzo wiele. Zrozumiałam, że kobieta musi walczyć o polepszenie swojego bytu.

Po rozwodzie z Raszidem nie związałam się z żadnym mężczyzną, żyję sama i samotnie wychowuję dzieci. Ale jestem wolna. W wieku trzydziestu lat w końcu dorosłam i nic mnie nie obchodzi, że niektórzy tego nie akceptują.

Ten, kto kocha Boga, zna granice zakazów. Nie potrzebuje nikogo, kto by je ustalał.